8/46

CUDA i ŁASKI

ZDZIAŁANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

CZĘSTOCHOWSKIEJ

CUDA I ŁASKI, ZDZIAŁANE ZA PRZYCZYNĄ
NAJŚW. MARYI PANNY CZĘSTOCHOWSKIEJ

CUDA I ŁASKI

ZDZIAŁANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚW. MARYI PANNY CZĘSTOCHOWSKIEJ

ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ

O. ALEKSANDER ŁAZIŃSKI

PAULIN Z JASNEJ GÓRY

Ul. Stanisława ks. W.

NAKŁADEM JASNEJ GÓRY

1930

SL 13 c

Widząc w tej pracy wielką pobudkę do ożywienia wiary w cudowną opiekę Maryi nad naszym narodem, swą zgodę na jej wydanie drukiem najchętniej daję:

O. Piotr Markiewicz
Generał Zakonu OO. Paulinów.

385746
J

NIHIL OBSTAT

P. Pius Przezdziecki

Czenstochoviae d. 21. VI. 1930 an.

IMPRIMATUR

A. Zimniok
Vicarius Generalis.

(L. S.)
L. 2101.

Wladislaus Tomalka
Secretarius.

K-46/2858
17.3 46-
Biblioteka Śląska

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU.
KLISZE WYKONANO WE WŁASNYCH ZAKŁADACH I NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA".

PRZEDMOWA.

Jasna Góra!... Ileż treści zawierają te słowa! Jakie drogie wspomnienia powstają w pamięci, ile uczuć gorących budzi się w sercu, ile swoistych obrazów wyłania się z przeszłości naszej na ich dźwięk!

Jeśli prawdą jest, że „tak daleko Polski, jak daleko czci Matki Boskiej Częstochowskiej", to z niemniejszą pewnością powiedzieć można, że o tyle serce polskie po katolicku czuje, o ile w niem jest miejsce na Jasną Górę, na gorące jej ukochanie.

Z Woli Bożej wpleciona, jako złocisty szlak w kanwę historji naszego narodu, Jasna Góra stała się spójnią duchowych sił, ogniwem polskich serc, symbolem wierności Bogu, Tronem Królowej Niebios i Królowej Polski, źródłem niezliczonych Jej łask.

To polska Betsaida, w której najcięższe niemoce ducha i ciała znajdują pomoc skuteczną...

Związana ściśle z Ojczyzną naszą przez pięć i pół wieków, Jasna Góra tak głęboko spoiła się z duszą narodu, że trudno sobie wyobrazić Polaka,

któryby Jej nie znał, o niej nie czytał i nawiedzić Jej nie pragnął.

Siłą, która do stóp Jasnej Góry ściąga niezliczone rzesze — to Cudowny Obraz Przeczystej Bogarodzicy (malowany, jak niesie tradycja, przez św. Łukasza Ewangelistę), z którego Ona króluje i hojnie swe łaski na kraj zlewa.

Jest w tem specjalna Opatrzność Boża, że obrazy Matki Najświętszej, a już przedewszystkiem Częstochowski, od samego zjawienia się na ziemi polskiej zasłynął z niezliczonej ilości różnorodnych cudów.

I dzisiaj ręka Boża z niemniejszą niż ongiś hojnością działa cuda, byle w duszy człowieka znalazła odpowiednią wiarę i ufność.

Książka niniejsza ma za zadanie podać niektóre z tych nadzwyczajnych łask, jakie w szeregu wieków aż do dni naszych ustawicznie, niby okruszyny, spadały z królewskiego stołu Maryi; ma ona przez to uczcić wiarę praojców naszych, z ufnością uciekających się pod opiekę swej Pani, jak również zachęcić współczesne i przyszłe pokolenia, by wstępowały w ich ślady.

Poznanie cudów, na Jasnej Górze przez Matkę Boską zdziałanych, ożywi w czytelnikach wiarę w pomoc i opiekę Maryi, pogłębi ufność, rozpali miłość, nauczy w chwilach ciężkich i niebezpiecznych oddawać się całkowicie w ręce Tej, co słusznie się Królową Polski nazywa.

Jak niegdyś w Kanie Galilejskiej na prostą uwagę Matki Najświętszej „Wina nie mają", Jej Boski Syn uczynił pierwszy cud i rozpoczął dobrze czynić ludziom, tak i obecnie żarliwa modlitwa, na wierze oparta, nie może nie być wysłuchaną. skoro będzie miała za sobą pośrednictwo Maryi, której Syn w niebie nic odmówić nie może.

Niech Bóg uwielbion będzie za to, że dał ludziom tak wielką i świętą Matkę, niech Mu będzie cześć i chwała na wieki, że naszą kochaną polską ziemię takim skarbem obdarzyć raczył, a Tej, co tak rozmiłowana w narodzie naszym, na Jasnej Górze stolicę sobie obrała, by stamtąd na lud wierny zlewać łask potoki, — bezgraniczną miłość i wierność ślubujmy na wieki!...

Jasna Góra,
dnia 2 lutego 1930 r.

Postać O. Augustyna Kordeckiego,
wzięta z pomnika.

Rozdział I.

NAUKA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO O CUDACH.

Podając w pracy niniejszej cały szereg nadzwyczajnych faktów, zdziałanych Wszechmocą Bożą za przyczyną Najśw. Panny Częstochowskiej, uznałem za rzecz konieczną umieścić na pierwszem miejscu rozdział specjalny, mający za zadanie podać w streszczeniu naukę Kościoła katolickiego o cudach.

Co więc nazywamy cudem?

Cudem nazywamy wszystko to, co przechodzi granice możliwości ludzkiego działania, każdy fakt albo czyn, którego przyczynowości cała wiedza i mądrość świata wytłumaczyć w sposób naturalny nie jest w stanie.

Według nauki Kościoła, cud jest to zdarzenie lub czyn nadzwyczajny, nie wywołany siłami natury, lecz pochodzący bezpośrednio od Boga; innemi słowy: jest to zjawisko w obrębie świata zmysłowego, zdziałane w celu objawienia ludziom woli Boga, ujawnienia Jego potęgi, stwierdzenia Jego Najwyższej Opatrzności nad światem.

Cuda bywają dwojakie: pozorne, czyli fałszywe, i prawdziwe. Sprawcą pierwszych jest szatan,

który przy użyciu sił naturalnych dokonywa różnych dziwnych rzeczy. Z takiemi dziwami w świecie naturalnym spotykamy się i w dzisiejszych czasach wśród dzikich ludów, gdzie rozmaici czarodzieje bałamucą łatwowiernych swych wyznawców sztuczkami i zjawiskami, które zwykły porządek rzeczy przekraczają. O takich zjawiskach wspomina Pismo św. w Starym Testamencie, kiedy to magowie egipscy wywoływali podobne zjawiska, jakie Bóg czynił przez Mojżesza, a w Nowym Testamencie mamy wzmiankę o Szymonie czarnoksiężniku, który tumanił ludzi różnemi sztuczkami, naśladując w tem cuda Apostołów.

Prawdziwe cuda pochodzą jedynie od Boga, są bezpośrednim objawem Jego potęgi.

Bóg działa cuda albo dla okazania większej Swej chwały, albo dla potwierdzenia prawd wiary, których rozum ludzki zgłębić i pojąć nie może, albo dla stwierdzenia świętości zmarłych już osób, albo wkońcu dla okazania ludziom Swej dobroci i sprawiedliwości.

W sprawowaniu cudów Bóg bardzo często posługuje się ludźmi, którzy w imię Jego rozkazują przyrodzie i ta ich słucha, jak to uczynił św. Grzegorz Cudotwórca z górą, której kazał przenieść się na inne miejsce; lub św. Stanisław Biskup Krakowski, wskrzeszający Piotrowina. Tacy ludzie, czyniący cuda w imię Boże, są wysłannikami Najwyższego i mocą tych cudów dają świadectwo prawdzie.

Niejednokrotnie obiera sobie Bóg jakieś miejsce na ziemi, np. świątynię lub obraz, gdzie wierni, pomodliwszy się z wiarą, otrzymują nadzwyczajne łaski, o które gdzieindziej napróżnoby prosili. Do takich miejsc w Polsce przedewszystkiem zaliczyć musimy Jasną Górę, którą Bóg obrał za tron dla Swej Matki Najświętszej i gdzie za Jej przemożną przyczyną zlewa na proszących niezliczone łaski. Każdy naród takiemi uprzywilejowanemi przez Boga miejscami poszczycić się może.

Niekiedy na skutek modłów albo z opatrznościowej dobroci Boga wytryska z ziemi źródło, którego woda, z wiarą używana, przywraca zdrowie, a często i życie. Znamy takie źródło w Lourdes we Francji, przy kościele św. Barbary w Częstochowie, św. Stanisława w Krakowie na Skałce i t. p. Takie miejsca były i w Starym Testamencie, takiem miejscem była w Jerozolimie sadzawka Betsaida, gdzie odzyskiwał zdrowie każdy, kto, dotknięty jakąkolwiek niemocą, pierwszy wstępował do wody, gdy ją anioł poruszał (św. Jan roz. V).

Księgi święte i historja Kościoła pełne są przykładów, świadczących o udzielanej ludziom przez Boga władzy czynienia cudów. Czynił je Mojżesz od czasu kiedy został wodzem ludu żydowskiego; czynili je Prorocy dla udowodnienia posłannictwa swego; czynili je Apostołowie za życia i po śmierci Pana Jezusa; czyniło je tysiące świętych poprzez wszystkie wieki i na wszystkich miejscach. Czynią je i dzisiaj ludzie święci, bo takich nigdy nie bra-

kowało, nie brakuje i nigdy nie zabraknie w Kościele Bożym.

Pan Jezus, czyniąc cuda, działał je w imię swoje, bo sam był Bogiem, i dlatego, wskrzeszając Łazarza, powiedział: „Łazarzu, wstań"; albo do zmarłego młodzieńca z Naim rzekł: „Młodzieńcze, tobie mówię — wstań!" Apostołowie zaś działali nie w swojem, lecz w Bożem imieniu, jako słudzy; przykładem niech nam będzie uleczenie chromego żebraka przez św. Piotra, który go uzdrowił słowami: „Złota ni srebra nie mam, ale co mam, to ci dam: w imię Jezusa Chrystusa wstań i chodź!"

Są ludzie, którzy twierdzą, że cuda są niemożliwe, gdyż to sprzeciwia się mądrości Boga. Od Boga, powiadają, pochodzi natura i wszystkie prawa nią kierujące, cud więc, zawieszając prawa natury, lub działając poza naturą, dawałby dowód, że Bóg w danym wypadku poprawia sam siebie i zmienia prawo, które sam ustanowił. To twierdzenie jest błędne i pochodzi od ludzi, którzy Pana Boga nie znają albo Go znać nie chcą, boć i na ziemi mamy często wyjątki od prawa powszechnego: tak np. król, choć stanowi prawo śmierci dla zbrodniarzy, ale w pewnych wypadkach, całkowicie od prawa niezależnych, zbrodniarza, skazanego na śmierć, ułaskawia i życie mu darowuje. Czy jednak to ułaskawienie można nazwać poprawieniem prawa? Chyba nikt rozsądny tak nie powie. Jeśli prawodawca na ziemi tak uczynić może i nikt tego nie bierze jako coś ujemnego dla majestatu i godności prawa, dlaczegóżby Pan Bóg nie miał robić

wyjątków w prawie ogólnem, jeśli chce w specjalny sposób okazać swą dobroć i opiekę nad ludźmi?

Zresztą przy cudach siły naturalne częstokroć działać nie przestają, owszem współpracują z niemi, np. przy nagłem cudownem uleczeniu z ciężkich ran pozostające blizny niczem się nie różnią od tych, jakie powstałyby przy uleczeniu środkami naturalnemi, gdyby takowe mogły odnieść pożądany skutek. Cud więc prawom ogólnym nie uwłacza, lecz doskonale z niemi harmonizuje. Stwarza go ten sam Bóg Wszechmogący, który stworzył naturę i prawa jej ustanowił.

Niedowiarkowie i różni dzisiejsi fałszywi uczeni twierdzą, że cuda są tylko urojeniem, albo poprostu złudzeniem zmysłów. Zaatakowali oni nawet cuda w Ewangelji przez Chrystusa uczynione, a samego Pana Jezusa nazwali twórcą cudów jedynie w tem znaczeniu, że łatwowierni uczniowie wszystkiemu wierzyli, a bezkrytyczny tłum w swym zapale wszystko za rzeczy nadzwyczajne poczytywał.

Na te bluźnierstwa jest odpowiedź jasna i krótka: czy nie większym byłoby cudem złudzenie pięciu tysięcy mężów (prócz niewiast i dzieci), którzy po spożyciu pięciu chlebów, pobłogosławionych przez Chrystusa Pana, czują się nietylko nasyceni, lecz nadto pozostałemi resztkami napełniają dwanaście koszów? (św. Mateusz, rozdz. XIV).

Czytamy w żywocie św. Anastazji męczennicy, że gdy ją kaci chcieli wrzucić z łodzi do wody, ręce im uschły, a łódź sama do brzegu wróciła.

Czyż te sto dwadzieścia osób, które patrząc na to, uwierzyło w Chrystusa, narażając się przez to na straszne męczarnie i śmierć okrutną, — też podległo złudzeniu?

Zaiste takie zbiorowe złudzenie daleko wspanialszym byłoby cudem, aniżeli sam fakt rozmnożenia chleba czy też uschnięcia rąk i powrót samej łodzi do brzegu.

Ta metoda niedowiarków w zaprzeczaniu cudów stwierdza tylko — wbrew ich woli — prawdziwość tychże.

Zresztą w naszym wieku XX, wieku nauki i krytyki, mamy tak dużo cudów, że inne wieki mogłyby nam pozazdrościć. Jak za czasów Chrystusa Pana, tak i obecnie cała ludzka wiedza współczesna staje wobec cudu bezradna i tylko wypowiedzieć może te proste a wiele mówiące słowa: „Tego faktu nauka wytłumaczyć nie potrafi".

Do cudów na Jasnej Górze w ostatnich lat dziesiątkach dołączają się niezliczone wprost cuda w Lourdes, których ani bezbożna wiedza ani niedowiarstwo dzisiejsze zaprzeczyć i obalić nie może.

Zapewne, że potęga Boża w różnych czasach i miejscach rozmaicie się objawia; to tylko pewnem jest, że Bóg, jako Dobroć i Mądrość nieskończona, swe dary na ludzkość zlewa celowo, to jest zgodnie z okolicznościami chwili i usposobieniem człowieka.

Według św. Augustyna, cuda, tak liczne w pierwszych wiekach Kościoła, zmniejszały się w miarę jak Ewangelja rozszerzała się i grunto-

wała w narodach. Słusznie św. Paweł Apostoł mógł twierdzić, że „znaki" (t. j. cuda) są przedewszystkiem dla niewiernych; wierni mają wiarę i to im wystarcza do życia dla Boga na ziemi i do zasług na niebo. Pewność wiary bowiem oparta jest na słowie Bożem, które ma większą powagę, aniżeli rzeczywistość naoczna.

Zmysły mogą mylić i często mylą; Bóg nie błądzi nigdy.

Jednakże i między wiernymi Bóg niejednokrotnie działa cuda w celu pomnożenia wiary i wynagrodzenia gorącej a pełnej ufności modlitwy błagalnej.

Cud upatrujemy nietylko w faktach z dziedziny materji, których nauka wyjaśnić nie może, gdyż, spowodowane nadziemską mocą, przechodzą siły natury, — lecz także w niezwykłych zjawiskach z dziedziny ducha, gdzie potęga Boża dokonywa dzieł ponad wszelkie pojęcie ludzkie.

Cuda w dziedzinie materji z natury swej nie mogą być zbyt częste, natomiast cuda w dziedzinie ducha spotykamy na każdym niemal kroku, a doniosłość ich jest nieskończenie większa.

Materja słucha swego Stwórcę i nic w tem dziwnego; dusza ludzka, będąc z natury istotą wolną, może Mu się oprzeć; to też nawrócić grzesznika jest w pewnem znaczeniu czemś więcej, aniżeli go stworzyć lub nawet cały świat wyprowadzić z nicości.

Na Jasnej Górze uzdrowienia widzialne zdarzają się nie tak często, choć każdy rok notuje ich

kilka, ale któż zliczy owe uzdrowienia dusz, wiadome tylko Bogu i tym, którzy tej łaski doznali!...

Pewien niedowiarek, pozujący na mędrca, wyraził się, że pielgrzymki są rzeczą przestarzałą i w dzisiejszych czasach muszą wyjść z użycia; inny znowu twierdził, że wobec dzisiejszej wiedzy cuda utrzymać się nie mogą, — tymczasem odpowiedzią na te gołosłowne twierdzenia są setki i tysiące pielgrzymek na miejsca, gdzie cuda nie wyczerpują się nigdy, a nauka wobec nich tylko czoła kornie uchylić może.

Kroniki jasnogórskie przechowały nam bardzo ciekawe opisy cudów. Niektóre z tych cudów zostały uwiecznione na sklepieniu Bazyliki, gdzie genjusz znakomitego malarza szwedzkiego, Karola Dankwarta, potrafił z tych pojedyńczych cudów stworzyć przepiękną pieśń malarską ku czci Niebieskiej Sprawczyni tychże, Niepokalanej Maryi.

Notatki, od chwili umieszczenia Cudownego Obrazu na Jasnej Górze skrupulatnie z dnia na dzień przez zakonników prowadzone, wykazują zdarzenia dziwne, opisane szczerze, prosto, zwyczajnie, jakgdyby rzeczy codzienne, jednakże zawsze na poważnych świadectwach oparte. Gdy się je czyta, ma się wrażenie, że niejako namacalnie dotykamy tych obfitych błogosławieństw Nieba, zlewanych za przyczyną Maryi na cały naród polski.

Do tych, zarówno pisanych, jak i na ścianach i płótnie malowanych pamiątek hojności Boga, dołączają się ustne podania i przykłady, które krążą

w narodzie, a przechowywane z wielkim pietyzmem z pokolenia na pokolenie, stwarzają tę przepiękną i niebiańską atmosferę ducha, której ogniskiem jest Matka Boga, Królowa Polski i Opiekunka narodu, Niepokalana Marya Jasnogórska.

Rozdział II.

HISTORJA CUDOWNEGO OBRAZU MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ.

Magnesem Jasnej Góry, skarbem jej największym, źródłem niezliczonych cudów od pięciu i pół wieków jest Cudowny Obraz Matki Boskiej. Dla Niej, Najświętszej, powstała kaplica i kościół, i skarbiec, i wieża, i wały — słowem, wszystko, czem Jasna Góra była, jest i będzie; to też poznanie dziejów Obrazu jest chyba dla każdego rzeczą najpożądańszą.

O powstaniu Obrazu i jego dziejach do roku 1382, t. j. do umieszczenia go na Jasnej Górze, niema pewnych i ścisłych wiadomości; to jednak, co jest w podaniu i przekonaniu ludzi wierzących, powtórzę dosłownie.

Powstanie Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej odnosi tradycja wieków do tej epoki życia Najśw. Panny, o której poeta Marjan Gawalewicz w przecudnych swych „Legendach" powiada:

„Została Matka sama na ziemi, z boleścią swoją, ze łzami swemi; dwie tylko chwile radosne miała: gdy na świat przyszedł Syn Jej jedyny i gdy

w dzień trzeci po Jego zgonie zmartwychwstałego znowu ujrzała. Przez lat czternaście przy św. Janie mieszkała smutna, cicha i skromna Boskiego Syna Matka wybrana; ziemską pielgrzymkę Swoją kończyła w modłach, w wspomnieniach, w dusznej tęsknocie, wpatrzona w niebo, gdzie Syn Jej mieszka, wpatrzona w ziemię, co łzy Jej piła, a Jego krwawe ślady nosiła. Choć siedem mieczów tkwiło w Jej łonie, chociaż w cierniowej żyła koronie, choć Jej do krzyża Syna przybito, w sercu nie miała cierpkiej goryczy ani do świata, ani do ludzi; ich przyjaciółką, ich opiekunką, ich dobrodziejką była do zgonu i po wiek wieków pozostać miała. A choć krwawemi łzami płakała, łzy te na kwiaty ziemia zmieniała.

Choć całe niebo z swym majestatem czekało na nią jak na królowę, Ona z litości wielkiej nad światem z ludźmi wolała przebywać w smutku i sama żałość tłumiąc swą wielką, była im Matką Pocieszycielką. Na ludzką nędzę dokoła siebie patrząc pełnemi od łez oczyma, chciała ból wszystek poznać na ziemi, aby cierpiących być Matką w niebie...

I zadumana odtąd boleśnie ze smutkiem w oczach, z chmurą na czole, szła już przez życie tak, jak Ją we śnie na cyprysowym malował stole Apostoł Łukasz-Ewangelista, — od ziemskiej zmazy wolna i czysta!..."[1]).

---

[1]) „Królowa Niebios" Gawalewicza rozdz. XII.

MATKA BOSKA CZĘSTOCHOWSKA

O stworzeniu wizerunku Najśw. Panny przez św. Łukasza-Ewangelistę piszą szeroko różni pisarze. Sława piękności i cnót Matki Boga rozchodziła się szeroko, wzbudzając ciekawość całego ówczesnego świata. Między innemi przechował się list św. Ignacego biskupa Antyocheńskiego, późniejszego męczennika, do św. Jana Apostoła, w którym pisze:

„Jeżeli mi się godzi, ku Tobie, do Jerozolimskiej krainy chcę się udać i widzieć świętych, którzy tam są, a osobliwie Maryę Józefową, o której powiadają, że jest wszystkim przedziwna, wszystkim pożądana; kogoby bowiem nie cieszyło widzieć i rozmawiać z Tą, która prawdziwego Boga zrodziła, jeżeliby był naszej wiary i zakonu przyjaciel!"

Uczony Dyonizjusz Carthusia pisze w pracach swych, że wszyscy wierni pragnęli widzieć Najśw. Pannę, tłumnie cisnąc się do domu św. Jana. Ci zaś z chrześcijan, którzy, mieszkając dalej, nie mogli podążyć do Nazaret, pragnęli oglądać choć wizerunek Matki Chrystusowej. Skąd też pisze Kanizyusz (ks. I, rozdz. 20):

„Gdy tedy wielu ludzi mieli pobudzony umysł, aby Pana Boga swego, w niebie królującego, Matkę przed sobą widzieli, a nie wszyscy zewsząd do Niej przybyć i swojemu pragnieniu zadośćuczynić mogli, tę wieczystą pamiątkę, tak przytomni, jako i nieprzytomni (obecni i nieobecni) dla swej pociechy zachowali, a jedni drugim też wzajemnie udzielali".

Idąc tedy za ogólnem żądaniem i własnem pragnieniem, stowarzyszenie panien, otaczających Najśw. Pannę w Jeruzalem i tworzących pod Jej przewodnictwem rodzaj pierwszego zakonu niewieściego, nalegało na św. Łukasza, biegłego w sztuce malarskiej, aby wizerunek Najśw. Panny, jako ich Matki i Mistrzyni, wymalował na stoliku, znajdującym się w domu św. Jana, przy którym Matka Boża zwykła była pracować. O fakcie tym świadczy Sykstus Seneński (Bibljot., lib. 2, lit. l): „Błogosławiony Łukasz, po napisanym przez siebie Chrystusa Zbawiciela żywocie, obraz Jego i Matki Jego pendzlem i farbami wymalował". A rzymski pisarz Nicefor (lib. 15, cap. 14) dodaje jeszcze: „Najśw. Matki obraz św. Łukasz sam swojemi rękami wymalował, gdy jeszcze żyła i tablicę widziała, a zatem przyjemność twarzy swojej sama weń tchnęła".

A o licu tem świętem tak się wyraża św. Epifaniusz u Nicefora w książce 2 hist. kościelnej:

„Była Marya we wszystkich rzeczach poważna, mało i to potrzebne rzeczy mówiąca, do słuchania łacna i wielce przyjemna, cześć i poszanowanie wszystkim oddająca. Wzrostem nieco mierną wysokość przechodziła. Przystojnej w mowie wolności do wszystkich używała; bez śmiechu i bez zmieszania, a bez gniewu najwięcej. Koloru była do pszenicy podobnego, włosu żółtego, oczu bystrych i przyżółtawych, a nakształt oliwkowego koloru źrenice w nich mająca; brwi Jej były powiesiste i przystojnie czerniawe; nos przydłuższy, wargi

kwitnące i słów słodkich pełne. Twarz nie okrągła, ani kończasta, ale nieco przydłuższa; ręce także i palce przydłuższe. Była naostatek bez wszelkiej wyniosłości, szczera i bynajmniej twarzy nie zmyślająca. — Pokorę znamienitą kochająca, szatami, które nosiła swojskiego koloru kontentowała się, co i teraz św. Głowy Jej welon pokazuje, i że na wszystkich rzeczach wielka od Boga dana Jej była wdzięczność".

O tablicy zaś, czyli stoliku, na którym obraz był wymalowany, jest takie podanie: Kiedy młodziuchny Jezus z Matką swoją i Józefem św. mieszkał w Nazaret, zaprawiał się do pracy ciesielskiej przy św. Józefie i pod kierunkiem jego wykonywał różne roboty. Między innemi zrobił ten stolik dla potrzeby domowej. Skoro zaś Jezus umarł na krzyżu, Najśw. Panna, oddana za Matkę Janowi św., przenosząc się do domu jego w Jeruzalem na pomieszkanie dożywotnie, snać ten ubogi sprzęcik swój domowy z Nazaret zabrała i na nim to Obraz był wymalowany.

Czy można wyobrazić sobie bardziej wzniosłe początki Obrazu, bardziej nadziemskie pochodzenie przedmiotu, przechowanego do naszych czasów! Chrystus Pan Boskiemi rękoma, dziecięcemi jeszcze, wykonywa go, dając przykład obowiązku pracy. Marya Najśw. spędza przy nim długie godziny, w rozmyślaniach, w smutkach i tęsknocie. Na tym stoliku spoczywały co chwila święte ręce, które Boga-Człowieka piastowały; wsiąkła w niego niejedna łza, gdy po ukrzyżowaniu Chrystusa

sama siadywała przy nim Matka Boleściwa. Wreszcie za sprawą pobożnych dziewic Jerozolimskich, stół ten dostaje się w ręce św. Łukasza-Ewangelisty, malarza i ten spędza nad nim długie godziny, wpatrując się w święte oblicze Maryi, uwieczniając je swą sztuką, prowadząc z nią rozmowy, które miały stać się z czasem ważnym przyczynkiem do stworzenia Ewangelji. Któż bowiem lepiej, niż Matka Najśw., mogła objaśniać dziejopisa Kościoła Chrystusowego o tajemnicy Zwiastowania, Wcielenia, Narodzenia Chrystusa Pana, ucieczki do Egiptu i lat Jego dziecięcych?

Drogocenny ten wizerunek Bożej Rodzicielki przetrwał wszystkie wieki, wszystkie przemiany czasu; cudowna opieka Boża czuwa wyraźnie nad świętym Obrazem, wybawiając go od zniszczenia w czasie oblężenia i zniszczenia Jerozolimy. Chrześcijanie bowiem z natchnienia Bożego wyszli z Jerozolimy wcześniej i schronili się w górach, w miasteczku zwanem Pella, zabierając ze sobą Obraz Matki Zbawiciela.

Przez pierwsze trzy wieki droga ta pamiątka przechowywana była przez wiernych na Wschodzie, zwłaszcza w Jerozolimie, i starannie ukrywana w podziemiach i katakumbach.

W roku 326, św. Helena, matka cesarza Konstantyna Wielkiego, pałając gorącem pragnieniem odnalezienia najśw. relikwji, mimo podeszłego wieku i uciążliwych na owe czasy podróży, udaje się do Jerozolimy i tam z Bożą pomocą odnajduje św. pamiątki: od żłóbka-kolebki do krzyża-trumny.

Wtedy i Obraz został odnaleziony. Św. Helena zwróciła się do zgromadzenia panien, które wiernie przechowywały tradycje swych poprzedniczek, towarzyszek Matki Bożej, i odnalazła u nich Obraz św., przechowywany w wielkiem poszanowaniu. Obraz ten wraz z innemi relikwjami odwiozła cesarzowa Helena synowi swemu, Konstantynowi Wielkiemu, zakładającemu nową stolicę w Bizancjum. Konstantyn Wielki, wedle słów Nicefora (lib. 8, cap. 16), po synodzie Nicejskim postanowił wybudować w Konstantynopolu przy pałacu cesarskim kościół pod imieniem Maryi i tam Obraz umieścił; miasto nazwał nowym Rzymem, a Matkę Boską obrał za jego patronkę.

Obraz ten zasłynął łaskami i cudami i otoczony był powszechną czcią. W tej czci dla Maryi naśladowali Konstantyna i późniejsi cesarze wschodni przez kilkaset lat. Kiedy Saraceni oblegali miasto, Obraz Najśw. Panny był obnoszony przez znakomitych panów i senatorów z procesją po ulicach i wałach, a Saraceni przerażeni pierzchali.

Wyszedł też św. Obraz szczęśliwie z niebezpiecznego okresu, gdy za panowania cesarza Izauryka wszczęto walkę przeciw obrazom i tysiące ich spalono.

W burzliwych tych czasach Obraz przechowywany był w samym pałacu cesarskim przez żonę cesarza Irenę i córki jego, które pozostały wierne wszystkim przepisom Kościoła.

Obraz ten, jako najcenniejszy dar, cesarzowe przekazywały jedna drugiej i tak naprz. Irena — Eudoksji, Eudoksja — Pulcherji, Pulcherja — następnej cesarzowej. Przez pięćset lat pozostawał św. Obraz w grodzie Konstantyna.

Mikołaj Lanckoroński, poseł króla Zygmunta Augusta w Konstantynopolu, starannie i źródłowo badał na miejscu wszystkie szczegóły co do powstania i historji Obrazu Częstochowskiego i przyszedł do wniosku, że cała tradycja opiera się na pewnych i historycznych dokumentach. — Pergamin, na którym to było spisane, niestety zaginął.

Z Konstantynopola Obraz bardzo łatwo mógł przedostać się na Ruś, do Halicza i zamku Bełzkiego — albowiem światło wiary chrześcijańskiej z Konstantynopola przyszło do Bułgarji, Moraw, Czech i na Ruś. Cesarze wschodni wydawali swe siostry i córki za książąt owych krain, więc w posagu mogli dać ten Cudowny Obraz.

Wiadomo z historji, że książęta ruscy byli połączeni związkami małżeńskiemi z władcami Polskiej krainy. I tak np.: Marja Dobrogniewa, córka Jarosława, była małżonką Kazimierza I; Wisława, księżniczka ruska, była żoną Bolesława II Śmiałego; Bolesław III Krzywousty miał Zdzisławę; Bolesław IV Kędzierzawy najprzód Anastazję, potem Helenę; Mieczysław III — Eudoksję; Leszek Biały — Grzymisławę; Leszek Czarny — Gryfinę. Wszystkie były księżniczkami ruskiemi.

Książęta opolscy byli także spokrewnieni z królami polskimi i różnemi książętami; Władysław,

książę Opolski, zastępował w Polsce Ludwika, króla węgierskiego i polskiego.

Przez związki więc rodzinne książąt Rusi z konstantynopolskimi a potem z polskimi Obraz Cudowny dostał się do zamku Bełzkiego i tam przebywał przeszło 500 lat.

Takim sposobem Czerwona Ruś otrzymała Cudowny Obraz.

W roku 1352 Kazimierz Wielki przyłącza skołataną niesnaskami panujących i bojarów, a spustoszałą napadami Tatarów, Ruś do Polski, niosąc jej wyższą kulturę i osłonę od wrogów.

Gdy zaś po śmierci Kazimierza Wielkiego na tronie polskim osiada Ludwik Węgierski, który, przebywając wciąż poza granicami naszego kraju, rządy w Krakowie i poszczególnych prowincjach Polski przekazywał to matce swej Elżbiecie, to różnym krewnym swoim, — Ruś, zwana Czerwoną, dostaje się we władanie Władysława, dotychczasowego palatyna Węgier.

Władysław musiał Bełz, jak i inne zamki, w których pozamykali się bojarowie ruscy, zdobywać orężem. Wziąwszy Bełz, przedewszystkiem oddał hołd Cudownemu Obrazowi, poczem nakazał przenieść go do najwspanialszej, z wielkim przepychem urządzonej komnaty. Ale wkrótce nastąpił napad Tatarów, którzy oblegli zamek Bełzki. Wtedy to strzała, wypuszczona z łuku Tatarzyna, wpadłszy do kaplicy oknem, utkwiła w św. Obrazie i uczyniła bliznę do dziś widoczną na szyi Bogarodzicy. Umocniony na duchu i uniesiony gorli-

Biblioteka Śląska

wością za zniewagę Obrazu, Władysław napad cudownie odparł; wiedząc jednak, że ze strony tatarów niebezpieczeństwo ciągleby tu Obrazowi Cudownemu zagrażało, postanowił wywieźć cenną relikwję do rodzinnego swego miasta Opola na Śląsku położonego. Wybrawszy się tedy w podróż, przejeżdżał przez Częstochowę, gdzie dla zbliżającej się pory nocnej zatrzymał się, a Obraz złożył w kościele drewnianym parafjalnym pod wezwaniem Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, w zamiarze udania się nazajutrz wraz z Obrazem w dalszą drogę. Dnia następnego, gdy Obraz na przygotowany do tego wóz przenieść polecił, żadnym sposobem i siłą konie ruszyć z miejsca nie mogły. Zdumiony książę pada na kolana przed Obrazem i przez przyczynę Maryi błaga Pana Zastępów o wskazanie woli niebios. Modlitwa jego wysłuchana została, gdyż po dwakroć otrzymał objawienie we śnie, aby Obraz w Częstochowie na Jasnej Górze zostawił. Władysław, uważając to za wolę Bożą, napowrót w uroczystej procesji Obraz do kościoła Wniebowzięcia wprowadził. Było to w środę po świętym Bartłomieju 26 sierpnia 1382 roku.

Tegoż dnia Książę opolski podpisał erekcję klasztoru, nadając dochody na pobudowanie kościoła i zabudowań klasztornych na Jasnej Górze.

Następnie sprowadził Ojców zakonu św. Pawła, pierwszego pustelnika, z klasztoru Nosztre na Węgrzech i oddał im pod straż Obraz święty.

Dlaczego książę Władysław sprowadził aż z Węgier zakonników, nie trudno odpowiedzieć. Zapewne dużo nasłuchał się o nich od swego krewnego Ludwika Węgierskiego, wielkiego przyjaciela Zakonu, a nawet podczas pobytu na Węgrzech sam bliżej ich poznał; ponieważ zaś Najświętszy skarb całej Polski chciał oddać pod straż ludziom naprawdę świętym, a Paulini za takich wówczas powszechnie uchodzili, więc wybór jego padł na nich. Św. Jan Kapistran pisał pod owe czasy o Paulinach tak: „Kto chce oglądać na ziemi aniołów w ciele ludzkiem, niech idzie do klasztoru Nosztře na Węgrzech, przyjrzy się życiu Paulinów, a będzie zaspokojony".

Przybyło tedy 16 białych mnichów, prawdopodobnie Słowaków, by mogli się z ludnością tutejszą porozumieć. Odtąd, a więc blisko 5½ wieków, biały habit pauliński dzierży straż na Jasnej Górze i wiąże się ściśle z historją Obrazu Cudownego w Częstochowie.

Na cudownym Obrazie, jak wiemy, są dwa cięcia szablą na twarzy, zadane przez Husytów w 1430 r., i znak na szyi od strzały, puszczonej przez Tatarzyna na zamku Bełzkim. Te stygmaty na swym wizerunku chce Matka Najświętsza zatrzymać na wieczne czasy, gdyż po odnowieniu Obrazu za Jagiełły kilkakrotnie starano się szramy te zatrzeć i zamalować, a jednak potem znowu się ukazały.

Dla przyozdobienia Obrazu są dwie sukienki: jedna brylantowa, a druga koralowa. Brylantowa

jest wartości nieokreślonej, na nią złożyły się prawie wszystkie rodziny polskie. Koralowa — koralami wyszywana na złotej lamie, niekosztowna, lecz cenna ze względu, że korale złożyły wieśniaczki z kieleckiej ziemi. Była jeszcze i sukienka perłowa, a wśród pereł wiele było cennych, jako osobliwość, np. perła w kształcie twarzy, serca, jajka, a dalej olbrzymia perła królewicza Konstantego Sobieskiego. Ta sukienka została przez zbrodniarza zdarta i zrabowana w 1909 roku. O sprawienie trzeciej srebrnej sukienki już starania porobiono.

Zmiana sukienki dokonywuje się w Wielki Czwartek, a to dlatego, że w ten dzień niema żadnego nabożeństwa w Cudownej kaplicy. OO. Paulini wyjmują Cudowny Obraz z ołtarza i na rękach przenoszą do skarbca, tam zdejmują korony i sukienkę, oczyszczają ją, wkładają inną i wśród serdecznych modłów wstawiają z powrotem na swoje miejsce. Ci wszyscy, którzy niosą Obraz lub z bliska przypatrują się, wyznają, że chwila ta robi wrażenie nigdy niezatarte.

Obecne korony złote, brylantami sadzone, pochodzą od papieża Piusa X, który, pełen współczucia dla zbolałego narodu, przysłał mu dar swego serca i pamiątkę swej ku niemu miłości. Dawne korony, ofiarowane przez papieża Klemensa XI w 1717 roku, wraz z sukienką zostały skradzione w 1909 r. Korony podtrzymują dwie pary aniołków.

Koronacja Cudownego Obrazu, pierwsza poza granicami Włoch, odbyła się w 1717 r., a ceremonji dokonał biskup Jan Krzysztof Szembek. Uroczystość odbyła się wspaniale przy tak licznym napływie wiernych, że kronika klasztorna podaje, iż w tych dniach samych komunikantów wydano 148 tysięcy. Druga koronacja w 1910 r. ściągnęła do Jasnej Góry zgórą pół miljona wiernych; koronacyjnego aktu dokonał biskup włocławski St. Zdzitowiecki. Uroczystość swą wspaniałością przeszła wszystkie, jakie dotychczas miały miejsce na Jasnej Górze.

Niejeden, wpatrując się w Cudowny Obraz, pomyślał sobie: dlaczego ta twarz Matki Najśw. taka ciemna?

Długo zastanawiałem się, jak sobie wytłumaczyć, dlaczego wizerunek Matki Bożej jest tak ciemny, i wreszcie przyszedłem do przekonania, z którem z Wami się dzielę. Obraz malować musiał człowiek, który znał i widział Matkę Bożą. Już bowiem w Piśmie św. znajdujemy słowa, określające własności zewnętrzne twarzy Matki Boskiej, i Kościół do Niej stosuje te słowa: „Czarna jestem, ale piękna". (Pieśń nad pieśniami). Choć więc te słowa mogą być brane w znaczeniu przenośnem i duchowem, to jednak zarówno oznaczać mogą piękność ciała i kolor twarzy. A czyż to nie sprawdza się na obrazie Jasnogórskiej Panienki? Choć Obraz ciemny i czarny, czyż jednak jest gdzie Matka Boża piękniejsza, więcej kochana, na-

wiedzana i więcej łask wyjednywająca, niż na Jasnej Górze?

Z obrazu bardzo łatwo można poznać malarza, który go wykonał. Doświadczenie uczy, że Niemiec inaczej namaluje Matkę Najśw., aniżeli Francuz lub Włoch; Włoch zaś inaczej, niż Polak lub Rosjanin, a Chińczyk czy Japończyk jeszcze inaczej. Skąd to pochodzi? Wytłumaczyć łatwo. Ponieważ Matka Boska była nietylko najświętszą co do duszy — bez plamy i skazy, ale i co do ciała była najpiękniejszą z niewiast, więc też malarz, tworząc w swej wyobraźni Jej postać, jaką ma przelać na płótno, bierze wzory z najpiękniejszych niewiast i to z niewiast swojego narodu, bo miłość swego ludu i ziemi ojczystej ma żywy oddźwięk w dziełach artysty. Stąd pochodzi, że Włoch np., malując Matkę Najśw., przedstawi Ją przeważnie z delikatną, białą cerą, oczyma i włosami czarnemi. Podobnież i Francuz tak namaluje, a to dlatego, że kobieta z takiemi przymiotami ciała jest ideałem piękności w pojęciu Włocha i Francuza. Holenderczyk i Niemiec namaluje Matkę Bożą z włosami jasnemi lub nawet złotawemi, oczami niebieskiemi, a kolor twarzy, choć biały, będzie miał jednak inny odcień. Polak namaluje o kolorze twarzy białym, przy pewnym odcieniu blado-różowym, z błękitnemi oczyma i włosami blond. Krótko mówiąc, Włoch namaluje najpiękniejszą Włoszkę, Francuz — najpiękniejszą Francuskę, Niemiec — najpiękniejszą Niemkę, Polak — Polkę i t. d.

A przecież Matka Najśw. była tylko jedna, a jaką była, podają nam niektórzy pisarze kościelni. Przytem pochodząc z żydowskiego narodu, nosiła jego zewnętrzne cechy. A właśnie Obraz Matki Boskiej na Jasnej Górze posiada takowe, ten więc, kto Cudowny Obraz malował, musiał Matkę Najświętszą widzieć i znać, a tradycja przychodzi nam z wyjaśnieniem i głosi, że był nim św. Łukasz.

Ale żeby to przynajmniej był żółty kolor Matki Bożej na obrazie, to dobrze, ale jest on zupełnie ciemny i nawet rysów twarzy dostrzec nie można. To się tłumaczy wiekami, jakie ten Obraz przetrwał. Kilkanaście stuleci ma już za sobą. A ileż mógł przechodzić chwil dla konserwacji bardzo nieodpowiednich. Przez kilka wieków był na Wschodzie, gdzie dotychczas panuje zwyczaj palenia jak najwięcej świec przed obrazami, — dym więc i kurz zrobiły swoje. Dalej, jest tam zwyczaj całowania obrazów i to tak rozpowszechniony, że kto nie pocałuje, uważa, iż nie uczcił należycie wizerunku; zważywszy więc, że do Cudownego Obrazu było wielkie nabożeństwo, ileż ucierpiał on od dotykania i ciągłego całowania. Nadto szósty wiek już upływa od czasu złożenia Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze, a czyż dym od świec, których zawsze dużo na ołtarzu palono, jak również opary i kurz nie wpłynęły na to, że Obraz poczerniał? Nie dziw więc, że Obraz tak stary i po tylu przejściach znajduje się w takim stanie.

By na długie lata zakonserwować Obraz Cudowny, z inicjatywy Stróżów miejsca św., OO. Paulinów, z wiedzą i aprobatą całego Episkopatu polskiego została w 1925 roku stworzona komisja, składająca się z pierwszorzędnych znawców sztuki i malarstwa, która miała zbadać rzeczywisty stan Obrazu i wybrać malarza w celu odnowienia go. Tę zaszczytną ale i bardzo poważną pracę komisja jednogłośnie powierzyła prof. Janowi Rutkowskiemu, pierwszemu konserwatorowi zabytków sztuki w Warszawie, znanemu już z odnowienia kilku religijnych obrazów, a ostatnio obrazu Rubensa w Kaliszu „Zdjęcie z Krzyża".

Prof. Rutkowski z największym pietyzmem i z niemniejszem poczuciem wielkiej odpowiedzialności, wziął się do odnowienia Najśw. Skarbu i przyznać trzeba, że chlubnie spełnił powierzone sobie zadanie. Prace koserwatorskie trwały od listopada 1925 roku do marca 1926 roku. Odnowiony Obraz został umieszczony ponownie w ołtarzu.

Obraz budowany bez ram ma 122,2 cm. wysokości, 82,2 cm. szerokości i 3,5 cm. grubości, malowany jest na trzech spojonych z sobą deskach; a farby, użyte do twarzy i rąk Matki Boskiej tudzież twarzy, rąk i stopy Dzieciątka Jezus, zawierają w sobie łącznik temperowo-żywiczny.

Badania wykazały, że Obraz ten podczas swego pobytu na Jasnej Górze był 2 razy restaurowany: raz w roku 1430 po znieważeniu go przez Husytów za czasów Jagiełły, a drugi raz 1682 roku za Jana Sobieskiego.

Ta ostatnia restauracja połączona była z częściowem przemalowaniem, nieodpowiadającem ani oryginałowi, ani powadze Obrazu.

Wyniknęła więc konieczność wydobycia dawniejszych kolorów. Po doprowadzeniu Cudownego Obrazu do pierwotnego stanu okazało się, że płaszcz i suknia Matki Boskiej jest koloru granatowego i pokryta złoconemi ornamentami w kształcie lilji, podszewka zaś płaszcza jest koloru karminowego ze złoconem obramowaniem.

Suknia Dzieciątka Jezus jest koloru karminowego o jasnym odcieniu, pokryta różnemi ornamentami w kształcie lilji, rozetek i trójliści, złoconemi matowo.

Oblicze i ręce Matki Boskiej są koloru bronzowego, oczy podłużne, nos wydłużony, usta małe, wargi szerokie, silnie podkreślone światłem u góry; po lewej stronie twarzy spadają faliste włosy, kryjąc się pod płaszczem. Na prawym policzku Matki Boskiej widoczne są dwie rysy, biegnące równolegle od połowy i rozszerzające się nieznacznie ku szyi, obydwie te podłużne rysy przecina w górnej części rysa poprzeczna na linji zakończenia nosa. Ponadto w okolicy szyi jest większe uszkodzenie, powstałe jak poprzednie od uderzenia końcem ostrego narzędzia.

Tego samego koloru, co i twarz Matki Boskiej, jest również twarz i ręce Dzieciątka Jezus, włosy kędzierzawe. Aureole nad głowami Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus tworzą gładkie nimbusy wyższe o kilka mm. od płaszczyzny.

Z drugiej strony Obrazu Cudownego na całej jego powierzchni było przyklejone płótno, a na niem różne wizerunki i sceny, mające za przedmiot historję Obrazu i niektóre cuda, zdziałane przez Maryę. Jak wskazuje napis na dole, jest to dodatek z odnowienia Obrazu z 1682 roku.

Po konserwacji w 1925 roku sukienka już nie przylega bezpośrednio do drzewa Obrazu, gdyż to szkodzi malaturze, lecz na całej przestrzeni odstaje kilkadziesiąt mm. i umocniona jest na specjalnym metalowym pancerzu.

Obraz Cudowny podczas swego przebywania na Jasnej Górze był trzy razy wywożony z Częstochowy, a dwa razy z Jasnej Góry do kościoła św. Barbary. Pierwszy raz był wywieziony do Krakowa po napadzie Husytów, w celu naprawienia go i odnowienia, a dwa razy na Górny Śląsk, kiedy wielkie niebezpieczeństwo zagrażało klasztorowi i była obawa, aby nie znieważono Cudownego Obrazu. Raz był przewieziony do Głogowa, a raz w okolice Lublińca.

W tych faktach każdy wierzący odczuć musi szczególniejszą miłość Bogarodzicy do Górnoślązaków. Oni jeszcze na 90 lat przed sprowadzeniem Cudownego Obrazu zostali odłączeni od macierzy i dostali się pod panowanie Czechów, a Matka Boża, jakby tęskniąc za nimi i pragnąc mieć swe oczy na nich zwrócone, ze swego Obrazu patrzy na zachód, jakby na dowód, że choć odcięci zostali od Matki-Ojczyzny, Matka Niebieska z oczu ich nie spuszcza.

To też gdy po wojnie światowej ważyły się losy Śląska, wszyscy Polacy z tej części szli w pielgrzymkach do Częstochowy, tu nabierali siły, odnawiali swe polskie dusze i w plebiscycie 1921 r. zwyciężyli. Matka Boska połączyła tę dzielnicę z macierzą, a przyjdzie czas, że i reszta Górnego Śląska złączy się z całością pod znakiem Orła Białego, który szybuje pod opieką Jasnogórskiej Pani.

Rozdział III.

MARYA WSKRZESZA UMARŁYCH.

1. W roku 1517 w Husiatynie, powiatu kamienieckiego żyło zacne i pobożne małżeństwo: Stanisław Wadzic i żona jego Anna. Mieli 5 letniego synka Samuela. Życie płynęło im cicho, spokojnie i bogobojnie. Naraz dotkliwy cios spadł na rodziców: ich pociecha, synek najmilszy, zachorował ciężko. Próżne były starania, leki i modlitwy: — po trzech dniach strasznych cierpień dziecię zmarło. Któż potrafi opisać ból rodziców? Zamknęły się na zawsze słodkie oczęta; usteczka, tak zawsze szczebiotliwe, zamilkły. Czyż nigdy nie wyjdzie z nich ten tak miły sercu matki okrzyk „mamo"?! Umarł w sobotę — w dzień Maryi. I cóż czyni biedna matka? ucieka się do Matki Boskiej Częstochowskiej i, płacząc serdecznie, ofiarowuje Jej zmarłego synka, ślubuje pielgrzymkę na Jasną Górę. Modli się, błaga, żebrze miłosierdzia. Noc straszna, czarna nadchodzi... czarniejsza dla biednej matki, niż wszystkie inne noce razem wzięte. Nieszczęsna niewiasta od trumny oderwać się nie może, ufa Maryi i błaga Ją, choć cienie śmierci coraz widoczniej powlekają twarzyczkę dzieciny... Modli się

i ojciec. Gdy rankiem w niedzielę słonko zabłysło, stroskany ojciec udał się do kościoła, by omówić sprawę pogrzebu, lecz matka klęcząc modli się, płacze i nadziei nie traci. A Marya Częstochowska słucha, zbiera łzy matczyne, jak klejnoty do swej królewskiej korony i wysłuchuje... bo oto twarzyczka chłopczyka nabiera życia... znika bladość... dzieciątko otwiera jasne oczęta... uśmiecha się... wyciąga do matki rączyny i, gdy ojciec wrócił, zastał dziecię żywe i najzupełniej zdrowe. Wkrótce potem przed cudownym wizerunkiem Maryi na Jasnej Górze szczęśliwa rodzina świadectwo cudu złożyła, ofiarowując przytem dwie świece wielkości chłopca.

*

2. Straszny wypadek w roku 1540 wstrząsnął umysły mieszkańców miasta Lublińca na Śląsku, pięć mil od Jasnej Góry położonego. Oto w tem mieście żył rzeźnik Marcin Lanio z żoną swą Małgorzatą oraz synkami czteroletnim Piotrem i dwuletnim Kazimierzem. Pewnego dnia rzeźnik ten poszedł ze swym czeladnikiem po zakupy, a matka, chcąc upiec chleba, a nie mając kwasu, udała się do sąsiadki z prośbą o pożyczenie jej odrobiny tegoż. W domu zostali bez opieki dwaj synkowie. Starszy Piotruś, który zapewne nieraz widział ojca, bijącego cielęta i barany, chciał zabawić się w rzeźnika. Najodpowiedniejszym do tej zabawy

wydał mu się śpiący w kolebce mały Kazio... Nie namyślając się długo, wziął ostry nóż i podciął gardło nieszczęsnego dziecka, lecz widząc krew zalewającą brata — zrozumiał, że stało się coś strasznego. Zdjęty przerażeniem, w obawie kary skrył się w otwartym piecu, gdzie schło drzewo, przygotowane do pieczenia chleba. Wkrótce powróciła Małgorzata i, sądząc, że dziecię śpi spokojnie, szybko wzięła się do napalenia w piecu; lecz co to? jakiś rozdzierający krzyk dobywa się z wewnątrz. Zakrzepła krew w żyłach matki... Spogląda w głąb pieca i widzi tam Piotrusia, wyciąga go, lecz za późno, chłopiec już nie żyje: dym z rozpalonego drzewa zadusił go. Oczy przerażonej matki padają na kolebkę i widzi drugie swe dziecię martwe... pływające we krwi... Naraz zrozumiała wszystko i z rozpacznym jękiem padła na ziemię, potem zerwawszy się biła głową o ścianę, rwała włosy, darła ubranie; wyglądała jak nieprzytomna. Tymczasem wraca ojciec, widzi trupy dzieci a żonę w takim stanie, bez namysłu rzuca się na nią i uderzeniem siekiery zabija ją na miejscu... Gdy się opamiętał i zrozumiał co uczynił w obłędnym szale, ogarnęło go przerażenie, lecz nagle promień światła Bożego rozjaśnił mu umysł. Nie poddaje się więc rozpaczy, słucha rad pobożnej sąsiadki i ufa, że Marya z Jasnej Góry wysłucha go i wskrzesi zmarłych. Ona wszystko zrobić może!... Zbiegli się ludzie i dziwią się, bo Marcin Lanio — szepcąc modlitwy — na wóz trzy trupy ładuje

i, przeżegnawszy się, w stronę Częstochowy konie popędza. Na straszny ten i tragiczny orszak patrzą ludzie: jedni z trwogą, drudzy ze łzami, które im ta żywa wiara nieszczęsnego wyciska. Mija po drodze żałobny wóz wioski i osiedla, łany zbóż i wonne łąki, kościoły i krzyże przydrożne, chatki i dworki, a zewsząd biegną ludzie, zdumiewiają się i z trwogą żegnają; bo i cóż to sobie myśli ten człowiek, wlokąc te trupy pomordowanych ze sobą? co chce z nimi uczynić? kto zdolny jest je ożywić? Lecz Marcin Lanio nie zważa na nic, wierzy Maryi, modli się i dąży do Niej. Już zamajaczył w oddali krzyż na wieżycy klasztornej. Już słyszy dzwony, wzywające wiernych. Zbiera resztę sił, popędza konie i modli się... modli nieustannie. Przybył nareszcie i przy pomocy dobrych ludzi wnosi okropne trzy trumny do kaplicy. Lecz sam wejść nie chce, nie śmie, padł tedy krzyżem przed wejściem i ludzi wchodzących całując po rękach i nogach, błaga o modlitwę.

W kaplicy mrok; nadziemskim blaskiem jaśnieje ciemne oblicze cudownej Pani. Przed ołtarzem nieszpory celebrował pełen cnót i świętości błogosławiony Stanisław Oporowski. Modli się czcigodny kapłan, woła o miłosierdzie nieszczęśliwy mąż i ojciec, kaja się, kruszy, płacze i modli się lud zgromadzony w świątyni. Od ołtarza płyną dźwięki przecudnego hymnu Maryi „Magnificat"... Serca w oczekiwaniu cudu zamarły, tylko serce biednego Marcina Lanio bije, jak dzwon na

Matka Boska wskrzesza umarłych.
Fresk na Wielkim Kościele.

trwogę, bije, jęczy, łka i błaga o łaskę. A gdy zaśpiewano „Uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest i święte Imię Jego" dreszcz przeszedł tłumy... Odczuli wszyscy, że teraz Jasnogórska, cudowna Panienka okaże swą łaskę, okaże swą moc, ulituje się nad biednym grzesznikiem. Z mar, z pod całunów grobowych podnoszą się trzy trupy... Jeden okrzyk miłości i wdzięczności wzniósł się do Maryi ze wszystkich piersi, a dołączyły się do niego pieśni dziękczynne zmartwychwstałej matki i dźwięczne głosiki dziecięce.

Sława tego cudu rozniosła chwałę Maryi po całym świecie. Dowiedziawszy się o tem, cesarz niemiecki kazał sprowadzić kopję Cudownego Obrazu do Wiednia, którą następnie zawieszono w świątyni.

*

3. Rok 1564. W cichej wiosce Zborów w pow. Kaliskim bawiła się gromadka chłopców w sąd. Wybrano sędziów, kata, obrońców i oskarżycieli. Oskarżonym był Walenty Żeromski, syn rządcy miejscowego majątku. Winowajcę osądzono na śmierć przez powieszenie. Założono mu na szyję powróz i chłopczyna zawisł na wierzbie. Radość była ogromna. Waluś tak doskonale udawał wisielca, tak zabawnie kopał nogami... Lecz gdy zobaczyli jego twarz dziwnie się zmieniającą, przejęci lękiem chcieli go zdjąć; jednak słabe siły chłopców nie podołały temu. Zostawiwszy go więc,

przerażeni pouciekali, a — bojąc się kary — nikomu o tem nie powiedzieli.

Radośnie rycząc, wracało już z pastwisk bydełko. Słońce purpurową swą głowę schyliło na spoczynek. Mrok wieczorny spowijał ziemię, a z pobliskiego kościółka rozkołysał się dzwon na „Anioł pański". Z kominów prosto w niebo wzbił się dym, zwiastując bliskość wieczerzy. Już wszystkie dzieci ze wsi schroniły się pod skrzydła matek... niema tylko Walusia. Jejmość pani Żeromska zdziwiona, że go już od trzech godzin nie widzi, woła synka stroskanym głosem, lecz chłopczyk nie słyszy... okropna śmierć wzięła go już w swe lodowate objęcia i nie puści. Zziębło maleńkie ciałko na zawsze.

Przerażeni rodzice rozpoczęli poszukiwania, lecz ich trwożne nawoływania pozostały bez echa... Znaleźli go wreszcie na wierzbie. Trudno wyobrazić sobie ich rozpacz. Próżno rozcierają skostniałe członki... próżno matka własną piersią, własnym oddechem pragnie je rozgrzać... próżno ojciec słucha, czy bije małe serduszko... niestety, trupek to już tylko. Zrozpaczeni rodzice padają na kolana i, ofiarowując dziecię Maryi Jasnogórskiej, ślubując Jej tron w Częstochowie nawiedzić, — wołają miłosierdzia. I stał się cud, bo Matka Najświętsza, ta matka najboleśniejsza, pamięta te chwile, gdy piastowała martwe zwłoki Syna, pamięta ten ból i serce Jej przejęło się bólem biednej matki, trzymającej nieżywe ciałko dziecięcia swego. Jasnogórska Panienka wróciła życie chłopięciu. Waluś

otworzył szeroko oczy, rozejrzał się zdumiony dokoła i powstał żywy i zdrowy. —

Jeden z pięknych fresków na sklepieniu świątyni Jasnogórskiej głosi ten cud od 250 lat.

*

4. Maciej i Jadwiga Klimczakowie, mieszkańcy Kazimierza, mieli tylko jedno dziecię, córeczkę Emę. Dziecinka chowała się zdrowo, była całem szczęściem rodziców, największą ich radością i dumą. W roku 1598 Ema skończyła dwa latka. Pewnego dnia piastunka, chcąc zabawić dziewczynkę, posadziła ją na oknie. Dziecko, uradowane z widoku, jaki się z okna otwierał, zaczęło uciesznie skakać. W pewnym momencie piastunka odsunęła się od okna; dziewczynka straciła równowagę, zachwiała się i spadła. Gdy przerażona niańka pobiegła i podniosła dziecię, już ono nie żyło. Straszne chwile zapanowały w domu, tak dotąd szczęśliwym i wesołym. Żal za utraconą tak nagle jedynaczką i gniew na niedbałą piastunkę był ogromny. Lecz ból i żal zmarłej nie wskrzesi, płacz rodziców jej nie obudzi.

Ubrano dziecinę w białą sukienkę... na główkę wianeczek mirtowy włożono... w sine rączęta dano święty obrazek Maryi Częstochowskiej... W domu całym, zamiast szczebiotu dzieciny, słychać jęki i płacz zbolałych rodziców. Nieszczęśliwi patrzą na swą ukochaną córeczkę, a potem spoglądają na obraz Częstochowskiej Bogarodzicy, i nagle, jak błyskawica, oświetla ich zrozpaczony umysł myśl:

— „Panienka Częstochowska już tylu zmarłych wskrzesiła i nam pomocy nie odmówi". Bez namysłu kładą maleńką, białą, otwartą trumienkę na wóz i wiozą do Częstochowy. Wiozą dniem, a złote słońce, gorącemi promieniami pieszczotliwie całując lodowatą twarzyczkę, nie może jej rozgrzać. Wiozą o zmierzchu, lecz srebrny księżyc próżno spojrzeć chce w oczęta, nie otworzą się one na blask jego. Mija jeden dzień podróży, mija drugi i trzeci. Gorąca wiara, wiara, co góry przenosi, wiara, co zmarłych wskrzesza, nie opuszcza zbolałych rodziców. Serca ich w nieustannej modlitwie wzniesione do Maryi, a płoną tak silną miłością i ufnością ku Niej, że niepodobna, aby ta Najlitościwsza Pani, wysłuchując tyle próśb, nie wysłuchała i ich, nieszczęśliwych.

Czwartego dnia, a było to w połowie drogi do Jasnej Góry, wóz z trumienką jechał wciąż naprzód wytrwale. Ufność i modlitwa rodziców wzmagała się z każdą chwilą, aż doszła do najwyższego napięcia. Serce i myśl u stóp tronu Matki Boga, a wzrok wpatrzony w córeczkę. I stał się cud: dziewczynka poruszyła się i otworzyła oczy, powstała żywa i zdrowa. Tak nagrodziła Marya wielką wiarę Klimczaków.

Uszczęśliwieni przybyli na Jasną Górę złożyć Częstochowskiej Pani podziękę i ofiarę.

*

5. Szymon Wruszewski z Białej Rusi w wielkim poście 1628 r. zachorował obłożnie. Rodzina sta-

rała się wszelkiemi siłami o pomoc dla niego, lecz próżne leki, w sam Wielki Czwartek Szymon umarł.

Tak zwykle wesołe święta Zmartwychwstania Pańskiego, w tym roku miały być dla tej rodziny pełne smutku. Pogrzeb chciano urządzić uroczysty i dlatego miał się on odbyć dopiero po świętach. W Wielki Piątek, do łez wylewanych przy rozpamiętywaniu męki i śmierci Zbawiciela, dołączyły się łzy żalu za zmarłym. Płakano, mówiąc: „Chrystus Pan zmartwychwstał po trzech dniach; gdyby to i nasz zmarły za przyczyną Matki Boskiej Częstochowskiej na święta wstał z trumny, o jakieżbyśmy święta wesołe mieli, jak radośnie śpiewalibyśmy pieśni! Sprzeczne wprost z rozumem było to ich pragnienie, lecz wiara wszystko może. A więc modlą się a jedno im tylko myśl przepełnia: „Marya wszystko może, Marya Jasnogórska zawsze wysłuchuje tych, co Ją z ufnością i wiarą proszą."

W Wielką Sobotę w południe w świątyniach kapłani śpiewali „Alleluja". Chrystus zmartwychwstał! Zamiast kołatek na „Gloria" uderzono w dzwony, dźwięk ich zwiększył jeszcze w sercach rodziny zmarłego, błagającej Maryę Częstochowską o cud, i tak już wielką wiarę, że Jasnogórska Pani wysłucha i Szymon ożyje. I przed wieczorem, wraz z ostatniemi promieniami słońca, padł na zmarłego promień łaskawości Maryi, stał się cud: Szymon wstał z trumny i razem z rodziną począł śpiewać chwałę Zmartwychwstałego Jezu-

sa i Jego Matki, cudami na Jasnej Górze słynącej. Z piersi ich wzbiło się w niebo głośne dziękczynne „Alleluja".

A potem na podziękowanie Matce Najświętszej Szymon Wruszewski odwiedził Jej tron na Jasnej Górze.

*

6. Zabrakło już sił, zabrakło już łez Małgorzacie Złoczewskiej z Podola, gdy w roku 1674 syn jej Stefan zachorował ciężko. Jednak zbolała niewiasta, pełna wiary, ślubowała Matce Boskiej Częstochowskiej, że jeżeli jej syn odzyska zdrowie, to go na Jasną Górę, zaniesie i złote wotum złoży. Pękało z bólu serce biednej matki, gdy patrzyła na swego ukochanego syna, walczącego ze śmiercią. I śmierć zwyciężyła, skonał Stefan na rękach matki. Lecz Małgorzata, choć zdawałoby się, że Marya wysłuchać jej nie chce, boć mimo modłów i ślubów syn jej nie żyje, pełna, jak ewangeliczna Marta i Marya, żywej wiary, nie przestaje wołać do Panienki Jasnogórskiej o życie dziecka. Nie zważa, że dusza chłopca już od kilku godzin uleciała do Boga; ona wierzy, że Królowa z Jasnej Góry na ziemię powrócić ją może, bo dla Maryi Bóg wszystko uczyni. Ona wie, że ten najlepszy Pan tylko poto zabrał jej dziecię, by je potem na prośby Matki Chrystusowej wskrzesić.

Modli się Małgorzata Złoczewska. Całe serce i duszę włożyła w modlitwę, wprost oderwała się od ziemi. Z modlitwy tej, rozpalonej bezgraniczną

wiarą, budzi ją radosny, a jednak pełen dziwnego lęku głos piastunki, że dziecię mruga oczkami, że martwe i zimne już ciałko ożywia się. Z okrzykiem: „Stefcio żyje"! wpada matka do pokoju i, pełna wdzięczności i miłości ku Bogu, pada na kolana, a za chwilę przytula do serca, zwróconego przez Maryę Częstochowską, syna.

*

7. Żałosnym jękiem uderzyły pewnego jesiennego poranku 1680 roku dzwony kościoła w Nowogródku, uderzyły na pogrzeb Imci pana sędziego Mikołaja Grocholskiego. Ciężko chorował pan sędzia i oto zmarł. Zgromadziła się rodzina, krewni i powinowaci, zjechali sąsiedzi; przygotowano staropolskim obyczajem pogrzebową ucztę i grób, a gdy miano już brać trumnę na ramiona, naraz, ku przerażeniu zgromadzonych, sędzia podnosi się żywy i zdrowy z trumny. W pierwszej chwili powstał popłoch, lecz gdy obecni obaczyli, że jednak sędzia nie jest duchem, ale żywym z krwi i ciała człowiekiem, zapytali go, co jest przyczyną tego zmartwychwstania, a sędzia tak wyjaśnił: „Gdy już byłem konający i nie mogłem się spowiadać z grzechów swoich, gdyż już mowę straciłem, wtedy w sercu poleciłem się Matce Częstochowskiej i obiecałem nawiedzić Jasną Górę, więc wróciłem do życia za Jej przyczyną, abym mógł grzechy wyznać i pokutę czynić". Wielkie wzruszenie wywołały te słowa sędziego i wielką wiarę w pomoc

Maryi, a w domu tym, pełnym łez i żałoby, zapanowała radość i wesele.

Jednakże sędzia, mimo tak wyraźnej łaski i cudu, zwlekał ze spełnieniem ślubu i po pewnym czasie znów zapadł w ciężką chorobę. Zdawało się, że już teraz nic go z niej nie dźwignie, lecz konającym będąc, Imć pan Grocholski uznaje swą winę, kruszy się, żałuje, Pannę Najśw. Częstochowską przeprasza, błaga o zdrowie i serdecznie ślub ponawia. I oto pewnej nocy we śnie otrzymuje upomnienie, aby już nie zwlekał i ślub wypełnił. Po tym śnie sędzia rano obudziwszy się, jak najzdrowszy wstaje. Zaraz też wypełniając przyrzeczenie, Matce Najśw. Jasnogórskiej dzięki u Jej stóp w Częstochowie złożył.

*

8. Wyżej wspomniany Imć sędzia Grocholski miał przyjaciela Jana Kłokowskiego, rycerza pełnego cnót obywatelskich i rycerskich. Pewnego dnia 1680 roku rycerz ten ćwiczył się w jeździe konnej i nagle w pełnym biegu spadł z konia tak niefortunnie, że, złamawszy szyję, skonał. Dowiedziawszy się o tem sędzia, stroskany wielce straszną śmiercią przyjaciela, przybywa po sześciu godzinach podróży na miejsce wypadku. Rozstąpił się za jego przybyciem tłum ludu, a Grocholski podszedł do trupa i z gorącą wiarą wzniósłszy w niebo oczy, jakby tam widział swą Wskrzesicielkę, Panienkę Częstochowską, pada na kolana i woła głosem tak pełnym wiary, że obecnych dreszcz

przeszedł: „O Panno Jasnogórska, jak mnie cudownie do życia przywróciłaś, tak i jego racz wskrzesić, aby Ci mógł służyć, jak i ja!" Tak woła sędzia do Maryi, tak za nim z płaczem wołają obecni. I bije w niebo ta prośba rzewliwa i ściele się to wołanie pełne wiary u stóp Królowej Nieba. A Marya Częstochowska nie może milczeniem odpowiedzieć na ten krzyk pełen ufności w Jej pomoc, i staje się cud. W oczach oniemiałego ze zdumienia ludu podnosi się z martwych jak najzdrowszy rycerz Kłokowski, wsiada na konia i dziękczynną podróż natychmiast na Jasną Górę. odprawia.

*

9. Michał Pruszyński, kanonik kijowski, proboszcz w Toporowie, diecezji Łuckiej, dekanatu Bielskiego, zeznał dnia 14 czerwca 1720 roku pod przysięgą:

„Powołanie do stanu kapłańskiego zawdzięczam Matce Boskiej. Służyłem Jej wiernie życie całe. Byłem i jestem słabej kompleksji. W końcu 1717 roku zasłabłem i przez całe dwa lata ciężko chorowałem, zostałem całkowicie sparaliżowany, zagłuchłem i zaślepłem, leżałem jak trup, kazałem przygotować trumnę i grób na cmentarzu. 8 lutego 1720 roku w obecności XX. Piotra Markowskiego, Piotra Brzozowskiego i Jakóba Kruszewskiego zrobiłem testament i tegoż dnia, jak mówią obecni, umarłem. Włożono mnie do trumny, ubrano tylko w albę, przykryto wiekiem i wy-

niesiono do pokoju bez okien, gdzie leżałem od południa do wieczora na silnym mrozie. Powinienem był zmarznąć. Pamiętam, że ukazał mi się pobożny starzec zakonnik, św. Paweł, patryarcha OO. Paulinów, którego święto obchodzi się 10 stycznia, wziął moją prawę rękę i, obudziwszy mnie, rzekł: „Wstań i idź uczcić Cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej — z Jej bowiem łaski z grobu wstajesz". Gdy zniknął, ze słowami „Jezus i Marya Panna Częstochowska" zacząłem wołać o pomoc. Trwoga wszystkich ogarnęła, zrobił się ogromny tumult. Jedni pouciekali, drudzy odbili trumnę, a ja pytam się, gdzie jest ten staruszek, co mi kazał wstać. Nie było go. Gdym wstał, zobaczyłem, że byłem przez cały dzień na wielkim mrozie, w cienkiej tylko albie; uczułem jednocześnie, że słyszę, widzę i mam w całem ciele czucie. Wybrałem się tedy wkrótce na Jasną Górę, a gdy mi odradzano, powiedziałem, że choćbym miał nawet w drodze umrzeć, od postanowienia nie odstąpię. Tak przebyłem około 70 mil i 13 kwietnia stanąłem na Jasnej Górze, gdzie sam bez pomocy poszedłem po schodach do klauzury. Te sprawy wszystkim opowiadałem już po kilka razy i na dowód obecną pielgrzymkę i świadków przytaczam.

Sprawił sobie Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej do kościoła parafjalnego, przed którym wiele łask ludzie otrzymywali.

*

10. Maleńka, bo zaledwie kilka miesięcy licząca Józefa Magdalena, córka Antoniego i Anny Karwat ze Śląska, w roku 1747 zachorowała nagle i w obecności nawpół martwych z bólu rodziców zmarła. Na zwłoki dziecięcia rzuciła się zrozpaczona matka, chcąc wyrwać śmierci swą ukochaną córeczkę; lecz śmierć silniejsza, tego, co raz zdobyła, oddać nie chce. Noc całą oblewa łzami ciałeczko dzieciny nieszczęśliwa Anna, noc całą modli się biedna i woła na ratunek Maryę Częstochowską, błaga Ją, by córeczkę żywą jej wróciła, a krewni i znajomi mówią: „Czy chcesz, by Ci Matka Boska dziecko wskrzesiła? niegodna jesteś tej łaski, przestań płakać i oddaj ziemi, co jest ziemskiego!" Lecz twarz matki rozjaśnia się, zbolałe oblicze opromienia jakiś nieziemski blask: to moc wiary tak z niej promieniuje, to ufność w cudowną pomoc Maryi tak ją prześwietla. Porywa się szybko od zwłok dziecięcia i rzecze: „Nie rozumiecie mnie, ja wiem, co zrobię, jeżeli tu mi dziecko nie ożyje, pojadę z niem do Częstochowy, a tam na pewno Matka Boska odda mi je żywe i zdrowe". Powiedziawszy to, bierze sztywne ciałko z trumienką, siada na wóz i, modląc się żarliwie i z wiarą, wyrusza w drogę. Lecz Matka Boska Częstochowska nie czeka, aż staną w Jej stolicy, już tu chce nagrodzić tę ogromną wiarę matki i oto do dziecięcia wraca duszyczka, ożywia się ciałko, a wszyscy obecni padają na kolana, wołając: „Cud, cud! O, jak potężną i wszechmocną jesteś, Maryo Jasnogórska!" A matka dziecko ży-

we i zdrowe zaraz zawiozła na Jasną Górę i Matce Bożej dzięki złożyła.

*

11. Ciężkim krzyżem nawiedził Pan Bóg Walentego Anastazego Smoczyńskiego, b. celnika w Królestwie Polskiem i żonę jego Antoninę. Synek ich, Walenty Bronisław, urodzony w roku 1847, mając dwa lata został wystraszony przez niańkę, wskutek czego cierpiał odtąd na konwulsje. Ataki tej choroby powtarzały się przy najmniejszem uderzeniu lub przestrachu. Dnia 23 czerwca 1850 roku, ktoś przez nieuwagę oblał chłopczyka zimną wodą; skutek był straszny: dziecię dostało tak silnego ataku, że skonało. Rzucono się na ratunek, lecz wszelkie zabiegi były próżne. Rozpacz rodziców nie miała granic. Synek wprawdzie chory, ale wesoły, przed chwilą jeszcze gwarem, śmiechem i tupotem maleńkich nóżek napełniał mieszkanie. I teraz nagle zapanowała cisza... cisza tak straszna, że ojcu i matce zdawało się, iż to już chyba świat się skończył ze śmiercią ich Walusia. Nie mogła biedna matka znieść tej ciszy, wybiegła do ogrodu z rozdzierającym serce szlochem, a ojciec ukrył się w jakimś kącie i też rzewnie płakał. Na tym płaczu przeszło im kilka godzin.

Powstał biedny Walenty Smoczyński z kąta, czas już było iść do stolarza po trumnę, lecz przedtem jeszcze wziął synka na ręce, aby się widokiem jego ostatni raz nacieszyć, gdy naraz oczy ojca padły na wiszący na ścianie obraz Matki Bo-

skiej Częstochowskiej. Trzymając zwłoki dziecka na rękach, pada na kolana przed tym obrazem i zaczyna Matkę Najświętszą prosić dla niego o odpoczynek wieczny, albo, o ile to jest zgodne z wolą Boga, o życie. Ufność jego doszła do ostatnich granic. W tym czasie z ogrodu nadeszła żona, a widząc modlącego się męża, upadła obok niego krzyżem i teraz już dwie bezgraniczne prośby szturmują do serca Maryi.

Na świecie w pełni wiosna. Słowik rzewnie śpiewa, kwiecień woń czarowną roztacza... dla nieszczęśliwych rodziców nic nie istnieje... oni nic nie widzą... nie słyszą... nie czują. Oczy ich utkwione w ciemne Przenajświętsze oblicze Jasnogórskiej Panienki... serca złożone w Jej kojące dłonie... żebrzą... jęczą... błagają... A Maryi miłościwe uszy usłyszały przepojone silną wiarą wołanie... serce macierzyńskie ulitowało się nad cierpieniem tych dwojga klęczących... Najmiłosierniejsze oczy spoczęły na dziecku, a słodkie usta wyrzekły „Fiat". I stał się cud! Po kwadransie tej modlitwy, tak silnej, tak gorącej, tak przepełnionej wiarą, modlitwy, w której duszą całą oboje zatonęli, serce ojca odczuło, że w trupku, spoczywającym na jego łonie, serduszko bije... Patrzy... toć oczy mrugają, czuje, że krew poczyna w żyłach krążyć i ciałko nabiera miękkości, ciepła, świeżości... Dziecko zmartwychwstało!

Jak wielką była rozpacz rodziców przedtem, tak wielką potem była ich radość; jak gorącą modlitwa błagalna, tak gorąca modlitwa dziękczynna.

I odtąd już choć się chłopiec nieraz przestraszył lub uderzył choćby do krwi, konwulsje nigdy się nie powtórzyły, owszem dziecko było zawsze zdrowe i dobrze się chowało.

*

Takich cudów kroniki Jasnogórskie notują 33.

Rozdział IV.

MARYA RATUJE OD ŚMIERCI W KOPALNIACH, NA MORZU I RZEKACH.

1. W roku 1609 w kopalni w Olkuszu górnicy dobywali ołów i srebro. W jednym szybie pracowało ich razem pięciu: Jakób Gola, Walenty Łomigonek, Jakób Piwowarek, Szymon i Jan bracia Budzinkowie. Pracowali jak zwykle, gdy naraz usłyszeli jakiś huk straszny i jednocześnie poczuli, że sypie się na nich ziemia. Porwali się szybko do ucieczki, lecz było już za późno. W którąkolwiek stronę się zwrócili, nie było wyjścia, część sklepienia się zerwała, grzebiąc ich żywcem na 90 stóp pod ziemią. Jakże straszne było ich położenie! Odcięci od świata na zawsze, a choćby nawet i dokopano się do nich, to kiedy? czy zdołają bez jedzenia, picia, światła i dostatecznego powietrza doczekać tej chwili? Lecz dzielni i pobożni górnicy nie wpadają w rozpacz, nie tracą nadziei. Wiara ich jest tak silna, że przebije ich grób. Górnicy ślubują Matce Boskiej Częstochowskiej, że za ocalenie od straszliwej śmierci odprawią pielgrzymkę na Jasną Górę. Padają na kolana i z wielką wiarą modlą się o ratunek.

W tym czasie na powierzchni ziemi rozgrywały się straszne sceny. Rodziny nieszczęśliwych, na wieść o katastrofie, zbiegły się do kopalni. Żony, matki i dzieci z płaczem i jękiem chciały się dostać do pogrzebanych, z trudem zdołano je uspokoić; nie mogąc czynem, zaczęły modlitwą do Matki Boskiej Częstochowskiej ratować swych ojców, mężów i synów. Całe gromady górników rozkopywały zasypany podziemny korytarz. I tak w pracy i modlitwie płynęły strasznie długie dni, płynęły noce okropne, a im więcej dni upłynęło, tem mniejsza była nadzieja kopiących dostania się do zasypanych. Lecz na powierzchni i tam pod ziemią nie ustawała modlitwa, krzepiona wiarą w nigdy nie zawodzącą pomoc Maryi. Pięć długich jak wieczność dni kopano. Piątego dnia pogrzebani usłyszeli głuche odgłosy uderzeń kilofem i zrozumieli, że Marya sprowadza im pomoc. Z jeszcze większą żarliwością popłynęły modły. Po pewnym czasie poczuli prąd świeżego powietrza i za chwilę ujrzeli blask lampek i górników, rozkopujących przejście. Zdumienie tych ostatnich było nieopisane, gdy zamiast, jak się spodziewali, trupów zmasakrowanych, ujrzeli pogrzebanych zdrowych i całych. Lecz gdy się dowiedzieli, że ocalenie ci nieszczęśliwi zawdzięczają Maryi Jasnogórskiej, zdumienie ich przeszło w dziękczynienie. A gdy wkrótce pięciu ocalonych znalazło się na powierzchni, gdy nie wątpiące o ich ocaleniu rodziny ujrzały wracających, jakby z grobu, — ra-

dosnym łzom, modłom i pieniom na cześć Panienki Częstochowskiej nie było końca.

Wkrótce potem wszyscy ocaleni wraz z rodzinami złożyli Maryi na Jasnej Górze gorące dzięki.

Ten cud uwiecznił artysta pięknym freskiem na sklepieniu świątyni Jasnogórskiej.

*

2. W roku 1643 Jan Wieliczka, schodząc do głębokich podziemi, bierze ze sobą swego syna Wawrzyńca i obaj na sznurach spuszczają się w dół. Lecz nieszczęśliwym trafem sznur przerywa się i obaj spadają z wysokości 60 stóp. Zbiegło się kilkuset przerażonych ludzi i wydobywają ciała nieszczęśliwych, a myśląc, że ci już mają pogruchotane kości, sądzą, że ratunek na nic się już nie zda. Padają na kolana i wspólnie jednym wprost głosem wołają na pomoc Maryę Częstochowską. A Matka Boża Jasnogórska, tak zawsze chętnie śpiesząca na ratunek tym, co Ją z wiarą wzywają, przybywa i oto wkrótce wstają obydwaj zdrowi i cali i wspólnie ze wszystkimi Maryę wychwalają.

*

3. W ciepły wiosenny dzień w 1748 roku w mieście Łańcucie, wyszła piastunka na przechadzkę z dwuletnią dzieciną swych pracodawców, Anną Górniakówną. Dziewczynka uradowana żywo biegała. Naraz zobaczyła dół, zaciekawiona, korzy-

Matka Boska ratuje tonących w morzu.
Fresk na Wielkim Kościele.

stając z nieuwagi piastunki, weszła doń, a wtem ziemia się zerwała i zasypała dziecko. Na krzyk służącej zbiegli się ludzie i wzięto się do odkopywania. Dwie godziny pracowało przy tem kilku ludzi. Gdy dziecię odkopali, okazało się, że nie daje ono znaku życia. Ciałko dziewczynki było już zimne i sine. Przerażona Rozalja, matka dziewczynki, nie chce wierzyć, aby jej dziecię miało już nie żyć, nie chce myśleć, że dwie godziny przywalenia ciężką ziemią wystarczy, aby takie maleństwo zabić; ona wierzy i ufa, że Marya jej dziecię wskrzesi, jej wiara dorównuje wierze niewiasty ewangelicznej; bierze dzieciątko na ręce i, modląc się z wielką wiarą, niesie do kościoła OO. Dominikanów. Próżno znajomi wołają: „Co robisz? stój, ona już martwa, włóż ją pierwej w trumienkę!" Lecz ona odpowiada: „Puście mnie, Marya Jasnogórska wskrzesi mi ją". Wbiega do świątyni i, oddając dziecię Matce Bożej, ślubuje jednocześnie, że odwiedzi Jasną Górę. Żywa wiara matki nie pozostaje bez echa, dziewczynka otwiera oczy i do życia powraca. A wdzięczna matka wkrótce potem na Jasnej Górze Maryi serdeczne dzięki składa.

*

4. Po długiej i uciążliwej podróży, zdążał do Polski w roku 1537 okręt. Na morzu Bałtyckiem spotkała go straszna burza. Zdawało się, że żywioły sprzysięgły się na zgubę jego. Srogie bałwany uderzały nań z potężną siłą; szalejące wi-

chry na drobne strzępki porwały żagle; jak cienkie patyczki połamały maszty, a okręt pędziły gdzieś do wybrzeży moskiewskich, gdzie go czekało niechybne rozbicie. Nastały ciemności, niebo i morze przybrały jedną ołowianą barwę. Pioruny biły z niesłychaną siłą, a ogniste węże błyskawic raz po raz rozdzierały niebo. Postrach padł na jadących i wszyscy, przerażeni, gotowali się na śmierć. A był między nimi pewien Polak, rycerz grobu Pańskiego, imieniem Stanisław Łaski; ten widząc, że tylko cud zdolny jest uratować ich od nadchodzącej już śmierci, klęka i z wiarą błaga w głos Matkę Boską Częstochowską i oto na imię Maryi, o którem w godzinkach codzień śpiewamy: „Jako olej wylany, o Maryo, imię Twoje" burza cichnie, uspokajają się fale, jak gdyby rzeczywiście spłynęła na nie oliwa łagodności. „Gwiazda morza" oświeca ciemności, robi się jasno, w popłochu uciekają czarne chmury, a okręt szczęśliwie zawija do portu.

Gdy po raz drugi tenże bogobojny rycerz jechał okrętem z Aleksandrji do Konstantynopola, na morzu Śródziemnem spotkała go straszna burza. Statek z połamanemi masztami i podartemi żaglami pędził na oślep, aż wpadłszy na skały, rozbił się i poszedł na dno, a podróżni wpadli do morza. Nasz rycerz płynął z innymi, lecz sił mu już zabrakło, a pod nim ogromna głębia czyhała, by go pochłonąć. Nie widział nieszczęsny żadnego ratunku, jedynie Marya mogła mu pomóc. Wzbudza więc w sobie mocną wiarę i ślubuje, że Maryę na

Jasnej Górze odwiedzi i cześć Jej złoży, jeżeli raczy go z tej ciężkiej opresji wybawić. I tak się modląc i walcząc z falą resztkami sił, czuje naraz pod ręką płynący kawał drzewa; uczepił się go kurczowo i za chwilę został wyrzucony przez morze na brzeg. Wkrótce potem rycerz na Jasnej Górze korne dzięki Maryi złożył.

*

5. Potężnej opieki Królowej Częstochowskiej doznawali nietylko Jej wierni poddani, Polacy, lecz także i cudzoziemcy, o ile tylko z wielką ufnością do Niej się uciekali.

Pewien Anglik, imieniem Sebastjan, przybył w roku 1589 do Gdańska, a tknięty łaską Bożą, zmienił religję — z heretyka stał się katolikiem. Bardzo to oburzyło starszego brata jego, który starał się bezskutecznie odwieść go od tego czynu. Po pewnym czasie wracał Sebastjan wraz z bratem do ojczyzny. Nim opuścili wody Bałtyku, spotkała ich straszna burza. Wykorzystał to bezbożny brat i zaczął namawiać Sebastjana, aby wyrzekł się wiary katolickiej, gdyż śmierci nie ujdą. Nie słuchał tych podszeptów szatańskich Sebastjan. Zajadły heretyk, widząc jego opór, kazał go związać i w wodzie zanurzać; tak męczonego pytano: „Czyś gotów wiarę zmienić? Dlaczego tak nienawidzisz Kalwina?" Lecz mężny konwertyta nie uląkł się cierpień i wiary świętej katolickiej się nie zaparł. Widząc, że namówić go nie będą mogli, wrzucili Sebastjana do morza. Nieszczęśliwy

borykał się ze spienionemi burzą falami. Patrzy wokoło, ale nigdzie nie widzi ratunku. Okręt z nielitościwym bratem jego odpłynął już szybko i daleko. Nigdzie śladu innego okrętu, czy łodzi lub belki choćby. Lecz Sebastjan nie traci ducha, on wie, że Polacy, od których się wiary katolickiej nauczył, mają obronę, ratunek i wszelką pomoc w Maryi Częstochowskiej. Przenosi się tedy myślą na Jasną Górę i całem sercem z żarliwą wiarą oddaje się w opiekę Pani Częstochowskiej i wzywa Jej pomocy, wołając: „Ratuj mnie, bo ginę!" I oto w całej pełni okazała się łaska „Gwiazdy morza", bo nagle zjawił się jakiś okręt, a marynarze, widząc na fali rozbitka, wciągnęli go szczęśliwie na pokład.

W rok potem wdzięczny za cudowne ocalenie Sebastjan przybył z dalekiej Anglji i na Jasnej Górze dzięki Matce Boskiej złożył.

*

6. W roku 1626 wysłała Najjaśniejsza Rzeczpospolita w poselstwie do sułtana Tureckiego Imć pana Stefana Ossowskiego, herbu Gryf, z województwa Lubelskiego. Z nim razem jechał Imć Pan Ożga, kapitan z Trembowli. Spełniwszy szczęśliwie poselstwo, udał się Ossowski pewnego dnia z kilku panami na przejażdżkę morzem w stronę Azji. Początkowo przejażdżka była bardzo miła, pogoda sprzyjała, a wietrzyk chłodził przyjemnie. Naraz błękitne dotąd niebo pokryło

się czarnemi chmurami, zerwał się wicher i z ponurym rykiem począł pędzić okręt. Deszcz lał strumieniami. Fale rosły do olbrzymich rozmiarów, a okręt, gnany wiatrem, to wznosił się na szczyty bałwanów, to spadał z nich, jakby w otchłań. Trwoga opanowała podróżnych temwięcej, że marynarzom zabrakło już sił do walki z burzą, padali wprost ze znużenia. W tem niebezpieczeństwie poseł Ossowski, gotując się na śmierć, wspomniał, że ma na piersiach ryngraf Matki Boskiej Częstochowskiej, bez którego wówczas żaden rycerz nie wyruszał z domu; tknięty zbawienną myślą, zdejmuje ten ryngraf, zawiesza na ścianie okrętu i, padając krzyżem wraz ze wszystkimi obecnymi, oddaje się całkowicie w opiekę Maryi Jasnogórskiej i ślubuje Ją nawiedzić w Jej stolicy. W odpowiedzi na ten akt pełen głębokiej żywej wiary, Marya, matka Tego, co burzom rozkazuje, skinęła litościwie i natychmiast ucichł wicher, rozpierzchły się chmury, wygładziły fale, a podróżni szczęśliwie do portu przybyli.

Tak cudownie ocaleni wkrótce ślubu dopełnili i gorące dzięki złożyli swej Wybawicielce na Jasnej Górze.

*

7. W roku 1668 Wisła, królowa rzek polskich, szeroko rozlała swe wody, zatapiając hen, daleko, brzegi. W tym czasie wyjechały z Opatowa dwa

powozy z podróżnymi: to Jacek Dombski z Lubrańca z żoną Anną i synkami, Andrzejem i Pawłem chcieli się przeprawić na drugi brzeg Wisły niedaleko Zawichostu. Po namyśle zdecydowano się przewieźć karocę z podróżnymi promem. Gdy prom z umieszczoną karetą dopłynął do połowy rzeki, łańcuchy łączące prom z brzegiem nieszczęśliwym trafem zerwały się i karoca, ze znajdującymi się na niej dwoma synami pana Dombskiego, wpadła do wody. Przerażenie rodziców, znajdujących się na brzegu, było okropne. Wody Wisły podniesione kazały przypuszczać, że dla dzieci wybiła ostatnia godzina. Niebezpieczeństwo zwiększało się jeszcze przez to, że okna powozu były otwarte i woda, wdarłszy się, mogła zatopić chłopców.

W tem ciężkiem strapieniu pobożni rodzice padają na kolana i gorąco wzywają Maryę Częstochowską na pomoc, a mnóstwo ludzi, patrząc z brzegu na ten wypadek, łączy swe modły z modłami rodziców. Matka Najświętsza Jasnogórska natychmiast pośpiesza z pomocą: stał się cud, kareta zamiast ciężarem swym opaść na dno, płynęła spokojnie, a gdy nareszcie nadeszła pomoc, sprawdzono, że ani jedna kropla wody nie dostała się do wnętrza i dzieci wyszły bez najmniejszego szwanku.

Wkrótce potem cała rodzina przybyła na Jasną Górę, aby Panience Jasnogórskiej dzięki należne złożyć.

*

8. Ewa Woźniacka, piastunka z Kleczewa, wyszła pewnego dnia roku 1749 z powierzonem sobie dzieckiem, małym Jankiem, na przechadzkę. W pewnej chwili Ewa zostawiła chłopca nad brzegiem bystrej i głębokiej rzeki, a sama oddaliła się. Dziecko nieświadome niebezpieczeństwa zbliżyło się do wody, nóżka się usunęła i Janek wpadł do rzeki, której zdradziecka toń spokojnie zamknęła się nad nim. Na plusk wody Ewa przybiegła, lecz nie widząc dziecka, z bojaźni uciekła.

A rzeka płynęła, szumiąc radośnie, nie dbając, że w łonie swem pogrzebała wiośniane życie.

W pewnem oddaleniu od miejsca wypadku znajdowała się jakaś pani, która, będąc świadkiem nieszczęścia, pobiegła zawiadomić o tem matkę dziecięcia.

Biegła z rozpaczą w sercu matka chłopczyka, a za nią wielu ludzi. Rozpoczęto poszukiwania zwłok, zarzucono sieci, lecz te kilka razy wyciągano próżne. Dusza biednej matki omdlewała z bólu. Boże! czy zdradziecka rzeka nawet martwego ciałka oddać jej nie chce? Szukano długo i wytrwale a po pewnym czasie wydobyto Jasia na brzeg i oddano nieszczęśliwej matce. Któż nie odczuje, co się działo w jej sercu, gdy tak trzymała sinego, ociekającego wodą, spowitego w wodorosty synaczka? W swej rozpaczy wspomniała biedna na Matkę Boską Częstochowską, piastującą swego Boskiego Syna, tam na Jasnej Górze w Cudownym Obrazie; wspomniała na Najboleśniejsze

Serce tej matki siedmiu mieczami przebite, na Serce tak czułe i miłosierne, klęka tedy, trzymając chłopczynę i obfite łzy roniąc, ofiarowuje go Pannie Jasnogórskiej. A matka Boska Częstochowska ulitowała się nad boleścią matki i życie dziecięciu wróciła, bo oto Jaś oczęta otworzył, westchnął i z uśmiechem do piersi matczynej się przytulił.

*

9. W roku 1749 wracała z pielgrzymki z Jasnej Góry kompanja, złożona ze 100 ludzi, do domu na Morawy. Pątnicy zmuszeni byli przeprawić się na drugi brzeg Odry promem. Gdy już płynęli, zdarzył się wypadek: wskutek nieumiejętności przewoźników prom się przechylił i połowa pątników wpadła w głęboki nurt rzeki. Przerażenie pozostałych na brzegu i na promie było straszne, a co mówić o tych, co walczą z falami i, nie umiejąc pływać, zaczynają już tonąć? Lecz to byli pątnicy, czciciele Matki Boskiej Częstochowskiej. Wszak od Niej z odwiedzin wracają i tyle łask na Jasnej Górze z Jej miłosierdzia otrzymali; udają się tedy z modlitwą do Niej, a ci na promie i na brzegu padają na kolana i zlał się w jeden głos krzyk błagalny tych wszystkich pozostałych i tonących: „Panno Jasnogórska, ocal nas!" I oto wszyscy tonący, niewidzialną ręką Maryi kierowani, zostali szczęśliwie uratowani. W pierwszej chwili po ocaleniu spostrzeżono, że brakuje czterech osób; zdawało się, że potonęły, lecz wkrótce

znaleziono wszystkich na brzeg wyrzuconych, żywych i zdrowych.

Cud powyższy zeznał na Jasnej Górze uczestnik tej kompanji, Józef Cerka.

*

10. Dnia 6 września 1855 roku Bartłomiej Sanok ze wsi Przeciszewa w powiecie Wadowickim w Małopolsce — wówczas pod zaborem Austrjackim będącej — przybył na Jasną Górę i zeznał co następuje: służąc w wojsku Austrjackiem, w roku 1850 stał z pułkiem w pewnej wiosce odległej o 3 mile od Medjolanu we Włoszech. Pewnego wieczora o godzinie 8 śpieszył z raportem z koszar do kwatery dyżurnego oficera. W ciemności przez nieuwagę wpadł w głęboki kanał o brzegach murowanych. Biedak próbował się wydobyć, ale nie mógł z powodu prostopadłych ścian kanału. Długo pasował się w wodzie, długo płynął, nie mogąc znaleźć żadnego występu w murze, po którym mógłby się wydostać na brzeg; ani też przedmiotu, którego mógłby się uczepić i tak wzywać ratunku. Stracił siły oraz przytomność i począł tonąć. Gdy się już prawie żegna z życiem, wspomniał nagle na Ojczyznę i na to najdroższe każdemu sercu polskiemu miejsce, Jasną Górę, zaczął wzywać na pomoc Maryę Częstochowską, wołając: „Królowo niebios i ziemi, Matko Boska Częstochowska, ratuj mnie!" I naraz uczuł, że siły mu wróciły, rozjaśnił się umysł tak, że mógł swobodnie płynąć; dopłynął więc do jakiegoś słu-

pa, którego uchwyciwszy się wzywał ratunku. Zaraz też zjawili się ludzie, którzy go z kanału bez szwanku na brzeg wydobyli.

Na podziękowanie tedy za cudowny ratunek na Jasną Górę przybył i Maryi hołd złożył.

*

Takich cudów w kronikach jasnogórskich zanotowano przeszło 52.

Rozdział V.

WODZOWIE ZAWDZIĘCZAJĄ MARYI ZWYCIĘSTWO.

1. W roku 1410 król Władysław Jagiełło, fundator świątyni i klasztoru Jasnogórskiego, wielki czciciel Maryi Częstochowskiej, wyruszył na wojnę z licznem, bo około 100.000 rycerzy liczącem wojskiem, przeciw Krzyżakom. Wielce czułego serca król nie chciał tej wojny, lecz zmusili go do niej sami Krzyżacy, napadając i łupiąc ziemie polskie i litewskie. Dnia 15 lipca stanęły obydwa wojska, gotowe do boju, naprzeciw siebie. Przed bitwą pobożny Władysław Jagiełło wraz z całem wojskiem słuchał mszy świętych, klęcząc modlił się i płakał, że tyle krwi chrześcijańskiej ma się za chwilę polać, i błagał Maryę Jasnogórską o pomoc i błogosławieństwo. A butni wrogowie szydzili z naszych walecznych rycerzy i króla, mówiąc: „Więcej jest łyżek w obozie, niż mieczy do walki".

Zaintonowano „Bogu Rodzica Dziewica", a całe rycerstwo polskie pochwyciło tę przepiękną pieśń i z zielonych pól Tannenberga popłynął ku niebu zgodny chór stu tysięcy rozmodlonych głosów; śpiewano z całego serca i z głęboką wiarą w pomoc Matki Najświętszej.

I starły się ze sobą oba wojska, Krzyżacy z pysznym okrzykiem „Gott mit uns", Polacy szepcąc półgłosem „Zdrowaś Marja". Zwycięstwo chyliło się to na jedną, to na drugą stronę, a ranni i zabici usłali całe pole bitwy. I był moment, że już zwyciężać zaczęli Krzyżacy, lecz oto upadającym ze znużenia Polakom ukazał się na niebie św. Stanisław Biskup. Zrozumieli rycerze, że Marya Jasnogórska zsyła im ten znak swej opieki; z okrzykiem „Jezus, Marya", ze wzmożoną siłą i odwagą, rzucili się na wroga i, wkrótce zdobywszy 51 chorągwij krzyżackich, zmusili go do sromotnej ucieczki, a zdobyte sztandary zawieszono, jako wotum dziękczynne, Maryi w Katedrze wawelskiej.

*

2. Gdy w roku 1521 wybuchła wojna między królem Zygmuntem, a siostrzeńcem jego Albertem Brandeburskim, rycerz pewien, z zacnej krwi książęcej pochodzący, Przemysław Lanckoroński, wielki czciciel Maryi Częstochowskiej, mnóstwo bitew z Niemcem, na pomoc Maryę wezwawszy, wygrał. Razu pewnego, osaczony przez przeważające siły nieprzyjacielskie, nie widział już żadnego ratunku. Nie chcąc się poddać, ani też zginąć, udaje się do Matki Najświętszej. „Maryo Jasnogórska, przybądź mi z pomocą — woła — a ja Imię Twe Najświętsze do śmierci sławić będę". Zaledwie to wyrzekł, aliści napór nieprzyjaciół cudownie sfolgo-

wał; mężny rycerz, wzywając ciągle Imienia Maryi, przebił się z honorem przez zbrojne zastępy nieprzyjaciół i tak życie swe uratował, a potem na Jasnej Górze dzięki i ofiarę złożył.

*

3. W roku 1537 Rotmistrz, Prokop Siemieński, waleczny rycerz, wojując z Turkami, nad rzeką Seretem stoczył zwycięski bój. Jednak wkrótce, skutkiem odmiany losu, został zewsząd otoczony nieprzyjaciółmi. Walczył mężnie na czele swojej chorągwi, lecz wobec przeważającej liczby wrogów był skazany albo na haniebną niewolę (o czem i myśleć się wzdragał), albo na śmierć w boju. Mimo strasznego położenia, rycerz pragnie uratować życie swych towarzyszy i własne. Przeto zwraca się do Maryi Jasnogórskiej — a płonął zawsze ku Niej serdeczną miłością — i w gorących słowach, przepojonych głęboką wiarą, błaga Ją o wybawienie z tak srogiej opresji, ślubując odbyć pielgrzymkę. I wysłuchała Najświętsza Panna Marya pobożnego sługę swego. Był to dzień Jej święta, 2 lutego, Matki Boskiej Gromnicznej. Nie zwykła Marya nigdy prośbom odmawiać, a cóż dopiero w Jej uroczystość: i oto on i jego towarzysze poczuli, iż siły ich się skrzepiły, odwaga wzmogła, a nieprzyjaciel, jakby przerażeniem zdjęty, nie czyni przeszkód przedzierającym się przez jego szeregi i pozwala swobodnie przedostać się im na wolne pole. Tak to Imć Pan Rotmistrz

Prokop Siemieński wraz z towarzyszami swymi został cudownie przez Maryę Częstochowską uratowany od śmierci lub sromotnej niewoli; to też ślub spełniając, Jasną Górę nawiedził.

*

4. Za panowania króla Zygmunta Augusta w roku 1562 w czasie wojny o Inflanty, kiedy to zmagały się ze sobą: Polska, Moskwa, Szwecja i Danja, pewien rycerz, Krzysztof Wolski, mając ze sobą 200 Polaków i 80 Niemców, został oblężony przez Szwedów w zamku Białykamień. Znajdując się w oczywistem niebezpieczeństwie, całą swą ufność złożył w Maryi Jasnogórskiej i wraz z całem rycerstwem w codziennych modłach, z wiarą Jej przemożnej pomocy wzywając, nabożnem pieniem Ją wielbił i Jasną Górę nawiedzić ślubował. I taką mu łaskę Marya okazała, iż na męstwie i sile oblężonym zgoła nie zbywało, owszem tak się wybornie Imć Pan Wolski czuł, takiej odwagi nabrał, iż osiem wypadów z zamku uczynił i porażki Szwedom ustawicznie zadawał. A choć następnie złośliwą gorączką na łożu był złożony i cierpieniem wyczerpany, to jednak po sześciotygodniowem oblężeniu, ostateczną sromotną klęskę wrogowi zadawszy, z okolicy go wyparł. Zawdzięczając tę łaskę Matce Boskiej Częstochowskiej, przybył wkrótce potem z hołdem na Jasną Górę i złożył wotum dziękczynne.

*

5. W roku 1621 za panowania Zygmunta III dowództwo wojsk, walczących z Turkami, po bohaterskiej śmierci hetmana Stanisława Żółkiewskiego, przeszło w ręce Karola Chodkiewicza, hetmana wielkiego litewskiego. Mąż ten, pełen najpiękniejszych cnót rycerskich, pałał gorącą, iście synowską miłością ku Maryi, a już Obraz Jej cudowny na Jasnej Górze największą, jaka tylko być może, czcią otaczał. Kiedy objął dowództwo nad wojskiem, zastępy swe w liczbie 66.000 rycerzy, przeszedłszy Dniepr, obozem pod Chocimem rozłożył. Cały miesiąc oblegany był przez armję turecką, liczącą trzysta tysięcy ludzi. Siły były tak nierówne, że cudu trzeba było Polakom, aby nie zostali zmiażdżeni przez dzikie pogańskie hordy. Wiedział o tem wielki, a pobożny wódz, to też nakazał w obozie gorące modły. Kapłani codzień odprawiali msze święte, których klęcząc, wódz i rycerstwo nabożnie słuchali. Ślubowano Maryi Częstochowskiej pielgrzymki i wota i kornie proszono o pomoc i zwycięstwo, które, po ludzku sądząc, było niemożliwe.

Codziennie szły ćmy wroga do szturmu, codziennie zostawiając tysiące zabitych, sromotnie przez polskie rycerstwo odpierane były. Już tylko w obozie naszym jedna beczka prochu pozostała, już widmo klęski stanęło przed oczami Polaków. Tymczasem dnia 10 października zastępy tureckie z niebywałą furją rzuciły się do ataku. Nie tracą ducha Polacy, owszem czują, że jakaś dziwna moc z nieba zlewa się na nich, czują, ja-

koby się zwiększały ich zastępy. — „Anielskie li to hufce na pomoc przybywają, przez Panią Jasnogórską, Aniołów królowę, przysłane?" — mówią zdumieni między sobą i siła ich się zwiększa i odwaga wzrasta, a wrogowie jak muchy padają, gdziekolwiek uderzą na nich rycerze, Imienia Maryi wzywający. Czuli w sobie Polacy moc z nieba i nic dziwnego, bo w tym czasie, gdy pod Chocimem rozgrywał się bój o życie i wolność całego chrześcijaństwa, kapłan pewien, z Zakonu Jezuitów, O. Oborski, przebywający wówczas w Kaliszu, miał widzenie: iż nad polem bitwy unosił się wóz przedziwny, w którym klęczał zmarły w 1568 roku w opinji wielkiej świętości (wówczas nie kanonizowany jeszcze) św. Stanisław Kostka, a zwracając twarz swą w stronę walczących zastępów polskich, wskazywał je ręką znajdującej się przed nim Najświętszej Pannie z Dzieciątkiem na łonie i błagał o pomoc, a Dziecię Jezus, na znak wysłuchania próśb, z miłością wyciągnęło swe boskie rączęta ku świętemu chłopięciu. Przejęty tem widzeniem, czcigodny kapłan opowiedział je braciom swym, nie wiedząc, coby znaczyło, i dopiero w kilka dni potem dowiedział się, że w owym dniu Bóg dał zwycięstwo wojskom naszym nad Turkami.

A padło w on pamiętny dzień tak wiele pohańców, że sułtan trwogą zdjęty prosił o rozejm. Zawarto tedy dnia 10 października korzystny dla Polski pokój, i dzień ten, na podziękowanie Maryi Częstochowskiej za cud, po wiek wieków zą świę-

to ogłoszono. A król Władysław IV, który po ojcu tron objął, osobiście za tę łaskę Maryi na Jasnej Górze dzięki złożył.

*

6. Stanisław Koniecpolski, marszałek wielki koronny, zięć bohatera Stanisława Żółkiewskiego, mąż charakteru bez skazy, zażywający słusznie wielkiej sławy, pełen męstwa i świątobliwości, bardzo wiele w swem życiu zwycięstw dokonał, a jak to sam na Jasnej Górze z pokorą i ze łzami zeznał, zawdzięczał je wszystkie Maryi Częstochowskiej.

Odnosił sukcesy: w r. 1625 pod Kryłowem nad Kozakami, w roku 1627 pod Hamersztynem i w roku 1629 pod Trzcianą nad Szwedami. W 1630 roku bije Tatarów pod Perejasławiem, a w roku 1633 Turków pod Paniowcami. Poskramia bunty Kozaków w r. 1635 i w r. 1638 w obozie nad Starczem. Osaczony niejednokrotnie przez Wołochów, Turków, czy Kozaków, albo i Szwedów w przeważającej liczbie będących, zawsze obronną ręką z tych opresji wychodził, gdy tylko pomocy Panienki Jasnogórskiej wezwał. Przeto w dowód wdzięczności na Jasną Górę w roku 1638 przybył i świeczniki złote jako ofiarę zostawił.

*

7. W roku 1646 przybył na Jasną Górę rycerz Bartłomiej Mioduszewski i zeznał, że walcząc

w wojnie tureckiej, pewnego razu przez srogich pohańców zewsząd otoczony, nie miał wyjścia. Będąc w tak ciężkiem położeniu, wspomniał sobie, iż na piersiach ma puklerz przewyborny — ryngraf Maryi Jasnogórskiej, przeto uczyniwszy akt wiary, wzywa na ratunek Pannę Częstochowską, a ufny w pomoc tej Królowej Niebios, pełen otuchy rzuca się mężnie na wroga. Na widok takiej odwagi Turcy tracą głowę: jedni, a tych było mnóstwo, padają porażeni ręką rycerza — drudzy zaś pierzchają, a Bartłomiej Mioduszewski, przedarłszy się przez wraże szeregi i nie poniósłszy żadnego szwanku, cudownie uszedł śmierci.

*

8. Gdy w roku 1655 padła potęga polska pod butną stopą najeźdźcy szwedzkiego; gdy warowne polskie zamki i grody jedne zdradą, a inne siłą przez wroga zdobyte zostały; gdy Kraków i Warszawa padły w boju; gdy już prawie że piędzi ziemi wolnej nie zostało, Jasna Góra postanowiła nie poddać się Szwedom. Posłał król szwedzki, Karol Gustaw, pod dowództwem generała Burcharda Millera swe wojska, by zdobyć tę niezbyt warowną fortecę. 18 listopada Miller otoczył z kilkutysięcznem wojskiem klasztor i żądał poddania się.

A był wówczas na Jasnej Górze przeorem OO. Paulinów mąż wielce świątobliwy i mężnego ducha, O. Augustyn Kordecki. Ten, mając zgromadzonych w klasztorze kilkudziesięciu zakonników,

garść mieszczan, trochę szlachty i żołnierzy, natchniony duchem Bożym, odpowiedział, że klasztoru nie podda. Rozgniewany Szwed przypuszcza gwałtowne szturmy do twierdzy, myśląc, że „ten kurnik" odrazu zdobędzie, lecz zawiódł się srodze; ze wstydem i dużemi w ludziach stratami cofać się musiał, odparty celnemi strzałami broniącej się garstki. I tak dzień po dniu w ciągu prawie 6 tygodni ataki ponawiał, pieniąc się z bezsilnej złości, że klasztoru zdobyć nie może.

A na Jasnej Górze dzień i noc zanoszono modły do Maryi; dzień i noc na zmianę leżeli krzyżem: rycerze, mieszczanie i mnisi. Postać pobożnego zakonnika O. Kordeckiego jakby się pomnażała. Był wszędzie. To go widziano w kaplicy modlącego się żarliwie, to z krzyżem w ręku przebiegał wały, zagrzewając do obrony, to krzepił wątpiących, to rannych pocieszał, wszędzie widać było jego białą postać. A Marya Jasnogórska codzień cudowną swą opiekę jawnie okazywała. Przy każdym szturmie widziano z obozu szwedzkiego Panią w błękitnym płaszczu, w towarzystwie sędziwego starca, zapewne św. Pawła pustelnika, jak, unosząc się nad oblężoną twierdzą, to ręką kule z nad klasztoru na obóz nieprzyjacielski odrzucała, to płaszczem swym od pożaru Jasną Górę osłaniała. Codzień z okrzykiem „czary, czary katolickie" padali rażeni własnemi kulami żołdacy szwedzcy. Zastępy ich ciągle malały, zaścielając stoki polskiego Syonu, a klasztor stał cały,

a obrońcy jego, ducha nie tracąc, mężnie się bronili. I oto generał Miller, nie mogąc ani siłą, ani układami zdobyć „kurnika", w święto Bożego Narodzenia, w nocy cichaczem z hańbą uciekł. Po odstąpieniu wroga, na Jasnej Górze zapanowała radość ogromna. Z tą siłą, z jaką proszono, dziękowano teraz za cud wspaniały. Lecz nietylko samą Jasną Górę Marya cudownie obroniła, z nią obroniła i Polskę całą. Na wieść, że Matka Najświętsza Częstochowę uratowała, obudził się naród z rozpaczy i odrętwienia. Ta pewność, że „Panienka Jasnogórska z nami!" wskrzesiła dawne męstwo. I wkrótce wróg, sromotnie wypędzony z granic Rzeczypospolitej, ustąpić musiał. A król Jan Kazimierz 28 lutego 1657 r. na Jasnej Górze Maryi dzięki złożył, wprzód Ją we Lwowie dnia 1 kwietnia 1656 roku uroczyście Królową Polski ogłosiwszy.

*

9. W roku 1683 nawała turecka groziła zalewem całej Europie. Wojska mahometańskie posunęły się aż pod Wiedeń. Zdawało się, że niema dla chrześcijaństwa ratunku. W tem ciężkiem położeniu posyła Ojciec święty Inocenty XI posła swego z prośbą do Jana III, aby pośpieszył na odsiecz Wiednia. Zebrał więc pobożny król 34 tysiące wojska i ruszył na pomoc. Przedtem jednak zatrzymał się na Jasnej Górze, gdzie przebył cały dzień, gorąco się modlił przed Cudownym Obrazem Maryi, Jej opiece się polecając i o zwycięstwo

prosząc; tamże od Ojców Paulinów na wyprawę błogosławieństwo otrzymał, jak również szablę w kosztownej pochwie.

Przybył król pod Wiedeń, gdzie połączywszy się z niewiele więcej niż 34.000 ludzi liczącem wojskiem cesarskiem, gotował się do rozstrzygającej bitwy. Rano dnia 12 września słuchał Jan III Mszy świętych, sam do jednej z nich służąc, komunikował pobożnie, krzyżem leżał i ciągle wraz z całem wojskiem Matce Najświętszej się polecał i aby wszystko pod Jej znakiem było, hasło na ten dzień wojsku wydał: „W Imię Panny Maryi, Panie Boże dopomóż". O godzinie 2 po południu, śpiewając „Bogu Rodzica", ruszyli rycerze do ataku; król, stojąc na wzgórzu, błogosławił ich drzewem krzyża św. i relikwjami świętych, a w rozstrzygającym momencie sam dowodził husarją.

I rozsypała się w proch w onym dniu potęga bisurmańska; nim noc zapadła, Marya, kierująca mieczem sług swych „starła pyszne rogi Turczynowi" a padło ich wówczas 25.000, gdy polskich rycerzy tylko tysiąc.

O. Marek D'Awiano kapucyn, kapelan królewski, zeznał, iż widział w czasie bitwy, unoszącą się nad głową króla i rycerzy, białą gołębicę. Był to zapewne widomy znak cudownej opieki Maryi Jasnogórskiej.

Wdzięczny Jan Sobieski za tak cudem uzyskane zwycięstwo, wiele pamiątek na Jasnej Górze zostawił.

*

10. W latach 1914—18, wielu Polaków życie swe i w bojach zwycięstwo Maryi Jasnogórskiej zawdzięczało.

Oto jeden przykład: w roku 1918 w walkach z ukraińcami w obronie Lwowa, brał udział młodzieniec pewien, dziecko prawie, Hieronim Szulc-Wajzych z Częstochowy. Chłopiec ten przed wojną jeszcze bez wiedzy kochających go opiekunów (Hieronim od 10 roku życia był sierotą) został członkiem jednej z bojowych organizacyj, to też w roku 1916 zawezwano go nagle z wielu innymi do legjonów. Przed wyjazdem z Częstochowy miał zaledwie odrobinę czasu, by się pożegnać z ciotką, która mu błogosławieństwa i pobożnych rad nie szczędziła. Młodzieniec ten, wychowany nadzwyczaj bogobojnie, miał, jak każdy Polak-katolik, w dodatku częstochowianin, gorące nabożeństwo do Maryi Jasnogórskiej. Wyjechał więc uzbrojony czcią do Niej i okryty Jej puklerzem: miał bowiem na piersiach zawieszony na łańcuszku, poświęcony na Jasnej Górze, dość duży ryngraf z Matką Boską Częstochowską, otrzymany od pewnej pobożnej panienki, mieszkanki Podjasnogórza.

Ze wszystkich przygód wojennych Hieronim wychodził cało i bez szwanku. Naraz w czasie potyczki pod Bełzem pada ugodzony wrażą kulą w pierś, lecz co to? podnosi się natychmiast zdumiony, czuł wprawdzie uderzenie dość bolesne, ale krwi nie widzi, ogląda miejsce ugodzone — znajdowało się ono na piersiach tam, gdzie spoczywał

ryngraf — i co spostrzega? oto kula, godząc w serce, przebiła mundur i zatrzymała się na medaliku, a nie czyniąc najmniejszej rany, spadła na ziemię. I tylko na ryngrafie tam, gdzie była wyobrażona główka Dzieciątka Jezus, pozostał znak jej bytności: dość znaczne wgłębienie.

Wkrótce Hieronim, korzystając z urlopu, przybył do Częstochowy, gdzie Maryi gorące dzięki za ocalenie złożył.

*

11. Zdawałoby się, że już teraz, gdy Opatrzność Boska powołała znów Polskę do samodzielnego życia, Ojczyzna nasza nareszcie odetchnie. Jednakże Bóg miłosierny chciał jeszcze Naród nasz doświadczyć, obmyć raz jeszcze dawne winy we krwi ofiarnej wiernych Polski synów.

W roku 1920 jeden ogromny jęk podniósł się od wschodnich rubieży Polski. Wróg Ojczyzny naszej, dziki Bolszewik, wtargnął w granice kraju, niszcząc i potokami krwi zalewając miasta i wioski. Krwawy wróg wycinał bezbronnych, palił, rabował, bezcześcił świątynie i dwory, zabijał i więził sługi ołtarza. W ślad za jego zaborczą stopą płynęła krew, dymiły zgliszcza. A wojsko nasze zmęczone cofało się i cofało ciągle, a wróg szedł wytrwale naprzód.

Lęk padł na Naród. Nowe widmo niewoli, niewoli straszniejszej niż poprzednia, stanęło przed

nami. I znikąd ratunku. Sąsiedzi, jedni z radością, jak Niemcy, a drudzy obojętnie patrzyli, jak Polskę, to przedmurze cywilizacji, zalewa brudny i krwawy Bolszewik. Na początku sierpnia już straszne hordy wroga podchodziły pod Warszawę, znikła, mówiąc po ludzku, nadzieja zwycięstwa. I oto wspomniał Naród nasz, że ma na Jasnej Górze Najwyższą pomoc i ratunek, że stamtąd już nieraz wyciągała się ku niemu zbawcza dłoń Maryi. Popłynęły tedy modły z całego kraju do Królowej Korony Polskiej i uderzyły dzwony, wzywając wiernych na nowenny błagalne. Warszawa cała, za wzorem bohaterskiego i pobożnego generała Józefa Hallera, obrońcy stolicy, błagała o zmiłowanie; na miasto w procesjach błagalnych, wynoszono Najświętszy Sakrament z relikwjami świętych, a wszystkich oczy i serca zwrócone były w stronę Jasnej Góry, czekając stamtąd ratunku.

Na Jasnej Górze w tym czasie rozpoczęto nowennę błagalną do Maryi. W pierwszych dniach nowenny zapełniona była wiernymi cała świątynia, lecz później, 12 i 13 sierpnia, kościół okazał się za małym, przeniesiono więc nabożeństwo na Szczyt i tu u stóp Maryi leżał w prochu twarzą na ziemi lud zbolały i strwożony, leżeli krzyżem świątobliwi zakonnicy, a na tle kopji Cudownego Obrazu, Chrystus utajony, ze złotej Monstrancji, słuchał jęków i błagań. I szły ku Maryi ślubowania i ofiary, a w czasie pokutnej modlitwy „Przed oczy Twoje, Panie" tysiące rąk wznosiło się ku niebu,

a strumienie łez przesiąkały ziemię. A codzień jeden z zakonników, w krótkich a serdecznych słowach przemawiał i ostatnie wiadomości, od których z trwogi włosy powstawały na głowie, serce zamierało, a krew w żyłach krzepła, z frontu ogłaszał. I były te wiadomości codzień gorsze: już straszny wróg stanął nad Wisłą pod samemi murami Warszawy; już w stolicy huk armat spłoszył sen z powiek. Gotowano się do strasznej, ostatecznej rozprawy. I stanęła z jednej strony ćma bezbożnych Bolszewików, a z drugiej, żołnierzyki-dzieci, chłopcy od 14 do 20 lat, lecz z wrogiem był szatan, a z nami Marya; na piersiach polskich żołnierzyków był szkaplerz Maryi, na ustach Jej Imię, w sercu Jej miłość, a na czele kapłan, ks. Skorupka, z godłem zbawienia, krzyżem, w podniesionej ręce. I jak pada pod kosą żniwiarza w sierpniowy dzień łan złotego zboża, tak tego dnia 14 sierpnia 1920 roku, dnia po wieki pamiętnego, padł zastęp chłopiąt-rycerzy z Imieniem Maryi na stygnących ustach, padł kapłan-bohater, lecz z nimi razem padła i moc wraża. Męczeńska krew tych dzieci, modły narodu całego, wzruszyły serce Maryi: Królowa wstawiła się za wiernymi poddanymi, a pokazując Jezusowi czyste duszyczki poległych młodzieniaszków, rozbroiła swą prośbą sprawiedliwą rękę Boga. I stał się cud: na wroga padł dziwny niepojęty lęk; on, tak dotąd butny i szatańsko pyszny, zatrzymał się na moment w krwawym pochodzie, a potem w trwodze cofać

się począł. Wojska polskie, wspierane mocą z wysoka, kierowane Najświętszą ręką Maryi Częstochowskiej, parły go zwycięsko na wschód.

Zabrani przez wojska nasze jeńcy bolszewiccy przekonywali naszych żołnierzy, że, gdyby nie jakaś postać niewieścia, która, unosząc się nad Warszawą, odrzucała pociski, przez ich baterje miotane na stolicę, gdyby właśnie nie te jakieś „katolickie czary", oniby nietylko Warszawę, ale Polskę całą zdobyli, a nasi dzielni wojacy, żegnając się pobożnie i czule całując zawieszone na piersiach szkaplerze i medaliki, ze łzą w oku mówili: „Tak, to napewne Królowa Korony Polskiej, Panienka Jasnogórska, tak Warszawy i Polski broniła".

Gdy na Jasnej Górze 14 sierpnia na zakończenie nowenny, jeden z białych stróżów klasztoru zawiadomił wiernych, że Marya wysłuchała prośby nasze, że już zachwiał się wróg, z tysiąca piersi ku czystym błękitom nieba wyrwał się ogromny, potężny, dziękczynny szloch, i padli wszyscy krzyżem, dziecię obok starca, pani obok żebraczki i podwoili modły do Panienki Jasnogórskiej o dalszą pomoc i zwycięstwo.

I uciekł sromotnie pohańbiony wróg, a choć zostawił po sobie płacz matek, wdów i sierot, Naród nasz krzepił się wiarą, że Marya Częstochowska nas kocha, że zleczy rany i pocieszy. Z wdzięczności też za cud nad Wisłą, w maju 1926 roku ze składek wszystkich złożone zostało Maryi na

Jasnej Górze wotum: kosztowne berło i jabłko królewskie, jako symbol Jej władzy nad nami, a dzień zwycięstwa, dzień Jej Wniebowzięcia 15 sierpnia, obrał sobie nasz Naród za święto narodowe i odtąd czci ów wielki przez Maryę uczyniony „Cud nad Wisłą".

Rozdział VI.

MARYA UWALNIA JEŃCÓW ZE SROGIEJ NIEWOLI LUB W CIERPIENIACH POCIESZA.

1. Wacław Chorzelski i Jan Wielecki w roku 1540, za panowania króla Zygmunta Starego, zostali przez Tatarów wzięci do niewoli. Okutych i przywiązanych do siodła, wlekli okrutni Mongołowie do swych osiedli. Wreszcie zbici, głodni, spragnieni, okryci ranami, w nędznych łachmanach, znaleźli się na półwyspie Taurydzkim, gdzie ich, skutych ciężkiemi łańcuchami, wtrącono do ciemnych i wilgotnych lochów. Zdawałoby się, że z tak okropnego położenia niema już wyjścia, że tylko śmierć litościwa wyratować ich może. Lecz oni ducha nie tracili. Obaj bardzo pobożni, odznaczali się szczególniejszem nabożeństwem do Najświętszej Panny Częstochowskiej. Nie rozpaczają więc, nie szemrzą, nie złorzeczą, lecz z największą ufnością padają na kolana, a wzniósłszy oczy w górę, ślubują Jasnogórskiej Panience, że Ją w Częstochowie odwiedzą, i proszą z dziecięcą ufnością, by ich z tej niewoli wybawiła. I oto nie mija nawet kilka dni, a Matka Najświętsza sprawia, że cudownym sposobem pozbywają się kaj-

dan, niepostrzeżenie wydostają się z lochów i, niezatrzymani przez nikogo, szczęśliwie uciekają do ojczyzny, gdzie natychmiast spełniając ślub, nawiedzają Jasną Górę, a cudownej Wybawicielce gorące dzięki składają.

*

2. Za panowania króla Zygmunta Augusta w roku 1566, w czasie wojny o Inflanty, był porwany w niewolę przez Moskali pewien rycerz Jan Litaar. Złośliwi wrogowie zakuli szyję jego, ręce i nogi w ciężkie kajdany i zamknęli w zamku Białe Jezioro. Okropne chwile spędzał nieszczęśliwy jeniec w głębokich lochach zamczyska. Dzicy żołdacy naigrywali się z niego ciągle, kajdany ciężyły, głód i pragnienie dokuczały często. W tej srogiej, smutnej i ciężkiej doli, udaje się rycerz do Matki Najświętszej Jasnogórskiej. Prosi serdecznie i gorąco Tę Najlitościwszą Panią o ratunek, składając ślub, że na Jasną Górę z podzięką za pomoc pośpieszy. I Matka Najświętsza nie omieszkując przybyła na pomoc błagającemu z wiarą. Jak słabe nici, zrywa Jan Litaar ciężkie kajdany z szyi, rąk i nóg; jak duch przemyka się przez straże, wpław przebywa rzekę, płynącą obok zamku, i niosąc ze sobą jako skarb najdroższy cudem zerwane okowy, do Częstochowy pośpiesza, gdzie je Maryi jako wotum za cudowne wybawienie, w Jej kaplicy po stronie prawej zawiesza.

*

3. W roku 1617 waleczny rycerz, Gabrjel Czarnecki, bijąc dzielnie na Wołyniu Tatarów, nieszczęsnym trafem razem z oddziałem swym dostał się do niewoli. Przywleczono go do obozu przytroczonego do konia i skazano na śmierć. Wiedział rycerz, że Tatarzy, nim jeńca uśmiercą, pierwej okrutnie znęcają się nad nim, i cała dusza jego wzdragała się na myśl czekających tortur. Okuto biednego jeńca łańcuchami i na noc przytwierdzono do pala, wbitego wpośrodku obozu. Może to właśnie ten pal miał być okrutnem narzędziem męki? pomyślał nieszczęsny rycerz. I przejęty trwogą, począł błagać Maryę Jasnogórską, aby się nad nim zlitowała i ratunek jakowy zesłać raczyła. I ślubował wierną służbę ku Jej czci i pielgrzymkę do Częstochowy, gdy już będzie wolny. Gdy tak się żarliwie i z ogromną wiarą modli, naraz nietknięte ręką niczyją cudownie spadają ciężkie łańcuchy i rycerz zdumiony ujrzał się wolnym. Tłumiąc kroki i oddech, a w głębi serca wzywając ciągle Matkę Najśw., przechodzi niewidziany i niezatrzymywany przez śpiący obóz i wydostaje się na wolność. A oto rano Tatarzy, obudziwszy się, spostrzegają ucieczkę jeńca, siadają na rącze konie i puszczają się za nim w pogoń, obiecując mu zgotować jeszcze cięższe męczarnie. Dogonili rycerza w szczerem polu, nieszczęsny nie miał miejsca, dołu, góry, czy drzewa lub kamienia, by się schronić. Naokół gładki, równy step... Widząc, że się doń zbliżają i lada chwila na arkan schwytać mogą, pada na kolana i woła: „Ratuj Panienko

Niepokalana, bo wybiła moja ostatnia godzina". I stał się drugi cud: rycerz zrobił się niewidzialnym i Tatarzy przejechali obok, nie widząc go zgoła.

Przybywszy szczęśliwie do Polski, rycerz niezwlekając ślub swój spełnił, Jasną Górę nawiedzając.

*

4. Marcin Żebrowski w roku 1623, ujęty przez Tatarów w jasyr, najpierw został wrzucony w dół pełen wężów jadowitych i innych gadów, skąd jednak, wzywając pomocy Maryi, nietknięty przez nie, cało wyszedł. Potem okuto go w łańcuchy, krępując szyję, ręce i nogi, i wrzucono do lochu pełnego zgnilizny, gdzie z tęsknoty za ojczyzną i rodziną sechł, marniał i prawie dogorywał. Pewnego razu próbował uciekać, lecz mu się to nie udało i odtąd poczęto się z nim jeszcze okrutniej obchodzić. Po pewnym czasie został sprzedany do Turcji, gdzie jako niewolnik w ciężkiej pracy wiódł życie nader opłakane. Wkońcu sprzykrzywszy sobie tak nędzny żywot, postanowił jeszcze raz uciec. Przygotował sobie wszystko, wyczekał chwili odpowiedniej i zbiegł. I znów mu się nie poszczęściło, został schwytany i za karę skazany na obcięcie nosa i uszu, lecz pan jego, zdjęty dziwną litością, przebaczył mu. Tak przebył w srogiej kaźni pięć lat. Nie mogąc już dłużej znieść mąk tęsknoty, udał się po ratunek do Maryi Jasnogórskiej i począł prosić Ją w gorących słowach, aby

mu pozwoliła wydostać się z niewoli, a on Jej stolicę ślubuje nawiedzić. Pełen żywej wiary i ufności w pomoc Matki Najśw., przygotowuje się po raz trzeci do ucieczki i oto teraz przy pomocy Maryi, niepostrzeżony, dostaje się do Konstantynopola, gdzie się przez czas długi ukrywa. Następnie, skorzystawszy z przyjazdu posła króla Zygmunta III, z nim razem szczęśliwie przybywa do ojczyzny, gdzie wywiązując się ze ślubu, Maryi w Częstochowie za cudowne uwolnienie dzięki składa.

*

5. W roku 1623 został wzięty do niewoli przez Tatarów Marcin Michałowski. Srodze się z nim obchodzono w obozie tatarskim, lecz daleko gorzej było mu u pewnego Turka, któremu go wkrótce sprzedano. Niegodziwy pan obciążał niewolnika pracą, obsypywał obelgami, nie szczędził razów, a pożywienie dawał gorsze, niż psom. I ani na chwilę nie wolno mu było spocząć w dzień, a w nocy, w ciemnym wilgotnym lochu, okuty w ciężkie żelaza, na zgniłym barłogu miał spoczynek. Mury kamienne więzienia były świadkiem jego tęsknoty za rodziną i ojczyzną; one słuchały jego płaczów i jęków, na których spędzał noce. Lecz okropne cierpienia Marcina zwiększyły się jeszcze, gdy Turek, u którego był niewolnikiem, począł go namawiać, a nawet zmuszać, by wyparł się wiary św. i przyjął Koran. „O, Boże! jęczał nieszczęśliwy, czara mej niedoli przepełniona po brzegi, jać to,

rycerz Maryi, Sodalis Marianus, syn Narodu wiernego Kościołowi katolickiemu, ja mam się wiary zaprzeć? Nie dopuść tego, Panno Najśw. Częstochowska, i ratuj mnie! Dodaj sił, wybaw z niewoli!" Gdy tak jęczy, modli się i zalewa łzami, Marya Jasnogórska przychodzi mu z pomocą, staje się cud, żelazne łańcuchy pękają i opadają na ziemię. Marcin jest wolny! lecz co zrobić z okutemi drzwiami, zawsze zamkniętemi? Z bijącem sercem zbliża się do nich i o cudzie, pod dotknięciem ręki drzwi cicho się otwierają; zbiera więc kajdany i wychodzi na dwór. Tu nowe niebezpieczeństwa czyhają. Może psy poczują, może ktoś się zbudzi? Lecz rycerz się nie lęka, ufa Maryi, że go cudownie wyprowadzi. Modli się tylko, i szczęśliwie, nie zbudziwszy nikogo, uchodzi z domu niewoli. Wkrótce przybywa, nie zatrzymany nigdzie, do Polski i na Jasnej Górze w Cudownej kaplicy, na kracie z lewej strony, jako dowód cudu, kajdany zawiesza, gdzie je do dnia dzisiejszego oglądać można.

*

6. Krzysztof Cieszyński, marszałek polny, walcząc w obronie Ojczyzny, został w niefortunnej bitwie w roku 1623 wzięty przez Turków do jasyru. Trzy lata zakuty w ciężkie pęta, znosił okropne męki niewoli. Nie szczędzono mu cierpień ani fizycznych, ani moralnych. Na każdym kroku był okrutnie lżony i męczony. Próbował nieraz zdjąć nienawistne kajdany, ale okazało się to niepodo-

bieństwem. Pewnego dnia po niepomyślnych wysiłkach w celu uwolnienia się, zrozpaczony zasnął mocno. I oto ukazał mu się we śnie jakiś czcigodny starzec i rzekł: „Idź do Częstochowy". Budzi się marszałek, odruchowo chwyta za łańcuchy i zdejmuje je z nadzwyczajną łatwością. Pada tedy na kolana, składa dzięki Pannie Najśw. Częstochowskiej za cud i prosi gorąco o dalszą pomoc. I nie zawodzi go ufność; szczęśliwie pokonywa wszelkie trudności, dociera do Polski, idzie aż do Częstochowy i tu na Jasnej Górze, przez całą Mszę świętą krzyżem leżąc, za cudowne wybawienie z niewoli dziękuje.

*

7. W roku 1629 napadł na Polskę dziki i okrutny han tatarski, Dżannibeggirej. Hordy jego dotarły aż do Przemyśla, gdzie wówczas pobrano mnóstwo niewiast i dzieci do jasyru. Między innemi w liczbie tych nieszczęśliwych branek znajdowała się i Jadwiga Strzyżewska. Ta biedna niewiasta, delikatnego zdrowia, dużo w tej strasznej niewoli znosiła udręczeń ciała i ducha. Najsrożej jednak dokuczała jej tęsknota za rodziną i Ojczyzną. Tak cierpiała 2½ roku. Wyprowadzono ją wreszcie wraz z 50 towarzyszkami na targ niewolników i tu pewnemu panu sprzedano. Pierwszej zaraz nocy, będąc przejęta okropną trwogą o los, jaki ją u nowego pana czekał, padła na kolana i, rzewnie płacząc, Matce Najśw. Częstochowskiej polecać się poczęła. Gdy tak się modli, aż oto mocą cudowną

opadają kajdany, i drzwi, na wiele rygli i kluczy zamknięte, same się otwierają naoścież. Zrywa się Jadwiga i wybiega na dziedziniec, nigdzie nikogo niema, nikt jej nie widzi. Uciekła. Obudziwszy się, pan zobaczył drzwi otwarte, porzucone łańcuchy i pustą ciemnicę. Woła więc wiernego sługę i, strasznym gniewem miotany, puszcza się w pogoń konno za niewolnicą. Dopędzono ją na drodze. Branka nie traci ufności w pomoc Maryi, nie zważa na prześladowców i idzie dalej śmiele. I stał się cud: pan i sługa, którym Panna Najśw. Jasnogórska wzrok zaćmiła, spojrzawszy w twarz spotkanej Jadwidze, nie poznali w niej zbiegłej niewolnicy i popędzili dalej. A ona, polecając się ciągle Matce Najśw., przybyła bez szwanku do Ojczyzny i Pannie Najświętszej na Jasnej Górze złożyła najserdeczniejsze dzięki.

*

8. W czasie pamiętnej wyprawy wiedeńskiej w roku 1683, dostał się do niewoli tureckiej Albert Jarzyna, pobożny czciciel Matki Boskiej. Przez 12 lat ten nieszczęsny znosił wszelkie udręki niewoli. W tym czasie wypadła wojna między Turkami a Persami i Arabami. Turcy zmusili biednego jeńca do wzięcia w niej udziału.

Oprócz Jarzyny było w niewoli dużo innych jego rodaków. Pewnego razu został skrytobójczo zamordowany jakiś Turek i podejrzenie padło na Polaków. Próżno się biedni bronili, wykazując swą niewinność; skazano ich wszystkich, a między ni-

mi i Jarzynę, na karę śmierci. Rozpoczęła się egzekucja. Wyprowadzano skazańców kolejno na miejsce kaźni i okrutnie mordowano. Pozostał jeszcze w lochu Jarzyna. Widząc zbliżającą się ostatnią chwilę, pada nieszczęsny na kolana i woła z głębi serca: „Najmiłosierniejsza Matko Zbawiciela i Najukochańsza Matko moja, Panienko Częstochowska, tyluś już wybawiła od śmierci niewinnej, wybaw i mnie!" Zaledwie to wymówił, aliści kajdany same opadają; podbiega do drzwi — okazują się otwarte; wychodzi na dziedziniec — Turcy w dziwnem zamieszaniu nie spostrzegają go, ucieka więc szybko i po szczęśliwem zwalczeniu trudów długiej podróży staje na Jasnej Górze, gdzie Najśw. Częstochowskiej Maryi najkorniejsze i najserdeczniejsze dzięki za życie i wolność składa.

*

9. W 1747 r. Michał Święcicki wyemigrował z Polski do Niemiec. Tam w Brandenburgji w mieście Kraplowa osiadłszy, wkrótce pojął za małżonkę Małgorzatę Denyk. Przebywał w Niemczech lat trzy i nieźle mu się wiodło. Pracował jako rolnik u jakiegoś Niemca. Zdarzyło się raz, że został posądzony przez pana swego, jakoby, znalazłszy skarb na pańskiem polu, przywłaszczył go sobie. Napróżno Michał tłumaczył, że o niczem nie wie, że nic nie wykopał; napróżno powoływał się na dotychczasową uczciwą pracę swoją; nie wierzono mu i zły Niemiec kazał go wtrącić do więzienia. Okropne to było miejsce. Codziennie na-

mawiano go, a nawet zmuszano, aby się przyznał do niepopełnionej winy. I trzymano Michała w tem zamknięciu 50 tygodni. Minęła wiosna, lato, jesień i zima mroźna, nadchodziła już druga wiosna, a nieszczęśliwy więzień nie miał żadnej nadziei, by go kiedykolwiek z ciemnicy wypuszczono.

Radował się świat cały z nadchodzącej wiosny, z nastania wonnych, ciepłych i słonecznych dni, tylko Michałowi było ciągle zimno, wilgotno i ciemno, ani jeden promyk słońca nie wdzierał się do jego lochu i kto wie — może już nigdy nie będzie mu dane oglądać słońca, odetchnąć wolnem powietrzem. Może już nigdy nie zobaczy drogiej Ojczyzny, którą przed paru laty tak lekkomyślnie opuścił? Może nigdy nie odwiedzi Cudownej Panienki Jasnogórskiej? Serce ściskało mu się niewypowiedzianym bólem i rozpaczą. Więc bez ratunku ma ginąć w tem strasznem więzieniu, przykuty jak zwierzę dzikie? A był to dzień Zmartwychwstania Pańskiego, tak uroczyście obchodzony w dalekiej Polsce, pobożnej Ojczyźnie więźnia. Gdy tak gorzko rozmyślał nad swą dolą, w udręczonym jego mózgu błysnęła jakaś myśl promienna: a gdyby tak udać się po ratunek do Matki Najśw. Częstochowskiej, gdyby tak Ją o pomoc poprosić. Uchwyciwszy się tej zbawczej myśli, upada na kolana i modli się, i łka, i jęczy, i prosi o litość. I ulitowała się Marya Jasnogórska i zmiłowała się nad niewinnie posądzonym, zabłąkanym w ziemi obcej i wrogiej, poddanym Jej królestwa: i z brzękiem

Matka Boska ratuje rozbitka na Morzu Bałtyckiem.
Fresk na Wielkim Kościele.

opadły łańcuchy, zerwane Jej ręką Najświętszą. Michał uczuł się wolnym. Bez trudności opuszcza więzienie, ucieka i szczęśliwie przybywa na Jasną Górę, gdzie na twarz padłszy, Najukochańszej Matce za ratunek dziękuje.

*

10. Za panowania króla Augusta II Sasa Naród nasz, pogrążony w gnuśności, nie dbał o całość granic Rzeczypospolitej. Ościenne, a wrogie nam, bo już myślące o rozbiorze Polski, państwa gospodarowały bezkarnie na naszej ziemi. Bardzo często zdarzało się, że król pruski, czy cesarz austryjacki, werbował, lub siłą nawet zabierał ludzi naszych do szeregów swego wojska. Tak się rzecz miała i z Albertem Pisarczykiem. Zaciągnięty przemocą do armji austryjackiej i następnie wysłany na wojnę turecką, dostał się do niewoli. Zamknięto go w twierdzy w Belgradzie, gdzie przesiedział zakuty w ciężkie żelaza lat 7, cierpiąc okropne udręczenia od bisurmanów, którzy celowali w zadawaniu wyrafinowanych mąk więźniom. Znosił je cierpliwie nieszczęśliwy jeniec, lecz w końcu czuł, że mu już sił nie staje cierpieć dłużej. Udaje się tedy do Matki Najśw. Częstochowskiej i prosi o ulgę w męczarniach, o pomoc w utrapieniu i o wybawienie z więzienia. A tak się umiał modlić ufnie, tak prosił rzewnie i wytrwale, tak serdecznie ślubował nawiedzić Jasną Górę, że wzruszył czułe serce Matki Bożej i został wysłuchany. Bez pomocy ludzkiej spadły cudownie cięż-

kie pęta z rąk i nóg jego, podjął je i niewidziany przez straże, cudem wymknął się z pilnie strzeżonej twierdzy, przeszedł niepoznany, przez cały kraj wraży i dotarł do Częstochowy, gdzie na Jasnej Górze na świadectwo wdzięczności kajdany złożył. Działo się to w roku 1705.

*

11. Po rozdarciu przez wrogów Polski na trzy części buntował się Naród, chcąc zrzucić hańbiące jarzmo. Dwa razy, w r. 1830 i 1863, zrywała się młodzież do walki za wiarę i wolność; dwa razy padła zdeptana brutalnie. I tylko kazamaty więzienne zapełniły się kwiatem Narodu i rozełkały jękiem katowanych. Tylko stoki cytadeli spłynęły potokami krwi męczeńskiej, a kraj cały najeżył się lasem szubienic, drogi zaś zapełniły się kibitkami, w których wywożono zesłańców na Sybir, lub gromadami zakutych w kajdany pędzonych pieszo przez Kozaków. I zabierano nam mowę ze szkół i urzędów; prześladowano za wiarę. I upadał duch Narodu, dławiony rękami zaborców, i byłby upadł ze wszystkiem, zmiażdżony niewolą, gdyby nie Jasna Góra. Jak śpieszą spragnieni do źródła, tak z pod trzech zaborów śpieszył Naród do Maryi Częstochowskiej po pokrzepienie. Tu wzmacniał się duch, tu odżywała nadzieja, tu w tej stolicy duchowej Polski nabierano sił do walki.

Nie Warszawa, nie Kraków i nie Poznań były sercem kraju, lecz Jasna Góra, w której władała Pani Narodu naszego, Królowa Korony Polskiej,

Marya. I po wielu latach niewoli nic już nie łączyło rozdartego ciała Polski, wychowywanego w każdej części inaczej przez wrogów, w każdym zaborze innym jadem zatrutego, tylko Jasna Góra. Tu u stóp Matki i Królowej jednako wszyscy czuli i myśleli, jedno wszyscy kochali. A po więzieniach, gdzie jęczały setki bojowników za wolność, kto balsam pociechy zlewał na serca zbolałe? czyje Imię powtarzano i wzywano na ratunek? Przesłodkie Imię Maryi! Do Jej serca uciekano się wtedy, bo gdy: „Ojciec zagniewany siecze", Ona wspierała, ratowała, godziła z wolą Boga. Lecz tam, daleko, w tajgach Sybiru, w lodowatych krainach podbiegunowych, gdzie zda się, serce i duch zamienić się winien w bryłę lodu, co czuli zesłańcy polscy, co czuli przykuci łańcuchami do taczek w kopalniach? czy rozpacz ich zżarła, czy niewiara zobojętniła? O nie, po stokroć nie! W długich nocach podbiegunowych promienną zorzą świeciło im wspomnienie Jasnej Góry. Przykutym do taczek w kopalniach Uralu koiła krwawy trud słodka postać Maryi Częstochowskiej, ukazująca się stęsknionym, przez łzy przesłonionym oczom skazańców. W promieniach piękniejszych niż słoneczne, w nieziemskich blaskach na tle ponurych chropowatych ścian podziemi wykwitał, jak żywy, obraz Panienki Jasnogórskiej z Dzieciątkiem na łonie i padali wszyscy na kolana i dłonie skrwawione, żelazem okute wznosili ku Niej i z płaczem wołali: „Witaj Królowo", „Serdeczna Matko", „Pod Twoją obronę uciekamy się". A po każdem

takiem widzeniu, rozgrzewały się serca, tajały dusze, leczyły rany i słodka pociecha, jak balsam, spływała na zmęczone głowy. I ochotniej znoszono męki, ofiarując je Panu na zadosyćuczynienie za grzechy całego Narodu, na uproszenie wolności. Jedno z takich objawień, w prześlicznym obrazie przedstawia nam sławny malarz polski, Artur Grottger.

Tak Marya łączyła rozdarty na części Naród, koiła smutek, zmniejszała trud sybirakom, łagodziła tęsknotę; przez Jasną Górę utrzymywała poczucie polskości, a wiarę św. katolicką, ten skarb i największe dobro Polski, w całej nieskazitelności zachowała.

*

12. Gdy w roku 1875 rozgorzały prześladowania unitów za wiarę, gdy ziemia przesiąkła krwią męczenników, a więzienia i Sybir znów zapełniły się skazańcami, gdy Rosjanie wszelkiemi niegodziwemi, tyrańskiemi, godnemi Nerona i Dyoklecjana prześladowaniami, starali się zatrzeć ślad wszelki po wierze katolickiej wśród unitów, znów Jasna Góra jest ich ostoją, znów wspomnienie, że w Częstochowie króluje Panna Najświętsza, dodaje sił do wytrwania w św. wierze, do zniesienia cierpień i śmierci męczeńskiej. Na Jasną Górę pod osłoną nocy przemykają się lasami „oporni", by tam od Matuchny Najśw. wziąć błogosławieństwo, by się przed Nią użalić, wypłakać i potajemnie do św. Sakramentów przystąpić. I niósł taki „oporny"

odważnie pęk medalików, poświęconych na świętem miejscu, i katechizmów paczkę i moc otuchy, zaczerpniętej z samego zdroju, z samej krynicy łask Bożych i przynosił po wielu trudach do swoich. Tak to z imieniem Maryi Jasnogórskiej walczyli, cierpieli i umierali za wiarę unici i tak dzięki Jej opiece do czasów wolności przetrwali.

*

Na sklepieniu Bazyliki jasnogórskiej są freski, przedstawiające uwolnienie jeńców z niewoli.

Takich cudów zanotowały kroniki jasnogórskie 59.

Rozdział VII.

MARYA PRZYWRACA WZROK ŚLEPYM, SŁUCH GŁUCHYM, MOWĘ NIEMYM, CHROMYM I KALEKOM WŁADZĘ W CZŁONKACH.

1. Nadworny malarz króla Władysława Jagiełły, Jakób Wężyk, ciężko zachorował na oczy, wskutek czego oślepł zupełnie. Straszne to nieszczęście dla każdego, lecz stokroć cięższem było ono dla malarza i jeszcze tak zamiłowanego w sztuce, jak mistrz Wężyk. Rozpacz go ogarniała. Nigdy więc nie odmaluje farbami tego, co mu w twórczych wizjach gra cudnemi barwami tęczy? Nie pomogli na tę ślepotę medycy króla Jegomości i biedny malarz, w Wilnie od kilku lat zamieszkawszy, czekał z rezygnacją i utęsknieniem na wieczny odpoczynek, kiedy to oczy jego, na światłość wiekuistą otwarłszy się, nigdy już po wiek wieków ślepoty nie zaznają.

W roku 1392 dowiedział się, że od dziesięciu lat, bo od roku 1382 na Jasnej Górze w Częstochowie na drugim krańcu Rzeczypospolitej króluje Marya z Obrazu, według pobożnej tradycji, przez św. Łukasza malowanego. Dowiaduje się, że spodobało się Pannie Najśw. przywiązać do te-

go Obrazu swoje błogosławieństwo, a błogosławieństwa tego doznało już wielu ludzi. Tą wiadomością tedy krzepiąc się na duchu, pełen nadziei, postanowił odbyć pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę w celu uproszenia światła dla zamarłych oczu.

Około tysiąca kilometrów dzieli Wilno od Częstochowy. Tysiąc więc prawie kilometrów idzie, pełen gorącej wiary, Jakób Wężyk, idzie z pieśnią „Bogarodzica" i modlitwą na ustach. Przechodzi, prowadzony przez miłosiernych ludzi, wsie i miasta, pustkowia, ciemne bory i puszcze odwieczne, przez dzikiego zwierza zamieszkane, a nierzadko i przez kryjących się po kniejach, pogańskich Litwinów. Przechodzi rzeki i strumyki; przeprawia się przez Wisłę, aż wreszcie, po ciężkiej i długiej pielgrzymce, staje na Jasnej Górze. Wprowadzony do cudownej kaplicy, nie widząc słodkiego oblicza Maryi, pada twarzą na ziemię i z całą gorącością duszy modli się o łaskę upragnioną. Modli się, a łzy strumieniem płyną z jego zagasłych od tylu już lat oczu. Oczyma ducha wpatruje się w Niepokalane Oblicze i prosi zmiłowania. Naraz jakiś wewnętrzny głos kazał mu zwrócić martwe oczy w tym kierunku, gdzie przypuszczał, że się Obraz znajduje, podniósł więc twarz w górę i krzyk potężny, jak grom, wydarł się z jego piersi. Zobaczył Cudowny Obraz, zobaczył po raz pierwszy w życiu wizerunek Najśw. Maryi Panny Częstochowskiej i tak mu się zdał cudny, tak promienny,

jakby to nie obraz, ale sama Matka Najśw. była. Odtąd już widział dobrze i malował z wdzięczności obrazy swej Niebieskiej Dobrodziejki. Cud ten został potwierdzony przez biskupa Marcina Szyszkowskiego, naocznego świadka.

*

2. Wielce bolesną chorobą oczu nawiedził Bóg Jakóba Poznańskiego z Grabowca, pow. Bełskiego. Stracił już cały majątek na leki, lecz nic mu się nie polepszyło, przeciwnie oślepł zupełnie i cierpiał okropnie. Tak w tej strasznej ślepocie upłynęło mu kilkanaście lat. W 1592 roku do wsi Grabowca przyszedł dnia pewnego Kapucyn, i odwiedziwszy chorego, ubolewając nad jego cierpieniem, pocieszał, a w końcu rzekł: „Dlaczego to nie udasz się do Maryi Panienki w Częstochowie i nie błagasz Jej o światło dla twych oczu?" Tknięty temi słowy, Jakób Poznański postanawia pójść za radą pobożnego zakonnika. Przejęty głęboką wiarą i ufnością w pomoc Maryi, natychmiast wyrusza w daleką drogę. Matka Najśw., pełna litości dla strasznego kalectwa, chcąc nagrodzić żywą wiarę Jakóba, już w czasie drogi zsyła mu ulgę. Im bardziej się do świętego miejsca zbliża, tem mniej cierpi. Ponawia więc akty wiary i ufności, poleca się Częstochowskiej Panience, śpiewa, modli się, a coraz to lżej mu na sercu, jaśniej w duszy i ból w oczach mniejszy. Tak doszedł do Częstochowy. Gdy stanął przed drzwiami kaplicy, ogarnęło go

dziwne uczucie, ni to lęk, ni trwoga, jakieś drżenie; nic nie słyszy, nie czuje, tylko serce w nim omdlewa w przeczuciu tego, co za chwilę ma nastąpić. Wchodzi do Cudownej Kaplicy i oto łaska Maryi Jasnogórskiej spłynęła nań. Oczy jego ociemniałe i bolące od kilkunastu lat uleczyła Panna Najśw. jednem swem promiennem wejrzeniem. Stał się cud: Jakób Poznański ujrzał nagle Jej święte oblicze i z okrzykiem, pełnym wdzięczności i miłości, upadł przed Nią na twarz.

*

3. W roku 1595 biednej Małgorzacie Pierzchale z Myślenic zabrakło cierpliwości do znoszenia ślepoty, jaką cierpiała już od 12 lat. Żadne środki nie pomagały. Za podszeptem szatana, postanowiła zakończyć swą niedolę samobójstwem. Gdy tak nieszczęsna przemyśliwała nad swym grzesznym zamiarem, trafem usłyszała kogoś opowiadającego o cudach Matki Najśw. w Częstochowie. Tak się tem przejęła, że odpędziwszy krzyżem świętym namowy złego ducha, postanowiła udać się do Maryi po lek na swe kalectwo.

Wybrała się Małgorzata w drogę pieszo, pod kierunkiem przewodnika. Szła, wzbudzając w sobie akty wiary w pomoc Maryi. Gdy nareszcie stanęła na Jasnej Górze, zdjęła ją trwoga, czy Panna Najśw. zechce wysłuchać grzesznicę, która targnąć się chciała na swe życie, lecz wspomniawszy, że Marya jest Ucieczką grzesznych i Matką

Miłosierdzia, korzy się ze łzami, żałuje za grzechy i tak, pełna ufności i skruchy, wchodzi do Cudownej kaplicy. Patrzą ludzie, jak biedna ociemniała niewiasta powoli posuwa się przed ołtarz, słyszą jej modły i jęki, i serca litościwe wstawiają się za nią do Maryi. A Małgorzata pada na kolana i, bijąc się w piersi, błaga Matkę Boską Częstochowską o cud. To twarzą przypada do ziemi i łzami zlewa posadzkę, to swe ociemniałe oczy wznosi ku Maryi i prosi bez miary. I oto, gdy raz podniosła swe martwe źrenice, zroszone łzami wiary i skruchy, „Ranna jutrzenka" dotknęła blaskiem swej łaski jej zgasłe oczy i stał się cud: Małgorzata Pierzchała ujrzała wychylającą się z obrazu Cudowną Twarz Maryi Częstochowskiej. Z okrzykiem „widzę!" poczęła iść do ołtarza. Powstał wielki krzyk w kaplicy: to świadkowie cudu opiewali głośno chwałę Maryi.

*

4. Dużo złego wycierpiała nieszczęśliwa Regina Stanisławowiczowa ze Lwowa od swego brutalnego męża, aż wreszcie pewnego dnia w roku 1627, uniesiony złością, uderzył ją z taką siłą w oczy, iż w jednej chwili straciła wzrok. Przerażona kalectwem, chodziła do wielu lekarzy, wiele lekarstw używała, lecz wszystko nie skutkowało. W tem wielkiem nieszczęściu postanowiła udać się z prośbą do Maryi Jasnogórskiej. Wyruszyła

więc w drogę i po pewnym czasie stanęła na Jasnej Górze przed Cudownym Obrazem. Nic nie widząc, padła z wielkiem łkaniem na ziemię, a wznosząc błagalnie ręce do nieba, wołała z ogromną wiarą o zmiłowanie. I serce Matki Boskiej nie zawiodło. Marya spuściła łaskawie swe miłosierne oczy na nieszczęśliwą niewiastę, a w tym momencie jeden promień chwały, otaczającej Najświętszą głowę Maryi, przeszył zamarłe źrenice Reginy i w jednej chwili pierzchły ciemności, rozwiał się mrok, stał się cud — ślepa przejrzała.

*

5. W roku 1631 przybyła ze Strykowa na Jasną Górę pewna panna, ślepa już od dłuższego czasu. Gdy ją wprowadzono do kaplicy, uklękła przy kracie i poczęła z wiarą żarliwie się modlić, prosząc Panią Jasnogórską o cud. W tym czasie odprawiało się tam uroczyste nabożeństwo z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Modli się tedy z bezgraniczną ufnością w pomoc Maryi nieszczęśliwa dziewczyna, a oto kapłan przenosi obok niej Sanctissimum i naraz otworzyły się oczy ślepej, ujrzała wyraźnie Jezusa w Monstrancji, a w ołtarzu obraz Najśw. Panienki. To Chrystus Pan, jak niegdyś w Kanie Galilejskiej, na prośby swej Niepokalanej Matki, cudownie tej pannie oczy uleczył.

*

6. W roku 1672 purpurowa łuna oblała niebo. Paliło się w pobliżu domu Imć Pana Filipa Wołuckiego, starosty Rawskiego. Na widok pożaru wybiegł z dworu pan starosta, a zwoławszy domowników, pośpieszył z nimi stłumić ogień. Pędząc galopem, wpadł z koniem na stojące na drodze drzewo tak nieszczęśliwie, że gałęzie tegoż wykłuły mu oczy; z bólu spadł z konia i rozbił się dotkliwie. Na krzyk pana zbiegli się słudzy, podnieśli go ostrożnie i zanieśli do domu; tam, gdy mu rany na głowie i krwią zalane oczy obmyli, przekonał się starosta, że światło dla niego na zawsze zagasło. Powstał lament i płacz rodziny. Sprowadzono czemprędzej najznakomitszych lekarzy, najprzedniejsze i najdroższe leki, lecz nic mu już wykłutych oczu wrócić nie mogło, miał pozostać do końca życia ślepym. W tem jego nieszczęściu znaleźli się życzliwi, którzy doradzili mu, aby szukał ratunku u Matki Najświętszej na Jasnej Górze. Ucieszył się z tej rady pan Filip Wołucki i w towarzystwie kilku OO. Jezuitów wybrał się do Częstochowy.

Przybyli do miasta wieczorem i udali się na nocleg. Towarzysze pana starosty pokładli się na spoczynek, on zaś całą noc czuwał i spędził na modlitwie, jękach i prośbach, by się przygotować do jutrzejszego nabożeństwa i godnie stanąć przed tronem Królowej z pokorną prośbą. Gdy tak się w gorącości ducha rzewnie modlił, nagle jakiś przedziwny dreszcz przeszył jego ranami pokrytą głowę. Przerażony podniósł rękę do czoła i poczuł,

że z ran płynie krew i ropa. Budzi tedy służącego i woła, aby ten przyniósł mu świecę. Zdziwiony sługa pali światło, lecz jakież było jego zdumienie, gdy ślepy pan jego żąda, aby mu podał książkę. Wziąwszy przyniesioną księgę, zrywa starosta bandaże ze swych wykłutych oczu i o cudzie miłosierdzia Maryi! widzi wszystko, czyta płynnie! Na krzyk cudownie uleczonego, zrywają się ze snu pobożni OO. Jezuici, zdumiewają się tak jawnym cudem i wspólnie ze starostą śpiewają dziękczynne Te Deum.

Rankiem na Jasnej Górze starosta, krzyżem leżąc, dziękował w czułych słowach Maryi za cud. Żył po uzdrowieniu 39 lat, używając w pełni swych oczu i dopiero na kilka godzin przed śmiercią zabrała mu Marya wzrok, aby mu go wrócić w chwale niebieskiej.

*

7. Ślepy od roku Wawrzyniec Przybełka z Bytomia na Śląsku dowiedział się o cudach na Jasnej Górze. Wiadomość ta obudziła w nim ufność w pomoc Matki Boskiej Częstochowskiej. Wybiera się więc pod opieką syna w 1703 r. w podróż. Z wielką żarliwością pielgrzymując na święte miejsce, modli się z gorącą wiarą. Przybyli nareszcie. Nie ustając ani na chwilę w modłach, wchodzi do kaplicy wsparty na ramieniu syna i w tym momencie jakby jakaś ręka niewidzialna zdarła zasłonę z jego oczu. Wawrzyniec Przybełka cudownie

przejrzał! Zobaczył ludzi, ołtarz w powodzi świateł i Przecudowną Maryę z Synaczkiem na ręku. Narazie oniemiał ze zdumienia, lecz za chwilę potężny okrzyk wdzięczności wydarł się z jego piersi i runął Wawrzyniec twarzą na ziemię.

Odtąd przez całe życie pozostał wiernym sługą i czcicielem Maryi Częstochowskiej.

*

8. Ogromnie strapionym czuł się w roku 1724 JWPan Ossoliński, skarbnik królewski. Oto młodszy syn jego, ciężko chorując na oczy, stracił wzrok zupełnie. Próżno lekarze najsławniejsi wymyślali różne lekarstwa, żadne nie pomaga. W tem tak wielkiem strapieniu wspomniał skarbnik na Najświętszą Lekarkę; otrząsa się tedy ze smutku, zabiera syna i wkrótce pełen otuchy staje na Jasnej Górze. Przybywszy do kaplicy, najpierw składa w ofierze złotą tablicę, a potem obaj, ojciec i syn, padli twarzą na ziemię, modląc się żarliwie i z głęboką wiarą.

W kaplicy mrok, tylko przed Cudownym Obrazem migocą płomyki lampek i płoną ogniki świec. Gdzieniegdzie słychać szloch, tam westchnienie, ówdzie jęk, tam płacz serdeczny z piersi się wyrywa. Takto wierni proszą, dziękują i wielbią Cudowną Panienkę, a z chóru kanonicznego płyną dźwięki litanji do Najświętszej Dziewicy. To zakonnicy chwalą Maryę.

I spływają z góry na tych dwóch, tak kornie w prochu leżących, przedziwne wezwania Loretańskiej modlitwy, a gdy pobożni mnisi doszli de wezwania „Uzdrowienie chorych", chłopiec nagle poczuł nieprzepartą chęć powstania. Podnosi więc głowę i naraz z ust jego wyrwał się przejmujący okrzyk: „Widzę już, widzę". Powstało wielkie poruszenie w kaplicy, wszyscy cisnęli się zobaczyć cudownie uzdrowionego, a każdy wielbił i dzięki czynił Maryi.

Któż pojmie radość matki i całej rodziny, gdy imć Skarbnik przywiózł do domu z Jasnej Góry cudownie uzdrowionego syna.

*

9. W roku 1754 zakonnik klasztoru franciszkańskiego w Pyzdrach, ziemi kaliskiej, ojciec Bonawentura Sikorski, zachorował na oczy i przez 6 tygodni nie widział. Zacny kapłan czuł się ogromnie przygnębiony tem nieszczęściem. Jednakże nie tracił ufności w pomoc Maryi i w tym celu rozpoczął nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej. Gorąco i z głęboką wiarą modlił się przez ośm dni, a dziewiątego dnia Marya okazała mu swą łaskę, uchylając rąbek zasłony, zakrywającej jego oczy. O. Bonawentura trochę przejrzał, a zaraz potem przybył na Jasną Górę prosić u stóp tronu Bogarodzicy o dokończenie tego, co w swem miłosierdziu rozpoczęła: o zupełne przywrócenie wzroku.

Odprawia ojciec Bonawentura Niekrwawą Ofiarę przed Cudownym Obrazem, lecz co wzniesie wzrok do góry, nie może dojrzeć słodkiego oblicza Maryi, coś jakby mgła, jakby welon jaki przesłania jego oczy. Więc modli się biedny kapłan, więc wzdycha, a mocna jego wiara w wszechmoc Maryi ani na moment nie słabnie. Zbliża się chwila konsekracji i zaraz potem ma O. Bonawentura podnieść i pokazać wiernym Jezusa, Syna Maryi Panny, utajonego pod postacią chleba. I oto ten wspaniały moment obrała Panienka Częstochowska na zdziałanie cudu. W chwili, gdy ręce chorego wzniosły Najświętszą Hostję, reszta zasłony spadła z jego wzroku. Ujrzał najwyraźniej Sakramentalną postać Chrystusa, a wyżej w ołtarzu Niepokalane Oblicze Matki Bożej. Słodkie łzy wdzięczności popłynęły z jego uzdrowionych źrenic. Z wielkiem wzruszeniem dokończył Mszy św. i następnie wobec OO. Paulinów cud ten zeznał.

*

10. Biedny Maciej Stankiewicz, sługa z Przemyśla, chorując dłuższy czas na oczy, zaniewidział. Straszna była dola biednego człowieka. Żadne środki na jego chorobę nie pomagały. Trzeba było ciężko w służbie pracować a przytem złośliwi koledzy dużo mu przykrości czynili, pan także nieraz mu bardzo dokuczył. Tem wszystkiem truł się Maciej bardzo, modlił się w swem strapieniu, ale widać nie dość ufnie, bo Bóg miłosierny nie wysłuchiwał go jakoś.

Wczesnym rankiem mroźnego dnia zimowego posłał go pan konno do innego folwarku. Ślepiec, zdany na łaskę zwierzęcia, jechał ostrożnie, gdy wtem koń się spłoszył i, zacząwszy ponosić, zrzucił nieszczęśliwca z siodła na ziemię, a sam zbiegł. Poturbowany srodze Maciej i pozostawiony sam na drodze, zaczął rozpaczać i, nie rozumiejąc co czyni, urągał Panu Bogu: „Panie, nigdy się więc nademną zmiłować nie zechcesz? Przyjdzcież więc djabli, a weźmijcież mnie, niech już więcej nie cierpię!" Lecz Bóg miłosierny przebaczył mu tę obłąkańczą mowę i nie dopuścił szatanom stawić się na to wezwanie. Wkrótce po tych bluźnierczych słowach przechodzili tą drogą ludzie i zabrali nieszczęśnika ze sobą. Pierwszej nocy po tym dniu okropnym śni się Maciejowi, że widzi kaplicę Matki Najświętszej na Jasnej Górze zapełnioną ludźmi: jedni leżą krzyżem, drudzy się modlą, inni śpiewają. Obudziwszy się myślał, co to może znaczyć, lecz nie mógł nic zrozumieć. Powtarza mu się ten dziwny sen pięć razy; zdumiony tą uporczywością snu, Maciej zastanawia się głębiej i dochodzi do przekonania, że to jest nic więcej, tylko wskazówka z nieba, aby się do Maryi Częstochowskiej udał po ratunek. Nie zwlekając więc, rozpoczyna biedak nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej, oddaje się ufnem sercem w Jej przemożną opiekę i ślubuje pieszo odbyć pielgrzymkę do Częstochowy. A oto Marya, jakby tylko na ten akt wiary i ufności czekając, zsyła mu zaraz pomoc i Maciej po odprawieniu nowenny

nagle cudownie wzrok jak najlepszy otrzymał. Wkrótce — po tym fakcie — dnia 17 maja 1785 roku, ślub spełniając, na Jasną Górę przybył.

*

11. Maryanna Gasińska z Bystrej, pod Samborem pow. Jasło, miała córeczkę maleńką, 7 letnią Elżbietę, która już od dwóch lat była ślepą. Trapiła się tem niezmiernie biedna matka, przewidując straszny los dziewczynki w przyszłości, gdy już matczynej opieki nie stanie. Modliła się więc gorąco, pościła, jałmużnę czyniła, lecz wszystko zdawało się napróżno, dziecko, jak było niewidome, tak i nadal takiem pozostawało. Nadszedł maj 1811 roku. Marjanna podwoiła modły w tym miesiącu Maryi. Pewnego dnia modlącej się goręcej, niż zwykle matce, przyszła myśl od Boga, aby udać się do Częstochowy i Matkę Najśw. Jasnogórską na miejscu przez nią uprzywilejowanem prosić o pomoc, a może też tam prędzej raczy ją wysłuchać. Przygotowała się więc do pielgrzymki i dnia 15 maja wyruszyła z Elżunią w drogę.

Ciężką była ta podróż ze ślepem dzieckiem, które było za duże, aby je nieść, a znów za małe i kaleka w dodatku, iżby mogło samo iść. Mimo trudu Maryanna w każdym napotkanym po drodze kościele zatrzymywała się i ponawiała swe prośby do Panny Jasnogórskiej, a coraz to goręcej, a coraz to ufniej. Trzeciego dnia podróży, t. j. 18 maja (wszystkiego dopiero przeszły 5 mil) zatrzymała się matka z córeczką w mieście Tuchowie, chcąc

według swego pobożnego zwyczaju Mszy św. wysłuchać. Upadła biedna niewiasta krzyżem przed ołtarzem, przy którym się odprawiała Niekrwawa Ofiara, i, zalewając się rzewnemi łzami, polecała swe biedne dziecię Maryi Częstochowskiej. Elżunia przy niej klęczała, złożywszy rączyny i odmawiając z przejęciem paciorek, którego ją matka wyuczyła. W pewnej chwili Maryanna czuje, że dziecko jest niespokojne, podnosząc więc swą mokrą od łez twarz z posadzki widzi, że dziecko nie ma zwykłego tępego wyrazu zgasłych oczu, że na twarzyczce maluje się zdumienie, że dziwnie jakoś wodzi oczętami po ołtarzu i ludziach. Naraz zwraca się do matki i, patrząc na nią jasnym wzrokiem, szepcze: „Mamusiu, ja Bozię i ciebie i wszystkich widzę!" Na te słowa nieopisane szczęście zalało serce matki, porwała swe cudownie uleczone dziecię w ramiona i w słowach, pełnych wdzięczności i miłości, zaczęła głośno dziękować Matce Najświętszej Częstochowskiej za cud. Zaraz też udała się w dalszą podróż, aby jak najprędzej na Jasnej Górze złożyć dzięki cudownej Uzdrowicielce.

*

12. Cudowne uzdrowienie na oczy Anny Korsak z Lublina w dniu 29 maja 1921 r. Oto jak ona sama opisuje:

„Chcę ze szczegółami opowiedzieć, co się stało ze mną w onym pamiętnym dniu 29 maja. Jeszcze na początku 1919 r. zostałam dotknięta cięż-

ką chorobą oczu, zapalenie siatkówki wraz z zaburzeniami w samem oku, ogólny stan zdrowia wyczerpywał mnie coraz bardziej. Znałam o tyle fizjologję, że wiedziałam doskonale, co mnie czeka... Całkowita ślepota była nieunikniona. Radziłam się największych powag lekarskich i to specjalistów. Byłam pod opieką d-ra Kamockiego, sławnego okulisty, profesora d-ra Majewskiego, członka Akademji z Krakowa i d-ra Noiszewskiego, profesora uniwersytetu w Piotrogrodzie, ale stan oczu, z małemi wahaniami, stale się pogarszał. W lutym i marcu 1921 r. nawet z pomocą bardzo silnych szkieł nie mogłam już dojrzeć liter, a o czytaniu nie mogło być mowy. Bóle głowy stawały się coraz okropniejsze, do tego dołączyły się jeszcze sercowe ataki. Zdawało mi się, że mi wyrywają z głowy mózg po kawałku, a w oczach czułam uderzenia bata. Bóle głowy stawały się częstsze i boleśniejsze. Musiałam siedzieć w ciemnościach, a na głowę używałam bardzo radykalnych środków. Nawet na przestrzeni dwóch kroków nie mogłam rozpoznawać osób, mówiłam do swego ojca, myśląc, że to matka. Jeśli komu odpowiadałam, to jedynie rozpoznając po głosie. Było to męczarnią nieopisaną.

Przedtem byłam zupełnie niewierząca; teraz ogarnęło mnie pragnienie szukania ukojenia i pomocy w kościele — i nagle, jak promień słońca, przemknęła mi myśl: Częstochowa!

29 maja 1921 roku weszłam do Cudownej Kaplicy. Wzruszona głęboko, przygnębiona świado-

mością, że znikąd na ziemi nie mogę spodziewać się pomocy, czułam, że jeśli gdzie, to tu jedynie dokonać się może uzdrowienie moje. Wszak tu, w tej kaplicy, przed tym Obrazem, tyle już dokonało się cudów!

Stałam długo... Czy się modliłam? Tak, ale w jaki sposób — nic o tem nie mogę powiedzieć. Jakiemi były moje myśli, jakie wypowiadałam słowa? Nie wiem. To tylko pewna, żem nic nie widziała i nic nie słyszała. Bezwątpienia modliłam się każdym nerwem, każdą kroplą krwi. Jak długo to trwało? Nie wiem.

Gdy przyszłam do siebie, poczułam, że jakieś światło mnie oślepia, a tysiące ognistych kul wiruje koło mnie. Byłam wśród tłumu ludzi, obok mnie modliła się jakaś pani. Zapytałam jej, gdzie jest Obraz Cudowny. „Oto tutaj — brzmiała odpowiedź, tu właśnie jest Cudowna kaplica". — „Tak, odezwałam się, ale niech mi pani pokaże miejsce, gdzie jest Obraz, bo ja go nie widzę." — „Tam, gdzie się palą świece, trochę wyżej nad niemi jest głowa Najświętszej Panny. „Poza mną słyszę czyjeś słowa: „To jest jakaś niewidoma". — Upadłam na kolana. Niewidoma! „Boże mój, miłosierdzia! O Najświętsza! miej litość nade mną!"

Serce zaczęło mi bić mocno, a piersią wstrząsnął szloch. Z dziwną jasnością stanęły mi przed oczyma duszy wszystkie grzechy całego życia; jakiś żal wielki, bezmierny przejął mnie do głębi i łzy popłynęły strumieniem. „Płacz — to śmierć

dla oczów pani — były słowa doktora — unikać wzruszeń". Lecz teraz było mi już wszystko jedno — modliłam się, żebrałam, płakałam... Ujrzeć Ją, ujrzeć koniecznie, ujrzeć na chwilę tylko, a potem niech będzie co Bóg da, choćby ślepota na zawsze.

Podniosłam oczy: czarna, ponura, wielka plama zamiast Obrazu. Bezmierny ból wstrząsnął mą duszą, a razem ze słowami modlitwy błagalnej z głębi serca popłynęło do stóp Najświętszej ślubowanie wielkie, niezłomne: „Zmienię życie moje, wyzbędę się wszystkiego, rzucę zabawy, stroje, będę czysta! Nie bywałam w kościele — teraz codziennie do Komunji świętej przystępować pragnę".

I znowu podniosłam oczy. O Boże! co to? Korona na główce Dzieciątka...

„Widzę, ja widzę!" krzyknęłam.

Utkwiłam wzrok w Obraz; kule ogniste znikły, z Obrazu spojrzała na mnie słodka twarz Jasnogórskiej Pani.

Prawie nieprzytomna ze szczęścia, na klęczkach przyczołgałam się do Ołtarza, na klęczkach obeszłam go dokoła i wszystko, co miałam przy sobie — pamiątki, biżuterję, pieniądze, złożyłam na ofiarę.

Pełna radości, śpieszę do Sióstr Szarytek, gdziem się zatrzymała i gdzie czekała na mnie moja siostra.

Proszę o gazetę i przebiegając z łatwością oczyma po druku, wołam z uniesieniem: „Czytam...

czytam... Chyba umrę ze szczęścia..." Po tem gwałtownem wzruszeniu nastąpił niewypowiedziany pokój.

Odtąd mogę czytać i uczyć się. Zapisałam się na uniwersytet katolicki w Lublinie, obierając sobie historję. Jestem obecnie na ukończeniu egzaminów, które powiodły mi się doskonale. Już złożyłam z logiki, psychologji, historji Polski, historji Niemiec i encyklopedji. Obecnie czeka mnie egzamin z łaciny. Nie mogę uwierzyć swemu szczęściu, że zamiast być ślepą i nieszczęśliwą do grobu, mam obecnie, poza zajęciami w Uniwersytecie, lekcje historji polskiej w gimnazjum SS. Urszulanek i lekcje niemieckiego języka w 5 starszych klasach gimnazjum p. Czarneckiej, a wszystko idzie mi łatwo i dobrze.

Każdy krok mój, każdą pracę rozpoczynam w imię Boga. Odtąd w dzień cudu nademną, t. j. 29 maja, przyjeżdżam co rok na Jasną Górę i spędzam ten dzień na ćwiczeniach pobożnych, składając swe serce i duszę u stóp mojej Niebieskiej Matki i Lekarki."

List ten jest zachowany w archiwum klasztornem.

* * *

1. W roku 1597 z Kamieńca wybierała się pielgrzymka na Jasną Górę. Już mieli wyruszyć, gdy podszedł do przewodników mieszkaniec Kamieńca, Marcin Obietyński, ślepy, głuchy i niemy od wczesnej młodości. Jakimś przedziwnym sposobem zdo-

łał wytłumaczyć pątnikom, że pragnie z nimi udać się do Częstochowy w celu uproszenia sobie zdrowia. Wzruszeni jego okropnym stanem i żywą wiarą, litościwi pielgrzymi zabrali go ze sobą i przez całą drogę troskliwie się nim opiekowali, już to prowadząc go, już to wioząc naprzemian. Kilka tygodni trwała pielgrzymka, a przez cały ten czas nieszczęśliwy Marcin zachowywał się jaknajpobożniej, na jego twarzy znać było wielkie skupienie.

Nareszcie kompanja zdrożona, lecz szczęśliwa, przybyła na Jasną Górę. Gdy chorego wprowadzono do Cudownej kaplicy, rzucił się biedak na ziemię, a nie mogąc mówić, jękami i łkaniem modlił się do Najśw. Panny. Wszyscy obecni, widząc mękę nieszczęśliwego, otoczywszy go, z płaczem modlili się zań. Podczas podniesienia Marcin, jak potem zeznał, poczuł, że moc jakaś wzięła go w swą opiekę, zerwał się nagle i głośno krzyczy: „Chwała Jezusowi i Jego Matce Maryi Dziewicy!" Widział, słyszał i mówił, był cudownie uzdrowiony, a lud cały rzewnemi łzami płakał z radości.

Do domu Marcin Obietyński wracał pieszo.

*

2. Jadwiga Piechowska z Kazimierza pod Krakowem w r. 1636 zachorowała ciężko. Cierpienie było tak wielkie, że pozbawiło ją zupełnie mowy i słuchu. Ten stan nieszczęsny trwał przez 12 miesięcy. Nie było żadnego lekarstwa na tę straszną niemoc. Biedna niewiasta chora, niema i głu-

cha, jak Łazarz leżała na łożu. Pewnego dnia rodzina sprowadziła chorej kapłana, który miał ją przygotować do przyjęcia św. Sakramentów. Pobożny kapłan, widząc okropne położenie nieszczęśliwej, zapytał jej męża, dlaczego dotąd nie ofiarowano chorej do Matki Najśw. na Jasną Górę. Myśl tę skwapliwie przyjęto i tegoż dnia rozpoczęła rodzina jej odprawiać nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej w intencji uzdrowienia. Przez cały ten czas Jadwiga sercem i myślą gorąco uczestniczyła w modłach całej rodziny, a dziewiątego dnia, gdy kończono nowennę, stał się cud. Chora naraz zrywa się z łóżka, pada na kolana i zaczyna głośno się modlić. Biegnie do niej mąż, rodzina, pytają zdumieni, co się dzieje. Jadwiga słyszy ich, odpowiada, chodzi, jest łaską Maryi kompletnie uzdrowiona. Wkrótce potem Jadwiga Piechowska przybyła na Jasną Górę złożyć dziękczynienie.

*

3. W roku 1752 Jadwidze z Rychlińskich Wolskiej z Łęczycy, wskutek przebytej niedawno ciężkiej choroby, zaczęła się psuć kość w podniebieniu, a wkrótce doszło do tego, że biedna ta pani ust otworzyć nie mogła. Trapił się tem niezmiernie małżonek jej, martwiła rodzina cała. Sprowadzono najbieglejszych lekarzy, lecz ich nauka i cała mądrość nic tu już poradzić nie mogła. Orzekli więc, że Jadwiga Wolska jest nieuleczalną, a tem samem wydali na nią wyrok okropnej śmierci.

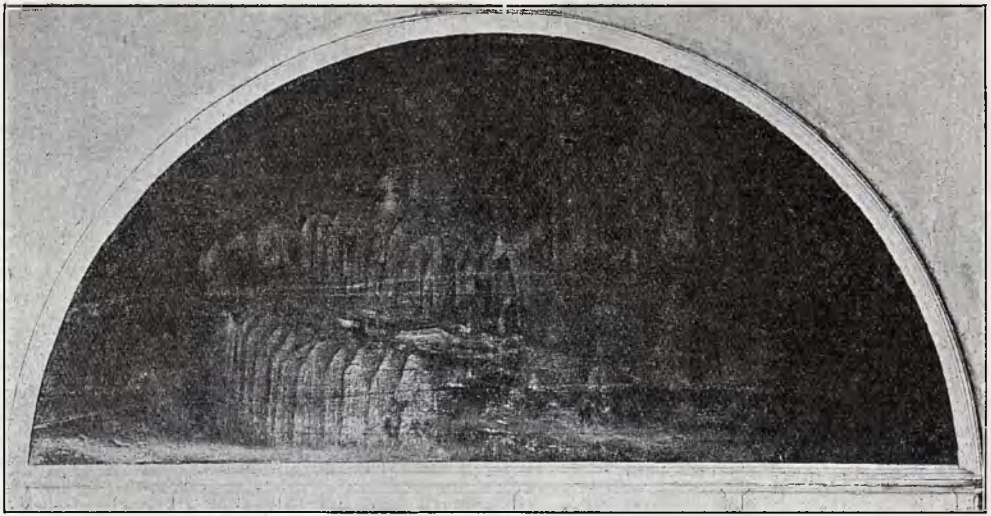

Cud wskrzeszenia trzech zabitych w Lublińcu.
W środku widać na posadzce 3 trumny.

Obraz w Chórze Kanonicznym.

Płacz i narzekanie powstało w całym domu. Wszystkim się zdawało, że z chwilą, gdy chorą lekarze opuścili, nieszczęśliwa umrzeć musi nieodwołalnie. Lecz gdy tak wszyscy płaczą i rozpaczają, biedną chorą nadzieja nie opuszcza. Ona wie, że ponad mądrością tego świata jest inna mądrość, ponad ziemskie leki jest lek niebieski, a szafarką jego — Matka Najświętsza, która na Jasnej Górze tron swój obrała. Zbiera więc Jadwiga wszystkie siły ducha, skupia całe uczucie serca, wzmaga swą wiarę, potęguje ufność i tak w myśli woła (bo usty już nie mogła): „Najświętsza Panno Częstochowska, słysząc o Twych wielkich cudach, któremi jaśniejesz, do Ciebie biegnę i błagam, byś zechciała mnie uzdrowić a ja ślubuję Ci podziękować osobiście w Częstochowie". Zaledwie ten akt w myśli złożyła, zgniła szczęka nabrzmiewa, wychodzi z niej ropa i zdrowie natychmiast wraca. Woła męża, rodzinę, lecz ci oczom swym i uszom wierzyć nie chcą. „Jakto, wołają, ty, na śmierć niechybną skazana, przed chwilą prawie już konająca, mówisz i chodzisz zdrowa?" Lecz gdy się dowiedzieli, jakto pobożna niewiasta Maryę o cud prosiła, zdumienie ich zamieniło się w dziękczynienie i ten przed chwilą rozpaczą i jękiem napełniony dom stał się przybytkiem radości i wesela Bożego.

Wkrótce potem Jadwiga Wolska wraz z mężem stawiła się na Jasnej Górze z podzięką, spełniając w ten sposób swój ślub.

*

4. Jednej ciężkiej zimy p. Rafał Żelazowski z Kowna na Litwie odziębił sobie tak nieszczęśliwie ręce i nogi, że stracił zupełnie wszelką w nich władzę, przytem cierpiał tak okropne bóle w odziębionych członkach, że dzień i noc nie śpiąc, jęczał i krzyczał. Nie miał spokoju biedny chory, cierpiąc bardzo, nie miała spokoju cała rodzina, patrząc na jego mękę i ból. Wszelkie środki, jakich używano, okazały się bezskuteczne, nie miał nieszczęśliwy ulgi ani na jedną chwilę. Latem 1614 r. wychodziła dorocznym zwyczajem kompanja na Jasną Górę. Poczciwi sąsiedzi przyszli do chorego i zaczęli namawiać, aby się z nimi do Częstochowy udał, pocieszali go przytem, że Matka Najświętsza, widząc jego gorliwość, może mu chorobę w zdrowie zamienić, lecz chory na ich zachętę odpowiedział łzami. Jakże on w tak długą drogę się wybierze, kiedy go z łóżka na łóżko przenosić muszą, kiedy on ręki do ust podnieść nie może i karmią go, jak dziecię niedołężne, cóż tu więc mówić o podróży? Rozżalił się tylko biedak jeszcze więcej nad dolą swoją nieszczęśliwą. Jednakże sąsiedzi, pełni litości dlań, poczęli się naradzać i postanowili zabrać go ze sobą. Podniesiono tedy Rafała na łóżku, ubrano z trudem i ostrożnie złożono na wozie dobrze i miękko usłanym i tak go ofiarując pobożnie i z wielką wiarą Matce Boskiej Jasnogórskiej, wieźli około 100 mil do Częstochowy. Nieszczęśliwy całą drogę ogromnie cierpiał, zwłaszcza w nocy, przeraźliwie nieludzkim wprost głosem jęczał i krzyczał. Mimo

to ani na chwilę nie tracił ufności w Maryi Częstochowskiej i ciągle się Jej miłosierdziu z wielką pobożnością polecał. Po wielu, wielu dniach uciążliwej podróży, w dali na horyzoncie zamajaczył krzyż. Z początku zdawało się idącym, że unosi się w obłokach nakreślony snać ręką Boga, lecz po chwili wynurzyła się wieża Jasnogórska. Okrzyk nieopisanej radości wyrwał się na ten widok z piersi pątników i wszyscy padli na kolana, a na niebie w łunach zachodzącego słońca, otoczona glorją jego promieni, stała prastara wieżyca. Nie mogąc iść za przykładem towarzyszy, biedny chory zapłakał serdecznemi łzami żalu i nagle uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego: nie czuł ani rąk ani nóg, które zwykle tak boleśnie mu się przypominały i były tak ciężkie, a w tej chwili stały się tak lekkie, jak przed chorobą, że mógł, choć jeszcze z trudem, poruszać niemi. Pojął, że w tej chwili, już na sam widok wieży, stał się z nim cud, i z wezbranego wdzięcznością i miłością serca wyrwał się okrzyk tak przejmujący, że pątnicy myśleli, iż z wielkich boleści Rafał już chyba życie kończy, lecz on, płacząc rzewnie, a nie mogąc z wielkiego wzruszenia mówić, dotyka tylko rąk i nóg i wskazuje w stronę Jasnej Góry. Zrozumieli, że Marya temu biedakowi ulgę cudownie zesłała. Jakoż, gdy wjeżdżano pod górę, chory wyszedł sam z wozu i o własnej sile postępował, a kiedy przekroczył próg Cudownej Kaplicy, kiedy zobaczył słodkie oblicze Matki Boga, wejrzała nań

Marya „łaskawem okiem miłosierdzia swego" i... odjęła odeń wszelkie bóle i chorobę.

Gdy po złożeniu dziękczynienia Panience Jasnogórskiej wracała do domu kompanja, Rafał Żelazowski szedł całą drogę pieszo.

*

5. W roku 1634 wracał Maciej Święcik, mieszkaniec wsi Kaliny, z lasu z wozem naładowanym drzewem. W jednem miejscu, gdzie droga spuszczała się z dość znacznej góry, przestraszone czemś konie poniosły. Wóz pędził z szaloną szybkością, naraz Maciej stracił równowagę i spadł z wozu, a koła, przejechawszy przez niego, pogruchotały mu kości u obu nóg tak, że się tylko na skórze trzymały. Na krzyk nieszczęśliwego zbiegli się będący w pobliżu ludzie i przenieśli mdlejącego z bólu biedaka do domu. Sprowadzono natychmiast chirurga. Ten, stwierdziwszy połamanie kości, użył całej swej sztuki, nie skąpił wszelkich wysiłków, lecz mimo to nic nie mógł Maciejowi pomóc. W czasie badania i zestawiania nóg, nieszczęśliwy krzyczał z bólu tak strasznie, że obecnym krew stygła z trwogi. Gdy się nieszczęsny dowiedział, że niema dla niego ratunku, że nic mu już nie pomoże, ogarnęła go straszna rozpacz; dotąd był pełen zdrowia i sił, a teraz w tak krótkim przeciągu czasu, albo śmierć go czeka w męczarniach, albo, co może gorsze, długie, straszne kalectwo. On ma być ciężarem dla rodziny! Boże, miłosierdzia! i powiódł napół obłąkanym wzrokiem

po żonie płaczącej, po dzieciach strwożonych i zbitych, jak stado spłoszonych owieczek, w gromadkę. Przerażonemu tym widokiem włosy zjeżyły się na głowie. Więc co z nim będzie? Gdzie znajdzie pomoc w swej strasznej doli? Lecz czyjże to obraz wisi tam na ścianie, na miejscu honorowem, otoczony kwieciem, oblany purpurowem światełkiem płonącej lampki? Czyjeż to oczy z ciemnej twarzy patrzą nań ze współczuciem? To Marya Jasnogórska! To Cudownej Najświętszej Panienki jest wizerunek! Tak, tu się znajduje dla niego ratunek, tu łaska i cud. Zwraca się więc wszystkiemi siłami serca i duszy całej do Matki Miłosierdzia i woła z całych sił: „Ratuj Matko, bo tylko w Tobie moja nadzieja, a ja Ci ślubuję, że całe me życie Tobie poświęcę i na Jasną Górę zaraz pieszo pójdę!" Ledwie tych słów dokończył, stał się cud. Oto cierpienia ustały, czuje, że pogruchotane nogi jego przeszywa jakaś moc przedziwna, zrywa się więc i swobodnie schodzi z łóżka. Podbiega zdumiony chirurg, bada nogi i stwierdza, że kości są zrośnięte. Powstała nieopisana radość; wszyscy wołali: cud, cud! A wieść o tem rozniosła się lotem strzały po całej wsi i wszyscy biegli ujrzeć cudem uleczonego, jak z rodziną klęcząc wielbił i dziękował Maryi. Wkrótce zaś spełniając ślub, odbył pielgrzymkę na Jasną Górę.

*

6. Andrzej Podlewski w roku 1641 zachorował ciężko na nogi. Biedny cierpiał ogromne bóle,

a żadne leki mąk jego zmniejszyć nie mogły. Leżał tak nieszczęśliwy, jęcząc i krzycząc z bólu przez dłuższy czas. Gdy cierpienia jego się wzmogły, zawezwano jeszcze jednego lekarza, który stwierdził, ku przerażeniu chorego, że w nogi wdała się gangrena. Nad Andrzejem Podlewskim zawisła śmierć. Chirurg począł go namawiać, by się zgodził na odcięcie nóg. Zgodził się chory na to i umówił z lekarzem, że ten za 600 złp. strasznej operacji dokona. Lecz po namyśle, gdy chirurg nie mógł zaręczyć za pomyślny skutek operacji, oraz obawiając się powiększenia i tak już wielkich cierpień, umowę cofnął. I leżał odtąd nieszczęśliwy, czekając na śmierć, a cierpienia jego ciągle wzrastały, gangrena coraz wyżej się posuwała i rozkładała ciało już za życia.

Zdarzyło się raz, że ktoś począł mu opowiadać o cudach na Jasnej Górze. Pełen nadziei postanawia i on udać się do Maryi Częstochowskiej po ratunek. Rozpoczyna więc nowennę, w czasie której modli się z wielką wiarą i ufnością. Skończył nowennę, a będąc pewnym cudownej pomocy Matki Najświętszej, przeżegnał się, usiłując na swych chorych nogach powstać i o dziwo! wstaje, schodzi z łóżka, bólu żadnego nie czując, lecz chodzić bez kul nie może. Wołają lekarza, ten zdumiony stwierdza, że gangrena cudownie ustąpiła.

Mija tak trzy lata. Andrzeja Podlewskiego zmęczyło takie chodzenie o kulach, więc zaczyna prosić Pannę Częstochowską o zupełne uzdrowienie. Gdy tak z wielką wiarą się modli, słyszy

pewnej nocy głos przedziwny: „Wstań i idź do kościoła". Zrywa się natychmiast i sprawdza, że może najswobodniej chodzić, bezzwłocznie tedy wyrusza na Jasną Górę i całą drogę bez kul, nie czując żadnego bólu, odbywa.

*

7. Wszyscy mieszkańcy Trzebnicy znali Magdalenę Zielentową, jako biedną kalekę, która, mając nogi z wielkich bólów pokurczone, już 10 lat chodziła o kulach. W r. 1747 dowiedziała się biedaczka, że pod przewodnictwem ks. Zielki wychodzi kompanja do Częstochowy. Postanowiła więc przyłączyć się do niej.

Wyruszyła kompanja, a na jej końcu wlokła się o kulach Magdalena. Gdy się biedna zmęczyła, wsadzili ją pątnicy na wóz i tak trochę idąc, trochę jadąc zbliżała się do upragnionego celu, do Cudownego Obrazu Maryi. Trudy uciążliwej podróży słodziła kalece nadzieja, że Marya Najświętsza ją uzdrowi.

Przybyła nareszcie kompanja na Jasną Górę. Zielentowej, postępującej wraz z innymi, serce biło mocno, a łzy strumieniem spływały po twarzy. Modliła się tak rzewnie; z taką dziecięcą ufnością prosiła o ulgę w cierpieniu! Nareszcie doszła do drzwi kaplicy, usłyszała grę organów, śpiew ludzi, ujrzała światła i naraz wszystkie bóle, wszystka niedola kaleki stanęły w jej pamięci, a nadzieja i lęk jakiś dziwny wyrwały jej z krtani szloch przejmujący; z płaczem runęła na twarz przed

Maryą Częstochowską. Współtowarzysze pielgrzymki patrzyli na nią ze współczuciem.

Padłszy na ziemię, Magdalena odmówiła z wiarą trzy „Zdrowaś Marya". Wtem poczuła w nogach nagły wstrząs, jakby moc nadziemska przeszyła je; przejęta zrywa się, zapomniawszy, że już od 10 lat nie może stanąć o własnej sile, i, w nogach bólu nie czując, postępuje parę kroków; okazuje się, że może chodzić bez kul. Cisną się ludzie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom: „Magdalena Zielentowa chodzi bez pomocy?" A ona, uszczęśliwiona doznaną łaską, podnosi kule i zawiesza je na kracie.

*

8. Antoni Jaworski ze Lwowa cierpiał na różne ciężkie choroby 5½ roku. Wyleczył się z nich wprawdzie, lecz prawa noga pozostała tak krzywa, że musiał chodzić o kuli. Będąc bardzo pobożnym i mając ufność w pomoc Matki Najświętszej, wybiera się z Franciszkiem Bardzińskim z Berdyczowa na Jasną Górę. Całą drogę modlił się i śpiewał pieśni na cześć Maryi; poczynił też różne śluby. Po długiej podróży przybyli do Częstochowy i skierowali swe kroki do klasztoru. Znalazłszy się w Cudownej Kaplicy, padli krzyżem i Antoni począł gorąco prosić o uzdrowienie. Następnie spełnił wszystkie śluby i przez cały czas bytności w świętem miejscu nieustannie z wielką wiarą błagał o cud. Nadeszła chwila powrotu do domu, pożegnał kaleka Najświętszą Panienkę Częstochow-

ską i z wielką pokorą, zgadzając się z wolą Bożą, nie mając w sercu żalu, że Marya nie wysłuchała jego próśb, polecił się jeszcze raz z gorącą miłością Jej przemożnej opiece i puścił się w powrotną drogę. Pod Mstowem dwie mile od Częstochowy, zatrzymali się na nocleg. Jaworski ze zwykłą sobie wiarą i pobożnością zaczął odmawiać wieczorne pacierze, gdy naraz poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, jakaś moc, jakieś życie krąży w chorej nodze; powstał i zobaczył, że noga nagle się wyprostowała. Wraca więc na Jasną Górę i tam ze łzami wdzięczności dziękując za cud, zawiesza kule w kaplicy.

Działo się to w 1754 roku.

*

9. Mieszkaniec Warszawy Wawrzyniec Śliwiński strzaskał sobie nogę nad kolanem i jakkolwiek noga się zrosła i wyzdrowiała, musiał chodzić zawsze o kulach. Mając gorące nabożeństwo do Matki Najśw. Częstochowskiej, trzy razy pielgrzymował do Niej na Jasną Górę i mimo silnej ufności w Jej łaskawą pomoc, mimo próśb i błagań, pozostał kaleką.

W roku 1796 po raz czwarty wybrał się do Częstochowy. Pełen żywej wiary modlił się w kaplicy pobożnie i ze łzami błagał Matkę Boską o cud, lecz bez skutku. Jak poprzednio, wyszedł ze świątyni, nie doznawszy łaski. Przechodząc około szczytu Cudownej Kaplicy, pobożnie przykląkł, pozdrawiając Najświętszą Pannę Jasnogórską; w tej

chwili coś mu w chorem kolanie strzyknęło; odczuł wewnętrznie, że w tej chwili zdziałała Marya upragniony cud; podnosi się więc szybko i czuje, że jest uzdrowiony, bierze tedy niepotrzebne już szczudła i zanosi do zakrystji na Jasnej Górze. A złożywszy przed Cudownym Obrazem serdeczne dzięki, wraca uzdrowiony do domu.

Niektóre z tych cudów są uwiecznione na sklepieniu kościoła.

*

W kronikach jasnogórskich zanotowano tych cudów 236.

Rozdział VIII.

MARYA UZDRAWIA KALEKI, SPARALIŻOWANYCH I FURJATÓW.

1. Anna Kuliska z Krakowa, od lat wielu kaleka na obie nogi sztywne w kolanach, bez pomocy kul ani jednego kroku zrobić nie była w stanie. Udawała się niejednokrotnie do lekarzy, lecz ci byli bezradni i na jej kalectwo nie mieli lekarstwa. Wiosną 1617 r. pewna bogobojna pani, litując się nad Anną, poradziła jej odprawić nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej. Chwyciła się tej rady, jak ostatniej deski ratunku i rozpoczęła nowennę, obiecując po wyzdrowieniu odbyć pielgrzymkę na Jasną Górę. Przejęta głęboką ufnością, wierzyła mocno, że Marya ją wysłucha. Dnia 25 marca, a był to siódmy dzień nowenny, już od rana czuła chora dziwne wzruszenie, jakiś miły niepokój przenikał jej serce. Poczęła się modlić i, zapominając o tem, że nogi jej od szeregu lat nie zginają się, chciała uklęknąć i o, Cudowna Panno Jasnogórska! kolana Anny stały się elastyczne, znikła nagle ich sztywna martwota. Uradowana, jak dziecię, klęka, wstaje, przechodzi przez pokój

i znów klęka. Czuje się najzupełniej zdrową. Wkrótce też pełna wdzięczności ku Matce Bożej, odbyła pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę.

*

2. Wielebny ks. Jakób Neapolitańczyk, proboszcz ze Zbuczyna, został nagle sparaliżowany na całem ciele. W parafji powstał wielki smutek, proboszcz leżał jak kawał drewna, nie mogąc poruszyć ani ręką, ani nogą, a nikt mu, pomimo najlepszych chęci, nic pomóc nie mógł. Sprowadzeni lekarze leczyli go długo, ale bez skutku. Biedni parafjanie w swem ciężkiem strapieniu postanowili chorego ofiarować Matce Boskiej Częstochowskiej; w tym celu rozpoczęli nowennę za swego ukochanego pasterza, a było to w roku 1620. Dziewiątego dnia, jak codzień, zgromadzili się w świątyni, modląc się z głęboką wiarą i ufnością w pomoc Matki Najświętszej, gdy naraz ujrzeli idącego przez kościół swego proboszcza najzupełniej zdrowego. I oto tak wyjaśnił Czcigodny kapłan swą obecność w świątyni: leżąc na łożu boleści, w pewnej chwili uczuł prąd ożywczy w obumarłem ciele, spróbował powstać i przekonał się, że może doskonale władać wszystkiemi członkami; widząc w tem cud oczywisty, udał się do kościoła, aby wspólnie ze swemi owieczkami Matce Boskiej Częstochowskiej za łaskę podziękować. Usłyszawszy to, parafjanie zaczęli śpiewać radosne „Te Deum“ i dnia tego nie było końca modlitwom, pieniom

i uniesieniom wdzięczności ku Najśw. Pannie Jasnogórskiej.

Wkrótce Czcigodny kapłan odbył pieszą pielgrzymkę do Częstochowy, a na znak wdzięczności złożył Jej jako wotum — szczerozłotą blachę.

*

3. W roku 1718 Imć P. sędzia Szczepan Słubicki z Brzeźnicy zeznał, iż był naocznym świadkiem poniższego zdarzenia.

Pani Kasztelanowa Domicela z Walewskich Grabska jechała z kilku znakomitemi paniami do Częstochowy w celu złożenia czci Najświętszej Pannie. Dostojne towarzystwo zatrzymało się na spoczynek w pewnym zajeździe w Chojnach; tam zastały kobietę chromą na nogę, o rękach bardzo pokrzywionych, piastującą dziecię. W paniach zrodziło się podejrzenie, że kalectwo tej niewiasty pochodzi ze złego życia, z grzechu nieczystego i poczęły śmiać się i złośliwie o niej wyrażać. Słysząc to, biedaczka wyjaśniła im, że jest zamężną i że choroby tej nabawiła się przed narodzeniem dziecka. Zawstydzone panie umilkły, a chroma, dowiedziawszy się, że panie jadą do Częstochowy, w ich obecności zwróciła się do gospodyni oberży, prosząc o pożyczenie trzech groszy miedzianych, co ta też chętnie uczyniła. Wtedy niewiasta poprosiła p. Grabską, by raczyła wziąć ze sobą te trzy grosze i złożyć w jej imieniu, jako ofiarę Matce Boskiej. Spełniła to życzenie znakomita pani, a gdy po pew-

nym czasie wracała tą drogą, spotkała tęż samą niewiastę już zupełnie prostą i zdrową. Zdumiona pyta jej, kiedy się to stało, i stwierdza, że właśnie w tym dniu, o tej samej godzinie, w której kładła ten naprawdę „grosz wdowi" do skarbony, ręce i nogi kaleki nagle cudownie się wyprostowały. Wzruszone tym cudem panie z pokorą Imię Panny Niepokalanej wielbiły. —

*

4. Anna Wróblewska, córka lekarza z Sandomierza, była jedynaczką, pieszczoną i kochaną. Dzieweczka niewinna i pobożna radowała serca i oczy rodziców. Skromny ich domek pełen był zawsze bogobojnej radości. Anusia wesoła i jak ptaszek szczebiotliwa uwijała się po czyściutkich i miłych pokoikach. I oto, jak piorun, w to spokojne szczęście rodzinne uderzył straszny cios. Pewnego dnia panienka siedziała obok rodziców zajęta jakąś robótką, gdy nagle padła na ziemię. Porwał się ojciec, przestraszyła matka, Anulka leży z wykrzywioną twarzą, podnoszą ją, ojciec bada, pyta, dziewczę nie odpowiada; strwożony stwierdza, że córka jego została sparaliżowana na lewą połowę ciała i mowę ma odjętą. Smutek rodziców był bezgraniczny. Leczył ją ojciec, sprowadzał innych medyków, wszystko napróżno, panienka nie mówiła i jedną ręką i nogą nie władała. Szczęście znikło, jak sen. Ilekroć biedni rodzice spojrzeli na swe jedyne dziecię nieuleczalnie chore, łzami się obfitemi zalewali. W roku 1742 stro-

skana rodzina postanowiła szukać ratunku u Niebieskiej Lekarki, Matki Boskiej Częstochowskiej; z głęboką wiarą ślubowano Maryi odbyć pielgrzymkę na Jasną Górę, gdy im córkę uzdrowi, i w tym celu zaczęto odprawiać nowennę. Siódmego dnia nowenny modlili się wszyscy z wielką ufnością, rodzice klęcząc, usty i sercem, panienka siedząc, sercem tylko, bo usty nie mogła. Naraz chora w nieczułych dotąd członkach uczuła jakieś dziwne ciepło, jakgdyby przez żyły przeszedł gorący prąd, a równocześnie serce jej przejęło przewdziwne niebiańskie uczucie szczęścia i spokoju, fala nieopisanej radości zalała jej duszę. Nie pojmuje swego stanu, a przejęta żywą miłością ku Matce Najświętszej, do której się właśnie całem swem jestestwem modliła, wykrzykuje: „Matuchno Najświętsza Jasnogórska! jakże ja Cię kocham!" Zdumieli się rodzice, wszak ich Anulka nie mogła dotąd mówić, osłupiali patrzą na nią, a panienka zrywa się z fotelu i z żywością padając na kolana, gorąco dziękuje Maryi za uzdrowienie. Płacząc ze szczęścia, dziękowali z nią razem i uradowani rodzice. Wkrótce potem doktór z żoną i cudownie uzdrowioną córką na Jasną Górę z dziękczynieniem przybyli.

*

5. Józef Sokołowski, skarbnik z Trembowli, w r. 1743, poczuł jakieś silne bóle w prawej ręce i nodze. Zwołał znakomitych lekarzy, lecz ci nic pomóc nie mogli. Po pewnym czasie tak się skarb-

nikowi pogorszyło, że władzę w całej prawej połowie ciała kompletnie stracił, a lekarze żadnej mu nadziei wyzdrowienia nie robili. Przez siedem lat przeleżał na łóżku, jak kłoda bezwładny, przygnębiony, rozgoryczony, poddał się wreszcie rozpaczy, że tak już do końca życia do łoża boleści ma być przykuty. A miał ten nieszczęsny bardzo pobożną małżonkę, która poczęła go namawiać, aby się serdecznie zwrócił do Maryi Częstochowskiej, by jej obiecał poprawę z grzesznych nałogów i prosił o zdrowie. Pod wpływem serdecznych słów żony uczynił skarbnik ślub, że jeżeli Marya go uzdrowi, to cześć jej będzie głosił do końca swych dni, że swe przeszłe grzeszne występki odpokutuje i odtąd żyć będzie uczciwie. A potem poprosił, by go zawieziono na Jasną Górę. Spełniono jego życzenie. Do dobrze przygotowanej karocy złożono kalekę, przy nim zasiadła pobożna małżonka. Przez całą drogę oboje się serdecznie modlili, jużto śpiewając godzinki lub pieśni, jużto różaniec i inne modlitwy. Pewnego dnia tej długiej podróży skarbnik, nie odczuwając od siedmiu lat w chorej połowie ciała żadnego wrażenia, choćby go nawet palono czy krajano, uczuł naraz bolesne ukłucie, jak gdyby mu w bok igłę wkładano, krzyknął z bólu, ale jednocześnie uradował się niewymownie, były to bowiem pierwsze oznaki wracającego życia do martwych dotąd członków. To bolesne ukłucie powtórzyło się trzy razy. Tak dowieziono go do Jasnej Góry.

Chorego wniesiono do Cudownej kaplicy. Odprawiała się tam właśnie Msza św. Skarbnik, leżąc na noszach, gorąco ze łzami się modlił, obok małżonka jego serdecznie prosiła Matkę Najświętszą o uzdrowienie. Aliści w pewnym momencie skarbnik, dotąd leżący nieporuszenie, zrywa się. Nie wiedząc, co się dzieje i sądząc, że to jakiś dziwny atak choroby, trzymają go przestraszeni słudzy, lecz on się im wyrywa i krzyczy: „Puszczajcie mnie! muszę Najświętszej Dobrodziejce swojej należne dzięki złożyć!" I wstaje z łoża i pada na twarz i głośno Panienkę Jasnogórską za cudowne uzdrowienie wielbi.

Powrotną drogę do Trembowli odbył Sokołowski pieszo. Życie swe, jak to ślubował, całkowicie odmienił, cnoty Maryi i świętość do śmierci czułem sercem wielbił i Jasną Górę jeszcze dwa razy z wielką pobożnością nawiedził, a czerstwem zdrowiem cieszył się do późnej starości.

*

6. Pewnego dnia wiosennego w 1796 roku nad Wojsławicami w województwie Sieradzkiem przeciągała straszna burza. Błyskawice co chwila rozdzierały pociemniałe niebo, deszcz lał strumieniem, pioruny raz po raz uderzały. W młynie Choszczyńskiego, w zastępstwie męża, pilnowała mlewa żona jego Marjanna z Przybyłowskich Choszczyńska. Lękliwa z natury niewiasta, za każdem uderzeniem pioruna okropnie drżąc, żegnała się, pobożnie Imienia Boskiego wzywając. A burza cią-

gle się wzmagała, wiatr zawodził przeraźliwie, błyskawice oślepiały. Naraz tuż przy młynie uderzył piorun z taką siłą, że budynek cały zadygotał w posadach, a młynarka runęła na ziemię. Podbiegła czeladź, myśląc, że ze strachu zemdlała, podnieśli ją i zanieśli do izby mieszkalnej i tam z przerażeniem stwierdzili, że jest przytomna, tylko poruszyć się nie może. Otoczyły matkę dzieci, mówią do niej, całują, płaczą, proszą, by do nich przemówiła — nie odpowiada, tylko po zbladłych policzkach płyną łzy. Przybiegł mąż i pyta trwogą zdjęty, co jej się stało, lecz ona zamiast słów bełkot dziwny z siebie wydaje. Sprowadzają lekarzy, którzy orzekają, że Marjanna wskutek burzy i przestrachu została sparaliżowana, że już nigdy mówić i władać członkami nie będzie mogła; mimo to na prośby męża przepisują przeróżne leki, które gorliwie poczęto stosować, jednakże chorej nic się nie polepszało. Leżała ciągle jak martwa bez najmniejszego ruchu. Pobożny młynarz, nie widząc w ludziach żadnego ratunku, zwraca się o pomoc do Maryi Jasnogórskiej. Rozpoczyna nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej i wraz z dziećmi gorąco się modli, modli się i czeladź a młynarz ofiarowuje żonę Matce Najświętszej i ślubuje, że z nią po uzdrowieniu do Częstochowy pieszo pójdzie. Piątego dnia nowenny, a był to dzień 15 maja, jak codzień wianeczkiem otoczyły dzieci łoże matki — rączęta pobożnie złożone, oczęta utkwione w wiszący nad łóżkiem obraz Jasnogórskiej Pani, umajony prześlicznie kwiatkami,

oświetlony lampką; klęczy ojciec i czeladź pobożna, wszyscy gorąco się modlą, odmawiają nowennę. Po oczach chorej, zwróconych na oblicze Matki Boskiej, widać, że i ona, nie mogąc usty, sercem i duszą całą prosi „Uzdrowienie chorych" o zdrowie. Modlą się głośno z głęboką wiarą. Ojciec powtarza wezwania litanji, głosiki dzieci i służby odpowiadają „módl się za nami".

Majowe słońce wdzierało się przez otwarte okno izby, złocąc jasne główki dzieci, ptaszęta śpiewały z przejęciem pieśni wiosny, zawiewał słodki zapach kwiecia, a zebrana na modlitwę gromadka z coraz większą ufnością błagała o cud. Lecz co to? czy młynarza słuch myli? czy to omamienie jakie? czyjże to głos dołączył się do ich głosów? To głos żony! O Matko Najświętsza! ona ustami porusza! ona mówi! Jeszcze chwila, a oto podnosi się na łóżku... siada... składa ręce... schodzi na ziemię i, padając na kolana, cudem uzdrowiona, donośnym głosem woła ostatnie słowa antyfony: „Pocieszycielko nasza — módl się za nami!" „Mama zdrowa", krzyczą dzieci, ciśnie się czeladź, płacze szczęśliwy mąż. Wkrótce wieść o cudzie rozeszła się po całej okolicy, wszyscy śpieszyli zobaczyć uzdrowioną i oddać cześć Maryi Częstochowskiej. Młynarz z zupełnie zdrową żoną wyruszyli natychmiast pieszo na Jasną Górę i już 27 maja w Cudownej kaplicy oboje, krzyżem leżąc, za łaskę otrzymaną ze łzami dziękowali.

*

7. Szymon Lach ze wsi Bieńkówki, pod Kalwarją położonej, bez żadnej przyczyny zachorował bardzo ciężko na prawą nogę. Leczył się, lecz stan jego zdrowia nie poprawił się, pogorszył się nawet. Otworzyło się bowiem w nodze 15 dziur, a wkońcu, po trzech latach cierpień wdała się gangrena. Chory znosił niewymowne męki. Już nietylko nie mógł chodzić, ale nawet obrócić się na łóżku nie był w stanie. Nogę paliła gorączka, jak żywy ogień. Lekarze osądzili, że chcąc uniknąć śmierci, musi pozwolić na ucięcie nogi. Przerażeniem zdjęty, udaje się po pomoc do Maryi Częstochowskiej. Z wielką wiarą czyni ślub, że jeżeli Matka Najśw. uzdrowić go raczy i nogi mu nie odejmą, to on na podziękowanie za tę łaskę na Jasną Górę pieszo pójdzie, jeden czerwony złoty na ofiarę złoży i życie swe całkowicie odmieni. Oddawszy się w zupełności pod opiekę Maryi, z wielką ufnością bierze opłatek, okłada przeżartą gangreną nogę i modli się żarliwie. Dziwią się krewni, patrząc na to, i mówią między sobą: „Czyż mu się w głowie pomieszało? tyle kosztownych leków nie pomogło, a zwykły opłatek pomoże!?" Lecz on, słysząc te mowy, odpowiada: „To nie opłatek mnie uleczy, a Marya Jasnogórska, za której natchnieniem tak czynię" i znów się ufnie i gorącem sercem modli. Po chwili pełen dziecięcej wiary zdejmuje opłatki i, o cudzie miłosierdzia Maryi! okazuje się, że rany zostały zabliźnione. Było to dnia 25 maja 1796 r., a dnia 3 czerwca tegoż roku Szymon, wy-

pełniając ślub, na Jasnej Górze zeznanie o tym fakcie zrobił i Maryi za cudowne uzdrowienie serdeczne dzięki i czerwony złoty złożył.

*

8. Wracał po ciężkiej pracy z lasu w lutym 1802 roku Sebastjan Szczeburak z Tożyc. A wracał do domu do Wieruszowa, miasteczka położonego w pow. Wieluńskim. Cieszył się z czekającego go miłego, a dobrze zasłużonego spoczynku po trudach dnia; wyobrażał sobie radość żony i dziatek z jego powrotu; rad wspomniał o smacznej, gorącej wieczerzy, którą w gronie rodziny przy rozpalonym kominku spożyje. Gdy naraz z lasu wybiegł wilk z szerścią najeżoną, z pianą u pyska. Zrozumiał Sebastjan, że ma przed sobą wściekłe zwierzę, chciał uskoczyć w bok, nie zdążył. Wilk go dopadł. Wywiązała się krótka i zażarta walka, zwierzę padło, lecz przedtem ugryzło bardzo dotkliwie biednego człowieka. Przeraził się Sebastjan niezmiernie; mniejsza o silny ból z zadanej rany, gorzej będzie, gdy jad się po ciele rozejdzie, a tu znikąd ratunku, do domu daleko, nigdzie po drodze niema osiedli, jak zapobiec nieszczęściu, czemże straszną ranę wypalić. Włosy z trwogi stanęły mu na głowie, pot ciało oblewa. „Boże miłosierny, żeby jak najprędzej do domu.“ Idzie, a rana dolega coraz silniej, dom zdaje się oddalać, nie zbliżać; coraz mu ciężej iść, coraz ciężej... rana piecze, rwie, boli.. o, Boże! byle dojść do domu, byle już dojść! Wlecze się z trudem, coraz wolniej

nogi go niosą. Oto nareszcie pierwsze domy miasteczka, widać światła w oknach, oto już i dom własny, zbiera resztki sił i dochodzi. Wybiegła żona z dziećmi. Patrzy na męża. „Matko Najświętsza! co ci, czyś chory? taki blady, osłabiony, cóż to krew? tyś ranny, o Boże!" krzyczy biedna niewiasta i podtrzymuje słaniającego się. Prawie go wniosła do izby, tu w urywanych słowach wyjaśnił jej, co się stało. Usłyszawszy to, nieszczęśliwa od zmysłów odchodzi z rozpaczy, płaczą i krzyczą przerażone dziatki. A on, czując, że coraz mu gorzej, że trucizna krąży już w żyłach, rozporządza sprawy domowe, a bojąc się napadu choroby, każe wyjść rodzinie. Został sam, w osłabionym umyśle tworzą się tragiczne obrazy tego, co go czeka, atak furji... cierpienia straszne... odseparowanie od ludzi, a potem śmierć okrutna... w męczarniach... Oczy jego zachodzą mgłą, w głowie huczy, rana piecze i boli okropnie, gorączka się wzmaga i ogniem pali, a myśli się plączą, lecz tyle mu jeszcze przytomności zostało, że począł wzywać na pomoc Maryę Częstochowską: „Panienko Jasnogórska, ratuj mnie w nieszczęściu mojem — woła z głęboką wiarą — Ty jedna mnie tylko uzdrowić możesz", a Dziewica Niepokalana, ta, która zleczyła ludzkość całą z ran zadanych w raju przez węża piekielnego, wysłuchała Sebastjana. W jednej chwili uspokaja się umysł, jasność wzroku powraca, ochładza się głowa, rana nie boli; ogląda miejsce ukąszone i widzi tylko bliznę. Woła żonę i dzieci. Wbiegają. Dziwi się niewiasta: sen

li to był, że mąż jej przed chwilą zdawał się dostawać wścieklizny? Czy to ten sam człowiek stoi przed nią? przed chwilą zostawiła go półprzytomnego, ze wzrokiem obłędnym, a oto teraz zdrów i wesół, jak przedtem. Dziwi się żona tą zmianą, dziwią się dzieci. A cudem uleczony woła: „Padnijmy na kolana Matce Boskiej Częstochowskiej cześć złożyć, to Ona ten cud ze mną zdziałała". I padają wszyscy na kolana i Maryi dzięki składają, a dnia 25 marca, w dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, cała rodzina pieszo na Jasną Górę przybyła, by Pannie Najświętszej za cudowne uzdrowienie dzięki złożyć.

*

9. Wielkiem nieszczęściem dotknął Bóg hrabiego Łubieńskiego, który, zachorowawszy razu pewnego na nogi, nie mógł się już więcej o własnej sile podnieść. Lekarze stwierdzili paraliż. Mając środki na to, leczył się hrabia długo i starannie, lecz nogi pozostały, jak były — bezwładne. Przenoszono chorego codziennie z łóżka na fotel, w którym go po pokojach przesuwano. I tak przykuty do krzesła, spędzał smutnie życie. Częstym, bo codziennym, gościem w jego domu w Warszawie i świadkiem jego kalectwa był ks. Krajewski, który go też zawsze w tem jego nieszczęściu pocieszał. W roku 1867 powziąwszy zamiar odwiedzenia Jasnej Góry, hrabia tego kapłana za towarzysza poprosił. Przyjechano szczęśliwie do Częstochowy, służba wniosła paralityka do zakrystji, a stam-

tąd do tak zwanego skarbczyka, gdzie się chory z wielką skruchą spowiadał, a potem prosił, by go do kaplicy zanieśli, co też uczyniono. Gdy się tam chwilę z ogromną wiarą modlił, powstał naraz o własnej sile z krzesła i, dzięki Matce Najświętszej złożywszy, bez niczyjej pomocy do hotelu, gdzie zanocował, jak najzdrowszy poszedł. Było w czasie tego cudu w kaplicy wiele osób, a między niemi przeor OO. Paulinów, ks. Laurenty Kubaczek, zakrystjan ks. Marceli Ficenes i przybyły z hrabią ks. Krajewski, który, widząc to uzdrowienie, wielbił imię Najśw. Panny Maryi.

*

10. W starym dworze JWP. Karola Zgody-Kocielskiego, na Podhalu, w pow. Latyczowskim, życie zamarło. Córka właściciela Marja, dziewczę pełne krasy i zdrowia, nagle zachorowała na nogi; panienka, tak zawsze żywa, czuła teraz taki bezwład w stopach, że powstać o własnej sile nie mogła. Przerażeni rodzice zawezwali znakomitych lekarzy, którzy jednakże nic nie pomogli, okazało się bowiem, że dziewczątko zostało sparaliżowane. Postanowiono udać się do zagranicznych doktorów. Przywieziono więc kilku uczonych profesorów z Wiednia. Lecz ci, jakkolwiek byli powagami w swoim zawodzie, również niczego nie dokazali, nie mogli dać nawet nadziei wyzdrowienia. I panienka, tak żywa z natury, mogła tylko z trudem przenosić się z miejsca na miejsce, wsparta na lasce i kuli. Zamarło więc życie w starym dwo-

rze; nie dzwoniła w nim, jak dawniej, piosnka dziewczyny, srebrzysty jej śmiech nie rozweselał rodziców. Nie było radosnego gwaru, śmiechów i wesela. Bardzo często płacz i jęk obijał się o ściany, pamiętające wesołe czasy. Smutek, jak chmury ciężkie, zawisł nad dworem i przytłaczał go. Służba cicho na palcach krzątała się po komnatach, w których bolesne echa budził stukot kuli przesuwającej się, jak cień, Maryni. Pobladło jej różane liczko, przygasły promienne blaski jej źrenic, a wychudła, wiotka jej postać robiła wrażenie złamanego kwiatu. W smutku, w boleści udręczonego serca, w ciągłem szukaniu ratunku u ludzi minęło lat kilka.

Wiosną 1885 r. poradzono zbolałym państwu Kościelskim zawieźć córkę do sławnego profesora w Paryżu, na co się też rodzice zgodzili; przedtem jednak postanowili ofiarować dziewczę Cudownej Panience w Częstochowie. Na Jasną Górę przybyła ta nieszczęśliwa rodzina 22 maja. Był wówczas, z powodu uroczystości Zesłania Ducha Św., ogromny napływ pątników. Kościół i kaplica przepełnione były pobożnymi. Nie mogąc z kaleką córką przecisnąć się przez te tłumy, ani jej nawet przenieść, ojciec, udawszy się sam na poszukiwanie dogodnej drogi, spotkał na Sali Rycerskiej przeora klasztoru, Ojca Piotra Kubarskiego, którego począł prosić o pomoc w tem, tak trudnem położeniu. Czcigodny kapłan chętnie przychylił się do próśb jego i wkrótce chorą wniesiono na wyżej wspomnianą salę, gdzie u tegoż dobrego kapłana

odbywszy spowiedź, krótszą i wolną od tłumu drogą wniesioną została na krześle do Cudownej kaplicy.

W kaplicy tłok, każdy się ciśnie, aby zobaczyć Obraz Maryi, słychać jęki i wzdychania, szept modlitw i próśb, czasem wyrwie się szloch głośny z piersi zbolałej, wzruszając obecnych, którzy łzy swoje łączą we wspólnem łkaniu; tam ktoś głośno dziękuje za łaski. Atmosfera tak przepojona wzruszeniem, że zda się, iż mury nawet wzdychają i płaczą, przejęte tem, czego od tylu wieków są świadkami. Chorej dziewczynie łzy spływają po śmiertelnie pobladłem licu, wzrusza ją widok słodkiej twarzy Bożej Rodzicielki, której usta zdają się szeptać słowa pocieszenia; wzrusza ją widok tych tysięcy rozmodlonych ludzi, wzrusza słodka chwila, gdy się u Stołu Pańskiego w Komunji świętej łączy ze swoim Panem i Bogiem, którego jej podał kapłan, ks. Lucjan Teofil Stecki. Po Komunji św. serce Maryni ogarnął, od lat wielu niedoznawany, błogi pokój: wszystkie bunty, rozpacze i burze ucichły, Boska ręka Zbawiciela uśmierzyła je. Dziewczę się modli, z gorącą wiarą prosi Niepokalaną Jasnogórską Panią o zdrowie i czuje się tak lekką, tak swobodną, tak jej jakoś radośnie, jak przed laty. Patrzy, rodzice klęczą, modlą się i płaczą. O, ona już nie płacze, ona tak ufa bezgranicznie Maryi, tak ufa, tak jest pewna pomocy, którą jej słodkie oczy Dziewicy Najświętszej obiecują, tak pewna, że rzuca kule i laskę, podnosi się z krzesła i, najswobodniej idąc, jak najzdrowsza obok ro-

dziców na kolana pada. Lud patrzy, dziwi się i woła: „Cud się stał!" — „Paralityczka uzdrowiona!" i tłoczą się wszyscy do niej, by cudownie uzdrowioną dotknąć, by na własne oczy ją zobaczyć. I zapłakał tłum cały ze wzruszenia. Zapłakał i ks. Stecki, który przed chwilą bladej i wpółmartwej sparaliżowanej Pana Jezusa podawał, a teraz co za zmiana! Oto dziewczę, podziękowawszy z wielką miłością Maryi za cud, podnosi się z kolan. Twarz jej przemieniona, oczy błyszczą, policzki się rumienią, przechodzi przez tłum, który jej drogę zabiega i zewsząd się ciśnie i już nie ją bezwładną niosą, lecz ona, osłabionych wzruszeniem i radością rodziców prowadzi, wspiera i drogę im toruje.

Cud powyższy ojciec uzdrowionej opisał, podpisem i pieczęcią opatrzył, podpisali również i świadkowie naoczni, księża: Piotr Kubarski, Bernard Ptakowski i Lucjan Teofil Stecki; słudzy kościelni: Bartłomiej Kaczmarek, Aleksander Wójcik, Józef Boruń i Tomasz Wlazły.

A panienka, szczęśliwie do domu wróciwszy, znów weselem i radosnym śpiewem na cześć Maryi Jasnogórskiej stary dwór napełniała.

*

11. W r. 1921 córka Anny Wiśniewskiej, mieszkanki Gniezna, dziewczę 17-to letnie, imieniem Franciszka, zachorowała, według orzeczenia D-ra A. Ossendowskiego, na kurcze tetaniczne. Cierpienia te były tem boleśniejsze, że połączone z utratą

przytomności w czasie ataków tej choroby, które powtarzały się po kilka razy w tygodniu, a trwały nieraz i kilkanaście godzin; mięśnie rąk i nóg u chorej sztywniały tak, że nie można było zgiąć stawów, nie mogła też wtedy żadnych pokarmów przyjmować. Straszne te cierpienia tak wyczerpywały organizm Franciszki, że stała się niezdolną do chodzenia i smutne swe życie poczęła spędzać w łóżku. Pięć lat trwała ta choroba, pięć lat ciągłej męczarni i córki i patrzących na jej cierpienia rodziców. Pięć lat nie rozjaśnionych nawet nadzieją wyzdrowienia, bo D-r. Ossendowski nie taił się z tem, że tylko cud zdolny jest chorą uzdrowić. A nie było w tym domu dostatku, owszem, prędzej niedostatek, co utrudniało już i tak ciężką dolę Wiśniewskich.

Chora, głęboko religijna, w maju 1926 roku uprosiła matkę i pielęgnujące ją bezinteresownie od lat czterech dwie siostry ze zgromadzenia Służebniczek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Gnieźnie, aby ją zawiozły na Jasną Górę, bo wierzyła mocno, że Panienka Jasnogórska ją uzdrowi. Przybyły do Częstochowy te cztery osoby dnia 6 maja wieczorem i na spoczynek zatrzymały się w schronisku św. Antoniego u SS. Szarytek. Następnego dnia, t. j. 7 maja 1926 r., chorą na łóżku wypożyczonem w schronisku, w towarzystwie matki i sióstr Służebniczek; Eleonory Staszakówny i Arkadji Napierałówny, przywieziono do Cudownej kaplicy. Na mszy św., odprawionej o godz. 9 przez ks. Kasprzaka, pre-

fekta z Radomska, chora błagała Matkę Najświętszą o uzdrowienie, do Komunji św. podprowadzona przez matkę i zakonnice, po przyjęciu Ciała Pańskiego nagle uczuła się uzdrowioną i już o własnych siłach od ołtarza odeszła. Następnie tego samego dnia, o godz. 3½ po południu, stawiła się Franciszka Wiśniewska wraz z matką i Siostrami Służebniczkami w zakrystji Jasnogórskiej, gdzie zeznanie o powyższem złożyły. Chora, lubo jeszcze osłabiona po długotrwałem cierpieniu i ogromnie na ciele wyniszczona, podczas badania i pisania protokółu cały czas stała o własnej sile. Następnego dnia wyżej wymienione osoby celem podpisania protokółu stawiły się znowu na Jasnej Górze i przysięgą jeszcze raz ten cud potwierdziły.

*

12. Dzieje paralityka Michała Bartosiaka, cudownie uzdrowionego na Jasnej Górze dnia 14 sierpnia 1929 r., tak się przedstawiają:

Michał Bartosiak, będący obecnie w starszym już wieku, przed dziewięciu laty pracował jako robotnik we wsi Gondelsheim w Lotaryngji.

Pewnego lipcowego dnia Bartosiak zajęty był przy żniwie. Właśnie schylił się, aby wyjąć kosę ze żniwiarki, gdy nagle uczuł silnie uderzenie w bok. Odwrócił się, aby zobaczyć, kto mu ten cios wymierzył. W pobliżu nie było nikogo. W tej samej chwili Bartosiak uczuł silne i bolesne wstrząsy w całem ciele i zwalił się na ziemię. Zrobiło

mu się mdło, chwyciły go straszliwe kurcze i stracił przytomność.

Przybiegli ludzie, pracujący opodal i poczęli ratować. Docucili go dopiero po kilku godzinach. Lecz nogi miał bezwładne zupełnie.

Tknięty paraliżem, wysłany został do szpitala w mieście Rufa, skąd po trzymiesięcznym pobycie przeniesiono go do szpitala w Kolmar, gdzie leżał lat kilka.

Najlepsi lekarze zajęli się zagadkowym wypadkiem. Stosowano wszystkie najnowsze środki lecznicze, nie wyłączając masażów, naświetlań lampą kwarcową i t. d. Nogi Bartosiaka wciąż były sparaliżowane.

Po czterech latach prób — uznano go wreszcie za nieuleczalnego i odesłano do Polski. Było to w roku 1927.

Rząd francuski, w porozumieniu z rządem polskim, odesłał go do Zbąszyna, na granicy polsko-niemieckiej; rząd polski zaś posłał tam po niego dwóch felczerów, którzy go odwieźli do Gdańska. Tu, uznany przez lekarzy za nieuleczalnego, Bartosiak odesłany został wraz z dwoma wymienionymi felczerami do Gostyńskiego przytułku.

O stanie jego siostra Irena Nestorowiczówna tak pisze: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Bartosiak był kaleką od lat dziewięciu. Po pierwsze świadczą o tem papiery, przysłane z nim z Francji; powtóre od 1927 r. pozostaje pod moją opieką, udawać nie mógł tyle czasu, to jest niemożliwe. Czołgał się stale na desce, nogi miał

sztywne i zupełnie martwe, kropli krwi trudno było w nich dopatrzyć, czucia żadnego nie miał — można było igłą kłuć, bólu żadnego nie czuł".

Następnie siostra stwierdza, że doktorzy jednogłośnie uznali stan Bartosiaka za nieuleczalny. Dodaje wreszcie, że powodem choroby było prawdopodobnie życie niemoralne, z którego się nieraz przechwalał. Wogóle zachowanie się Bartosiaka przez cały czas pobytu w przytułku było jak najgorsze: uważał się za zdeklarowanego socjalistę, bluźnił, szydził z rzeczy najświętszych i niejednokrotnie takie wyprawiał awantury, że trzeba było wzywać policję. Słowem, był postrachem dla całego Zakładu aż do kwietnia 1929 r. Nagle stało się z nim coś nadspodziewanego: „Proszę siostry, rzekł, ja chcę się poprawić i życie swe stanowczo odmienić!" Przyrzeczenia tego dotrzymał: od kwietnia żył świątobliwie, usiłując naprawić dawane dotychczas zgorszenie i budując wszystkich swym przykładem. W czerwcu prosił, by wysłać go do Częstochowy, co siostra naturalnie przyrzekła. Przez ostatnie dwa miesiące modlił się ciągle, dwa razy w tygodniu pościł o suchym chlebie i wszystkim powtarzał, że ma mocną nadzieję, iż wróci zdrów.

Zacna siostra Irena dotrzymała obietnicy. Wystarała się, że starostwo Gostyńskie kupiło bilet kolejowy dla paralityka. Dnia 13 sierpnia wniesiono go do wagonu i umieszczono możliwie najwygodniej. Kaleka czuł się nadzwyczaj wzruszony. W drodze z Gostynina aż do Skierniewic

opiekował się nim troskliwie Czcigodny kapłan ks. Arendzikowski. Tam wysiadając, polecił go gorąco opiece kolejarzy, którzy z zadania doskonale się wywiązali. Pociąg stanął w Częstochowie o godzinie 9.30 wieczorem. Poczciwa służba kolejowa, przy pomocy litościwych pątników, wyniosła Michała z wagonu i umieściła na noclegu.

Ranek dnia 14 sierpnia 1929 r. był prześliczny. Resztki nocy śpiesznie uchodziły przed jasnością dnia. Na wschodzie niebo rumieniło się, ze wzruszeniem oczekując wzejścia słońca. Obłoki grały całą gamą barw: seledynowa, złota i różowa, błękitna i purpurowa rywalizowały ze sobą świetnością. W stronę Jasnej Góry uśpionemi ulicami miasta ciągnęły już gromadki pątników, przybyłych koleją. Jednym z chodników czołgał się biedny paralityk. Bartosiak wyruszył z noclegu już o godzinie 3.30 rano i wolno na desce posuwał się naprzód. Mijali go ludzie, obdarzając wzrokiem pełnym współczucia. Mijały rozśpiewane kompanje, a on wlókł się i wlókł cierpliwie naprzód. Pierwsze brylantowe strzały słońca ugodziły w klasztor. Zajaśniał cały, jak w glorji chwały. Złoty krzyż wieży rozgorzał miljonem złotych iskier. Oczy kaleki wpatrzyły się w ten widok i zaszkliły łzami wzruszenia, a pierś poruszyło westchnienie pełne skruchy i miłości.

Wysoko wzeszła ognista kula słoneczna na niebo i miasto dawno się już ze snu zbudziło, gdy Michał doczołgał się do bram kościoła. Ruch przed świątynią był w pełni: grały orkiestry, kompanja-

mi i grupami ustawieni przed zamkniętemi jeszcze bramami klasztoru ludzie wielbili pieśnią i muzyką Maryę. Tu godzinki śpiewano, ówdzie kapela grała „Kiedy ranne", tam wznosiła się pieśń „Witaj Królowo", to nowa pielgrzymka przybyła, gdzieś znów słychać „Gwiazdo śliczna wspaniała", a tam zebrana większa grupka, z zapałem dzierżąc w rękach kartki z nową pieśnią ku czci Maryi Częstochowskiej specjalnie napisaną, wdzięcznie nuci „Zdrowaś... Częstochowska Panno Maryo".

Przed posuwającym się z trudem paralitykiem ludzie skwapliwie się usuwali, torując wolne przejście, a gdy otwarto drzwi kościoła, pomogli mu dostać się do kaplicy. W kaplicy Michała owiał czar świętego miejsca, w sercu jego wzmogło się uczucie wiary i ufności, że naprawdę wyjdzie stąd uzdrowiony. Wyszła prymarja. Paralityk słuchał jej z głębokiem nabożeństwem, raz po raz zalewając się serdecznemi łzami i ciągle błagając z wiarą Cudowną Panienkę o uleczenie. Skończyła się pierwsza msza św.; chory nie czuł żadnej ulgi. Rozpoczęła się druga msza św., sekundarją zwana, pątnicy śpiewali pobożne pieśni, Bartosiak śpiewać nie mógł, jakiś skurcz bolesny ściskał mu gardło, czuł się bardzo wzruszony i przejęty. Myślą i usty ciągle jedno w kółko powtarzał: „Matko Najśw. Cudowna Częstochowska, uzdrów mnie!" — „Ucieczko grzesznych, ratuj!" — „Uzdrowienie chorych, okaż miłosierdzie!" Naraz ciałem ukorzonego paralityka wstrząsnął okropny dreszcz,

bezwładne nogi przeszyły jakby strzały ogniste i w chwili, gdy kapłan ukazał wiernym zakonsekrowaną Hostję, stał się cud, jakaś niewidzialna moc uniosła chorego, odpadły deszczułki, do nóg wróciła siła pierwotna. Michał został kompletnie uleczony. W kaplicy na widok jawnego cudu powstał krzyk, sercami ludzi targnął szloch dziękczynny. Płakali, wielbiąc miłosierdzie Maryi, i cisnęli się wszyscy do uzdrowionego. Wszak przed godziną zaledwie widzieli go wlokącego się z trudem, takiego biednego, złamanego cierpieniem kalekę. I oto teraz oczom wprost trudno uwierzyć! leżą na posadzce deseczki, a on prosty, zdrowy i silny stoi, jak każdy z nich.

Po złożeniu dziękczynienia, udał się Bartosiak do zakrystji, gdzie o cudownym fakcie zeznanie złożył.

Na wieść o tym cudzie mieszkańcy Gostynina poczuli się głęboko wzruszeni, nawet żydzi, bijąc się w piersi, mówili „Wielki Bóg katolicki!

*

Takich cudów zanotowano najwięcej, bo 268.

Rozdział IX.

MARYA UWALNIA SWE DZIECI OD ZŁEGO DUCHA.

1. Pewien rycerz polski (nazwisko i imię umyślnie nie podane, aby potomków nie kompromitować), człowiek wielce pobożny i zacny, był często nawiedzany przez czarta i w czasie tym czy to w domu, czy poza nim był okrutnie bity, a nawet katowany, tak straszliwie, że z bólu tracił przytomność. Po każdym takim ataku złego ducha, na ciele rycerza widniały ślady uderzeń w formie sińców i pokaleczeń. Nieszczęśliwy wszelkich środków używał w celu pozbycia się wroga, jeździł do świątobliwych osób, radził się spowiedników; kapłani nad nim egzorcyzmy czynili, wszystko napróżno, szatan nie ustępował, owszem z większą zajadłością na niego napadał. Pozostał mu tylko jedyny ratunek — cud. Wspomniał biedny na Jasną Górę i pomyślał: — „Matka Najświętsza Częstochowska wskrzesza umarłych, leczy kaleki, wybawia z jasyru, może, gdy Ją poproszę, to i mnie z niewoli szatana wybawi?" Wybrał się tedy, a było to w roku 1569, do Czestochowy. Przybywszy na święte miejsce, długo i go-

rąco się modlił przed Cudownym Obrazem. Uproszony przezeń jeden z pobożnych ojców zakonnych odmówił nad nim egzorcyzmy, w czasie tego rycerz uczuł nagle na sercu i duszy wielką lekkość, nie odczuwaną już od paru lat, jakgdyby spadł zeń jaki wielki ciężar; życie, tak dotąd okropne, wydało mu się piękne i jasne, ustąpiły z myśli jego owe trwogi i lęki, które go dotąd trapiły, i zdało mu się, jakoby się na nowo narodził. Marya Jasnogórska wygnała zeń czarta. Pożegnawszy Pannę Najśw. i serdeczne Jej dzięki złożywszy, powrócił do domu i odtąd już, choć żył jeszcze wiele lat, nigdy przez czarta niepokojony nie był.

*

2. Szczęśliwą się czuła JWPanna Czarnkowska, wyszedłszy za mąż za wojewodę poznańskiego JWPana Przyjemskiego, lecz szczęście jej niedługo trwało. Wkrótce po zamążpójściu wdała się w jakieś znajomości z niewiastami, pomawianemi o uprawianie wróżb, czarów i zaklęć; skutek tych zakazanych stosunków był taki, że wojewodzinie zaczął się pokazywać czart. Brano to z początku za urojenie, później zdawało się, że to jakaś przedziwna choroba, jednakże wkrótce po objawach poznano szatana, który, opętawszy swą ofiarę, zadawał jej wiele udręczeń ducha i ciała. Tłukł nią, rzucał, wydając przez jej usta ohydne głosy i słowa. Przez pięć lat znosiła Anna te męczarnie, a przez cały ten czas wiele osób duchow-

nych modłami i egzorcyzmami starało się uwolnić ją od tego nieszczęścia; wszystko napróżno. W roku 1625 z porady pewnej pobożnej osoby udała się wraz z mężem na Jasną Górę, gdzie przez cztery dni oddawała się pobożnym ćwiczeniom, modlitwom, postom i jałmużnom. Wyspowiadała się też i Komunję św. pobożnie przyjęła. W tem wszystkiem nie doznała żadnych przeszkód od szatana. Piątego dnia zaprowadzono ją do kaplicy przed Cudowny Obraz, gdzie kazano nieszczęśliwej położyć się krzyżem, mąż, obok klęcząc, gorąco i z głęboką wiarą prosił Cudowną Panienkę o uwolnienie małżonki od szatana, a jeden ze świątobliwych Ojców Paulinów począł odmawiać nad leżącą egzorcyzmy — i oto przez usta wojewodziny duch nieczysty wyjawił, dlaczego w niej zamieszkał, a potem jął nią targać i rzucać z wielką siłą o posadzkę. Czcigodny kapłan nie ustawał w modlitwie, a zły duch znęcał się nad biedną ofiarą; wkońcu zlitowała się Matka Najświętsza: szatan, ryknąwszy, wyszedł z opętanej.

Świadkami tego cudu było wielkie mnóstwo narodu, zapełniającego kaplicę. Kapłan skończył modlitwy, a wojewodzina powstała całkiem uzdrowiona.

Małżonkowie po serdecznem dziękczynieniu i złożeniu znacznych ofiar, szczęśliwi niezmiernie, powrócili do domu.

*

Matka Boska wypędza złych duchów.

Fresk na Wielkim Kościele.

3. W pięknym pałacu, należącym do jednego ze znakomitych rodów polskich (nazwisko umyślnie jest zatajone, aby rodowi wstydu nie czynić), pędzono życie wesołe i wspaniałe. Córka pana włości, imieniem Anna, panienka piękna i bardzo wesoła, o usposobieniu może nadto żywem, lubiła się bawić ochoczo. Komnaty pałacu rozbrzmiewały weselem. Częste zabawy, biesiady, tańce, gromadziły dostojnych przyjaciół. Zdawało się, że jasne niebo nad tą rodziną nigdy się nie ściemni. A oto pewnego dnia, jakoby grom, spadło na ten dom nieszczęście, tem straszniejsze, że uderzyło w pełną życia, ukochaną córkę Annę. Dziewczę to, rozdrażnione przez swą pannę z fraucymeru, uniosło się strasznym gniewem, a zapominając się w swej złości, nieostrożnie wymówiło jakieś bluźniercze słowo i w tejże chwili duch nieczysty opanował ją. Smutne dni rozpoczęły się odtąd w pałacu. Zamiast dawnej muzyki — słychać było straszny krzyk torturowanej przez szatana Anny; zamiast śmiechów — płacz rodziców; zamiast ochoczych pląsów — czart miotał ciałem nieszczęśliwej, rzucając je na ziemię i bijąc okrutnie. Sąsiedzi i krewni odsunęli się od tego domu, jak od zarażonego. Zarosły trawą drogi, prowadzące do pałacu. Służba i dworzanie, słysząc nieludzkie wycie opętanej, zamyślali uciekać. Ten stan rzeczy trwał 12 miesięcy. Przez ten czas rodzice sprowadzali ciągle różnych świątobliwych kapłanów, którzy czynili egzorcyzmy; modlono się, dawano jałmużny, lecz wszystko bez skutku.

Jedynym ratunkiem dla nieszczęśliwej była Jasna Góra — tak pomyśleli rodzice — i tam ją też zawieźli; a było to w roku 1632. Przez trzy tygodnie zamieszkali z Anną w świętem miejscu, modląc się z gorącością i wiarą głęboką w pomoc Maryi. Cały ten czas panienka zachowywała się tak spokojnie, iż wszyscy sądzili, że ją czart opuścił. Wybrano się więc w towarzystwie dwóch OO. Paulinów z powrotem do domu. W Kłobucku na postoju zaczęły się na nowo udręczenia Anny. Czart utaił się tylko, by teraz z większą furją wybuchnąć. Przebudzeni krzykiem opętanej, zakonnicy święconą wodą trochę ją uspokoili, a następnie całe grono wróciło na Jasną Górę. W chwili, gdy na horyzoncie ukazał się jadącym szczyt wieży, padli wszyscy krzyżem na ziemię i z głęboką wiarą błagali Maryę o cud. I począł czart przez usta opętanej ryczeć, aż trwoga straszna padła na wszystkich, lecz w modłach nie ustawali, a oto zły duch, rzuciwszy dziewczynę z wielką siłę o ziemię, opuścił ją na zawsze, pozostawiając jej biedne udręczone ciało wprost bez życia. Gdy ją ocucono z ciężkiego omdlenia i przywieziono na Jasną Górę, czuła się, jakby odrodzoną na duszy i ciele. Wdzięczni za cud rodzice ofiarowali Pannie Jasnogórskiej złoty kielich, wysadzany perłami, i posadzkę marmurową, bardzo cenną, w kaplicy ufundowali. Panienka zaś, żywot swój zupełnie odmieniwszy, marnościami świata wzgardziła, a wstąpiwszy do zakonu Klarysek, na służbę Panu się ofiarowała. Tam

wielce Imię Maryi Jasnogórskiej wychwalając, w świątobliwości życia dokonała.

*

4. Pewnego dnia w 1699 roku zauważyli pątnicy, przebywający na Jasnej Górze, jakiegoś kapłana, który, wszedłszy do cudownej kaplicy, z wielką żarliwością, ze łzami w oczach przed Matką Najświętszą się modlił, a twarz jego wyniszczona taką jaśniała radością, iż się wszyscy domyślali, że za jakowąś łaskę tak serdecznie dziękuje. Jakoż kapłan ów, Wielebny ks. Wojciech Mrówczyński, przybył na Jasną Górę dla dopełnienia ślubu i w księgach klasztornych, poniżej umieszczone zeznanie o łasce otrzymanej, własnoręcznie skreślił.

„Przed 9 miesiącami złożony byłem ciężką chorobą i, jeżdżąc do lekarzy w Sandomierzu, Opatowie i Lublinie, nietylko nie znalazłem żadnej ulgi, ale przeciwnie zrobiło mi się jeszcze gorzej. Nie mogłem nic pić, ani jeść — czułem okropny ogień w sobie, a wszystkie stawy jakby mi kto rozrywał. Co zaś było najgorszego to to, że jeśli za zdrowia byłem przez złych duchów nagabywany podczas pacierzy, lub Mszy św. — to obecnie to się wzmogło i doszło do tego, że ciężko byłem przez nich do krwi biczowany. Niekiedy widziałem około siebie straszne widziadła: potwory, bestje, węże... potem wprowadzany byłem do różnych miejsc pięknych i przyjemnych — to znowu do brudnych i wstrętnych, widziałem dusze

w strasznym ogniu cierpiące i sądziłem, że to był czyściec, lub piekło.

W tych uciskach, ponieważ nie mogłem ani słówka wymówić, myślą tylko i sercem wzywałem pomocy Maryi Jasnogórskiej, której wizerunek nosiłem na piersiach. Pewnego razu doszło do tego, że w tych męczarniach ducha już prawie konałem. Wtedy OO. Reformaci, moi znajomi, i inni zakonnicy i krewni ofiarowali mnie Panu Bogu przez ręce Matki Boskiej Częstochowskiej — i po długich i gorących prośbach wstałem zupełnie zdrów i dotąd nic mi się już z tego nie przytrafiło.

*

5. Andrzej Lewandowski z Wiskitek niedaleko Warszawy ożenił się z wdową 34-letnią Marjanną Jasińską. Wdowa ta przed swem zamążpójściem była opętaną przez czarta, który bardzo dużo rzeczy okropnych i wstrętnych przez nią mówił i ludziom wiele przykrości przez oną niewiastę robił. Po wyjściu jej zamąż za Lewandowskiego czart zmienił postępowanie, stał się niemym, lecz niemniej strasznym: oto Marjanna, dręczona zazdrością i nienawiścią względem męża, dom w piekło zamieniła. Wpadając codziennie wprost w furję, wszystko psuła i niszczyła. Cały ciężar gospodarstwa domowego, wychowanie dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa opętanej, wszystko to spadło na biednego męża; żadnej pracy, żadnego trudu jąć się nie chciała, owszem wszystko z szatańską przebiegłością jeszcze utrudniała. Andrze-

jowi groziła ruina majątkowa, mimo jego wprost nadludzkich wysiłków. Cokolwiek zbudował, lub zaoszczędził, ona natychmiast postarała się zniszczyć. Pewnego razu, używając podstępu, udało mu się zawieźć Marjannę do Studzianny, gdzie jest Cudowny Obraz Matki Boskiej, tam gorąco Najświętszą Panią o litość prosił, żonę Jej miłosierdziu polecał, a jeden z Ojców Filipinów modlił się nad nią długo. Wróciła Marjanna do domu i przez czas jakiś była spokojną i zdawało się, że jest uleczoną, lecz wkrótce duch ciemności znów wrócił, a z nim dawne niepokoje. Nie mogąc już dłużej ścierpieć tak ciężkiego życia, udaje się nieszczęśliwy mąż do Matki Najśw. Częstochowskiej, zabiera żonę i jej dwoje dzieci Antosia i Zosię i przybywa na Jasną Górę. Z wielkim trudem wprowadził opierającą się niewiastę do Cudownej kaplicy. Tu opętana, wpadłszy w straszliwą furję, chciała uciekać, lecz Andrzej, silnie ją ująwszy, trzymał mocno na kolanach, a szatan począł z dziką namiętnością wyprężać i wykręcać ręce i nogi nieszczęśliwej, rozrzucał jej włosy, krzyczała przytem biedna niesamowitym głosem. Pątnicy, zgromadzeni w kaplicy, z przerażeniem odsuwali się od niej. A stroskany mąż trzymał ją mocno i modlił się z głęboką wiarą i błagał i żebrał miłosierdzia Maryi dla opętanej, a niewinne głosiki dzieci łączyły się z jego modłami. Świadkiem tego był O. Tomasz Sowiński, spowiednik Apostolski; ten na prośby męża i dzieci zajął się nieszczęśliwą. Przez 3 dni modlitwą, postem

i egzorcyzmami walczył z nieprzyjacielem rodu ludzkiego. Po wielu wysiłkach i trudach kapłana, po wyspowiadaniu się opętanej w czasie mszy św. dnia 16 lipca 1802 roku, zlitowała się Niepokalana Dziewica. Ta, która skruszyła głowę węża piekielnego, uwolniła w dzień swego święta Marjannę od szatana. Opuścił opętaną z wielkiem wyciem, pozostawiając ją prawie martwą na posadzce. Po upływie pół godziny przyszła do przytomności, wielbiąc Boga i Jego Najświętszą Matkę za cud tak wielki.

Po powrocie do domu, pobożnie dzieci swe wychowując, była do końca życia przykładną żoną. Gospodarna, oszczędna i pracowita, stała się podporą i pociechą swego zacnego męża.

*

Takich łask zanotowano w kronikach 87.

Rozdział X.

a) SKAZANI NA KARĘ ŚMIERCI, LUB O ZBRODNIE ŚCIGANI ZOSTAJĄ PRZEZ MARYĘ UWOLNIENI.

b) MARYA OTWIERA OCZY HERETYKÓW I NIEDOWIARKÓW I NA JASNEJ GÓRZE JEDNA ICH Z KOŚCIOŁEM.

a) Skazani na karę śmierci lub o zbrodnię ścigani zostają przez Maryę uwolnieni.

1. W czasie wojen husyckich wtargnęły w 1432 r. te heretyckie bandy i do Polski. Pewien obywatel z Raciborza na Śląsku, wzięty przez nich do niewoli, był namawiany a nawet męczony i katowany, aby się wiary katolickiej wyparł, a ponieważ żadne namowy i męki nie mogły go do odstępstwa zmusić, skazano go na śmierć. W tym celu wyprowadzono go pewnego dnia rankiem za miasto i tam na szubienicy powieszono. Zawisł, polecając swą duszę miłosierdziu Bożemu i Matce Najświętszej.

W tym czasie pobożna żona jego, o niczem nie wiedząc, niepokoiła się o męża, który, przed dwoma dniami z domu wyszedłszy, żadnej wieści o sobie nie dawał. Dręczona trwogą o los jego,

udaje się w swem strapieniu do Matki Najświętszej i, z wielką wiarą polecając męża Jej opiece, ślubuje, że jeżeli go żadne nieszczęście nie spotka, ona z nim pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę odprawi.

Zbrodniarze po wyroku spełnionym na męczenniku, pozostawiwszy jego ciało wiszące, aby — jak mówili — było nauką dla tych, którzy się wiary św. wyprzeć nie chcieli — sami rozeszli się do domów, obiecując dnia następnego ciało skazańca pogrzebać. I wisiało to biedne ciało a wiatr miotał niem i szarpał i poczęły się już zlatywać na żer kruki i wrony. Pod wieczór szedł tamtędy jakiś rycerz, a widząc powieszonego, uderzeniem miecza przeciął sznur i spadło ciężko martwe ciało na ziemię. Lecz cóż to? Zmarły, jakby ze snu zbudzony, przeciera oczy, wstaje i dziwi się, że żyje; przechodzi bezpiecznie między wrogami i wraca do domu. Żona uradowana pyta, gdzie był tak długo, i z przerażeniem dowiaduje się o strasznych jego przejściach, o powieszeniu i cudownym powrocie do życia, wzamian wyjaśnia mu swoje trwogi i opowiada o swych pełnych ufności modłach do Maryi Częstochowskiej i o uczynionym ślubie; oboje, widząc w tem wydarzeniu cud, wybierają się w pieszą pielgrzymkę i wkrótce na Jasnej Górze gorące dzięki za uwolnienie od śmierci składają.

*

2. Sekretarzem króla Zygmunta III był Lambert Urejder. Prawy, uczciwy i pobożny, miał wielkie zaufanie u króla i dworu. Długi czas żył szczęśliwie i w poważaniu u ludzi, lecz znaleźli się niegodziwi, którzy przez zazdrość oskarżyli go w roku 1597 przed królem, że utrzymuje tajną korespondencję z cesarzem Maksymiljanem, zdradzając tajemnice państwa. Owóż król Zygmunt, uwierzywszy oszczercom, kazał wtrącić niewinnego do więzienia. Przez kilka miesięcy przebywał on tam w najokropniejszych warunkach. Ustawy karne polskie groziły zdrajcy pozbawieniem praw i wydaleniem z granic kraju. Rozpacz jego rodziny, tak dotąd szanowanej, a teraz wzgardą i poniżeniem okrytej, była straszna. Król, wielce rozgniewany mniemaną zbrodnią swego ulubieńca, nie chciał nawet słyszeć ich prośb za nim. Dawni przyjaciele odsunęli się od niego i jego rodziny, nie chcąc mieć nic wspólnego z obrzydłym zdrajcą. Czekano na mający się wkrótce odbyć sąd i wyrok hańbiący. Opuszczony przez ludzi, udaje się nieszczęśliwy do Matki Najsprawiedliwszego i Najwyższego Sędziego, do Maryi Jasnogórskiej. Padł na twarz w swem więzieniu i, zalewając się rzewnemi łzami, począł błagać, aby Marya raczyła niewinność jego wykazać. I ślubował Jej na podziękowanie odbyć pielgrzymkę pieszą do Częstochowy. Trzeciego dnia modlitw, niespodziewanie odkrył król ten spisek, uknuty przez zadrosnych dworaków przeciw Lambertowi. Natychmiast uwolnił więźnia, a nagrodziwszy za niewinne cierpie-

nia, do jeszcze większych łask przypuścił i całem zaufaniem obdarzył. A sekretarz, wdzięczny za otrzymaną od Matki Najświętszej łaskę, pięć dni z całą rodziną na Jasnej Górze w gorących dziękczynieniach spędził.

*

3. Podczas grasowania w roku 1609 zarazy morowej, która wiele ofiar w mieście Dolsku, niedaleko Poznania zabrała, pewien pobożny mieszkaniec tego miasta, Walenty Uszkowski, mając wielką ufność w opiekę Maryi Jasnogórskiej, ślubował, że jeżeli dom jego zaraza ominie, to na pieszo pielgrzymkę do Częstochowy odprawi. Marya przyjęła ślub i Uszkowski z całą swą rodziną i domownikami uniknął strasznej śmierci. Wypełniając swój ślub, szedł pieszo na Jasną Górę. A oto w tej okolicy, którą postępował, popełniona została zbrodnia; sprawca jej zbiegł, wysłani za nim w pogoń ludzie, spostrzegłszy idącego Walentego, myślą, że to właśnie ów zbrodniarz i, mimo jego protestów, biją go, wiążą i do ciężkiego więzienia wtrącają, okuwając poprzednio w kajdany. Tak niewinnie posądzony, udaje się o pomoc do swej Najświętszej Opiekunki. Pada na kolana, a wyciągając w górę ręce, błaga o wybawienie i tejże nocy pęta same z rąk i nóg opadają, otwierają się drzwi i Uszkowski, niewidziany przez swych stróży, swobodnie ucieka. Lecz nie był to jeszcze kres cierpień, któremi Pan Bóg chciał doświadczyć

swego wiernego sługę. Drugiego dnia po ucieczce łapią go znów i osadzają w cięższem jeszcze więzieniu, gdzie ręce jego i nogi, aby nie mógł uciekać, do żelaznej kraty przykuwają. Walenty nie złorzeczy, nie zrywa się, nie rozpacza, lecz cierpliwie znosi swoje nieszczęście i tylko się ciągle Maryi Częstochowskiej poleca i ufa i wierzy, że Ona go z tej opresji wyratować raczy, a jednocześnie ślubuje, że jeżeli cało z tego wyjdzie, ofiarę złoży i życie swe całkowicie odmieni. Nadszedł dzień sądu: zasiedli surowi sędziowie, a przed nimi postawiono więźnia, którego jasny wzrok i cała postać wskazywała, iż niezdolny byłby zbrodni się dopuścić. Sędziowie, wysłuchawszy jego zeznań, przekonali się o jego niewinności, szczególnie gdy wzięli pod uwagę cudowne uwolnienie przez Matkę Najświętszą z poprzedniego więzienia, i nietylko, że wydali wyrok uniewinniający, ale jeszcze przeprosiwszy go, na drogę darami obsypali. Po raz drugi cudownie uwolniony, na Jasną Górę czemprędzej pośpieszył, ofiarę i dzięki złożył, a wróciwszy szczęśliwie do domu, do końca dni swoich żył bogobojnie.

*

4. Nie było dostatku w domu wieśniaka Bartłomieja i małżonki jego Jadwigi we wsi Tarczynie. Postanowili więc córkę swą Annę wysłać na służbę do stolicy, do Warszawy. Z płaczem żegnała się dziewczyna z rodzicami, idąc na nieznaną dolę.

Anusia, wychowana bogobojnie, będąc w służbie przez dłuższy czas żyła przykładnie i uczciwie. Niestety znalazł się pewien zły człowiek, który ją z dobrej drogi sprowadził. Wkrótce też nieszczęsna służąca porodziła nieślubne dziecię, a wstydząc się tego żywego dowodu występku, wyrzuciła maleńkie biedactwo przez okno na brzeg rzeki. Jednakże na drugi już dzień zbrodnia się wydała. Złapano winowajczynię i osądzono na karę śmierci przez utopienie, a było to w roku 1625. Siedząc w więzieniu, przygotowywała się na śmierć. W całej swej krasie stanęło przed nią życie pędzone w niewinności, w chacie rodzinnej; zdjął ją żal serdeczny za domem, za wsią, za staruszkami rodzicami, na których uczciwe siwe głowy taką straszną hańbę ściągnęła. Płakała gorzko, że już nigdy nie będzie oglądała pól złocistych, nie stanie do żniw, nie zobaczy wiejskiego kościółka, w którym chrzest otrzymała, gdzie pierwszą Komunję św. przyjęła, i serce jej ogarnęła tak wielka skrucha za grzechy popełnione, taki żal, że Serce Boga zraniła, że Jego Najświętszą Matkę zasmuciła, że, padłszy twarzą w proch, obfite łzy wylewała.

Sędziowie przysłali nieszczęśliwej jednego z Ojców Franciszkanów, który przygotował ją na śmierć, a widząc, jak szczerze grzechy opłakiwała, polecił jej udać się w opiekę Maryi Częstochowskiej.

Wyprowadzili pachołkowie więzienni Annę na brzeg Wisły, tłum ludu towarzyszył temu ponure-

mu orszakowi, ciekaw chwili stracenia. Przywiązał jej kat olbrzymi kamień do nóg, by na dno skutecznie i pewnie iść mogła. I stanęła tak w obliczu śmierci młoda, zdrowa, w pełni sił, rwąca się do życia dziewczyna, która dopiero żyć zaczęła, a już tak strasznie z powodu popełnionej zbrodni kończyć je musi. Jedna chwila zapomnienia o Bogu, o Jego przykazaniach i takie okropne następstwa: „Tu na ziemi śmierć hańbiąca, a co będzie tam w wieczności? O, Boże, przebacz mi! o, Panienko Jasnogórska, ratuj! bo chcę odpokutować za grzechy".

Płacząc, grzesznica padła na kolana i głośno wobec zgromadzonego ludu wyraziła swą skruchę za grzechy i poczęła prosić Boga o odpuszczenie, a jednocześnie błagając z głęboką wiarą i ufnością Maryę Jasnogórską o ocalenie, ślubowała, że jeżeli próśb jej wysłuchać raczy, to ona życie swe całkowicie poprawi! Skończyła, a kat, spełniając obowiązek, zrzucił ją z mostu do rzeki; dziewczyna krzyknęła rozdzierającym głosem, tłum zakołysał się i jęknął ze zgrozy, ciało skazanej plusnęło złowrogo... Zdradzieckie łono rzeki zamknęło się nad nią. Lud stał, jak skamieniały, patrząc na fale, które przed chwilą pochłonęły życie ludzkie, a teraz spokojnie i wesoło płyną w dal. Lud stał i patrzył, coś dziwnego, jakiś wewnętrzny nakaz kazał mu tu czekać, na co? nie wiedział. Pół godziny minęło. Wisła leniwie płynęła. Gdy naraz zaszemrał zdziwiony tłum, rozległy się okrzyki zdumienia, bo oto z głębi wód wynurza się postać

dziewczyny, swobodnie i lekko dopływa do brzegu, wolnemi od ciężaru stopami wychodzi na ląd i tam głosi: że spoczywającej na dnie rzeki ukazała się Matka Najświętsza Częstochowska i, odjąwszy jej od nóg kamień, kazała wypłynąć na powierzchnię, co też ona z największą łatwością uczyniła. Gdy skończyła, sędziowie, skazana i niezliczone tłumy ludu, widząc jawnie tak wielki cud, padli na kolana i popłynęła do stóp „Ucieczki grzeszników", jak jeden głos, modlitwa dziękczynna.

Wkrótce potem Anna z matką i świadkami cudu na Jasną Górę przybyła i to zeznanie złożywszy, Maryi Częstochowskiej za ocalenie dziękowała, a potem wróciwszy do domu, za swe grzechy pokutowała i do końca życie bogobojne pędziła.

*

5. W roku 1745 Kazimierz Kozłowski, wartownik na Jasnej Górze, będąc raz w gospodzie niedaleko klasztoru, zauważył, że jeden z obecnych tam gości, Jakób Komorowski z Sieradza, ogromnie swym towarzyszom dokuczał i do gniewu złośliwemi żartami i obelgami pobudzał; chciał go od tego powstrzymać, najprzód słowami, a gdy to nietylko nie pomagało, ale jeszcze więcej awanturnika rozzuchwalało, wystąpił czynnie. Chcąc go uderzyć kijem w plecy, trafił w głowę tak nieszczęśliwie, że na miejscu zabił. Powstał krzyk przerażonych widzów. Najwięcej ze wszystkich przerażony był sam zabójca, stał osłupiały, nie myśląc uciekać. Związano go łańcuchami i poprowadzono

do twierdzy; wkrótce zebrał się sąd, który go skazał na śmierć przez rozstrzelanie. Biedny zabójca! nie mógł wprost pojąć za co go karzą; był winien, bo zabił, lecz nie chciał zabić, chciał tylko uspokoić kłótnika i stało się nieszczęście, a oto teraz zginąć musi marnie. Przyszedł spowiednik O. Konstanty Pawłowski, profesor filozofji, który skazańca na śmierć przygotował, serdecznemi słowy pocieszał, a dając mu na pożegnanie obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej do pocałowania, pobożnie nim biedaka przeżegnał. Za chwilę wyprowadzono Kazimierza, otoczonego dziesięciu żołnierzami, którzy go mieli rozstrzelać; towarzyszył im tłum ludzi. Tak szli na pole, obok kaplicy św. Rocha położone, gdzie wyrok miał być wykonany. Idąc na śmierć, zwrócił nieszczęsny swe oczy na Cudowną kaplicę i tak się modlił: „Panno Najmiłosierniejsza! dziesięć lat w Twej twierdzy tutaj służyłem, a teraz z wypadku złego mam umierać. Zmiłuj się nademną, a będę Ci służył do ostatniego tchu, jak ostatni niewolnik". Niektóre osoby, znając jego poczciwość, wstawiały się za nim, lecz sędziowie byli nieubłagani i zwolnić go nie chcieli. Doszli na miejsce stracenia i postawili nieszczęśliwego przy palu. Zabrzmiała salwa — a Kazimierz mimo, że prosto w niego celowano, pozostał zupełnie nietknięty. Dziesięć kul, uderzywszy w jego odzienie, upadło przed nim. Stwierdzili to wszyscy obecni, a było ich bardzo wielu. Wobec jawnego cudu, nie wiedząc co z więźniem uczynić, zaprowadzono go z powrotem

na Jasną Górę, gdzie władzom o tym cudzie raport złożono. A był tam wówczas Prymas Polski, Stanisław Szembek, Arcybiskup gnieźnieński, ten wyznaczył kilku zacnych i poważnych mężów, aby zbadali tę sprawę. Mężowie ci stwierdzili, że ów stróż odznaczał się zawsze życiem uczciwem i pobożnem, a zaś ci, którzy wykonywali wyrok, nie kierowali się podstępem i uczciwie spełniali swój niemiły obowiązek, zachodzi więc w tym wypadku cud jedynie.

Wartownik uwolniony tak łaskawie od śmierci przez swoją Panią, której wiernie przez dziesięć lat służył, postanowił i dalsze swe życie jeszcze gorliwiej na Jej służbę poświęcić, co też i wypełnił.

*

Podobnych cudów zanotowano około 64.

b) Marya otwiera oczy heretykom i niedowiarkom.

1. Pobożnym zwyczajem szła w roku 1672 ze Śląska pielgrzymka piesza na Jasną Górę. Powodowana ciekawością (a właściwie to ręka Opatrzności nią kierowała), dołączyła się do kompanji pewna panna, luteranka, imieniem Marta. Dziewczyna przysłuchiwała się pieśniom i modlitwom, lecz w nich udziału nie brała, zbyt bowiem zakamieniałą była w swej herezji. Po paru dniach podróży, idącym pokazał się szczyt wieży; przejęci wzruszeniem upadli na kolana, by cześć oddać

świętemu miejscu; ze łzami w oczach modlili się gorąco, chwaląc Boga i Maryę. Marta, widząc te oznaki głębokiej czci, wyśmiewała się w duchu z pielgrzymów, nazywając ich „zabobonnikami", a chcąc im pokazać swą wyższość w wierzeniach, stała sztywno, nawet głowy nie schyliwszy. Aliści z wieży klasztornej pada na nią promień przedziwnego światła i, jak piorun, zwala stojącą na ziemię. Przerażeni pątnicy rzucili się do niej, stosowali różne środki orzeźwiające i po długich wysiłkach udało się im przywrócić omdlałej przytomność. Przyszedłszy do siebie, wyznała im swe szydercze myśli, swoją pychę, gdy stała patrząc z pogardą na klęczących, a potem opowiedziała o tem świetle niebieskiem, które ją z wieży poraziło i tak ogromną w duszy i sercu odmianę sprawiło, że obecnie widzi jasno i wyraźnie, jak zaślepioną była w swej herezji, jak upartą w błędach.

Kompanja ruszyła dalej powiększona o jedną duszę katolicką, bo za taką czuła się już w swem sercu Marta. Gdy tylko znaleźli się pątnicy na Jasnej Górze, nawrócona panna uczyniła wyznanie wiary, a widok Cudownego Obrazu natchnął ją taką tkliwą miłością ku Matce Najświętszej, że odtąd już do końca życia, wdzięczna za cudowne nawrócenie, najwierniejszą i gorącą Jej wielbicielką została.

*

2. Było to w roku 1672. Do Częstochowy za interesami przyjechał pewien Turek nazwiskiem

Klater. Poczciwy ten człowiek, mieszkając już czas dłuższy w Polsce, czuł się najzupełniej Polakiem, tylko o zmianie wiary nie myślał, za bardzo był przywiązany do mahometanizmu. Jednakże bawiąc w tak sławnem dla Polaków mieście, namówiony przez znajomych i własną ciekawością powodowany, poszedł na Jasną Górę. Już wspaniałe wnętrze wielkiego kościoła olśniło go, lecz, gdy wszedł do Cudownej Kaplicy i spojrzał na święte oblicze Maryi, stanął jak wryty. Serce jego przepełniło nieznane dotąd uczucie; macierzyńskie oczy Pani Częstochowskiej patrzyły nań słodko. Pod tem spojrzeniem duszę zalewała mu tkliwość bezmierna. Nie, takich wrażeń nie doznawał jeszcze nigdy! Spogląda na ludzi, wszyscy klęczą i modlą się żarliwie, jakaś nieprzeparta siła każe mu uklęknąć, coś zgina jego kolana, nie zdzierżył... i oto już kornie klęczy; fala nieznanych uczuć rozpiera mu piersi i wyrywa z nich łkanie. Ach, te oczy ciągle nań patrzą, coś łagodnie, a mocno rozkazują! Czego chcą od niego? Czego chce ta Pani z Dzieciątkiem? On Jej nie zna, ale chce poznać, bardzo chce poznać. Ach! — wyrywa się z serca westchnienie ulgi — teraz wie, czego chce Ona, z tych miłosiernych oczu pada na niego oślepiający blask i rozjaśnia jego umysł: pragnie Jasnogórska Pani, by właśnie dlatego, że Jej nie zna, teraz postarał się Ją poznać. Tak, tego chce Ona, o tem doń mówią Jej cudowne oczy. Uderza więc czołem o posadzkę, składa serdeczne pozdrowienie i, wiedziony jakby niewidzialną ręką,

idzie szukać kogoś, ktoby go nauczył czegoś o tej Pani, ktoby mu coś o Niej powiedział. Prowadzą go do przeora, a był nim wielce świątobliwy i przezacny O. Augustyn Kordecki. Czcigodny kapłan pyta, czegoby sobie życzył, a on składa ręce i błaga: „Mów mi, Ojcze, o tej świętej Pani z Obrazu, chcę być Jej sługą i czcicielem do śmierci". I dobrotliwy kapłan z ojcowską miłością wyuczył go prawd wiary św. katolickiej i do chrztu św. przysposobił.

Płoną światła na ołtarzu, tłum pobożnych zapełnił kaplicę, zabrzmiał z chóru hejnał, zgięły się kolana, pochyliły głowy, z piersi wyrwało się westchnienie. Odsłaniają Cudowny Obraz, a za chwilę ojciec Augustyn Kordecki udzieli chrztu Turkowi, nadając mu imię Urban. Wzruszenie w świątyni ogólne. Wprowadzają przed ołtarz biało ubranego neofitę. Twarz jego opromienia niebiańska radość. O, teraz on już swą Panią i Królowę zna dobrze. Teraz już jest Jej dziecięciem! Już swe serce na zawsze Jej oddał, on teraz Panienki Jasnogórskiej na wieki rab i niewolnik oddany! Pada na kolana. I znów, jak wtedy patrzą Najświętsze oczy na niego. Lecz teraz Matka i syn już się zrozumieli, on jej swe serce u nóg składa, Ona mu błogosławi, łaski zapewnia...

I tak do śmierci Urban Klater pozostał wiernym i oddanym sługą i czcicielem Maryi.

*

3. Wesoły był, swobodny; życie doń się śmiało. Czerpał więc z niego hojnie pełnemi garściami przyjemności i rozkosze, bo raz się tylko żyje, więc trzeba korzystać, póki czas, póki sił starczy. Takiej się trzymał zasady. Wszakże nic go nie krępowało. Protestantem był, a ta sekta na nikogo przymusu moralnego nie nakłada, byleby wierzył, nie zabrania używać przyjemności, choćby nieraz i bardzo grzesznych. Więc i pozwalał sobie. A dusza? a wieczność? och, ona już zapewniona, Chrystus ją dlań na krzyżu już dawno wysłużył, a zasług osobistych na niebo, podług wierzeń protestanckich, mieć nie potrzeba, to już wszystko załatwione. A Bóg? czy Mu się takie swobodne życie podoba? jak patrzy na grzechy? O, Bóg, Bóg w jego pojęciu nie patrzy na takie drobiazgi, nie patrzy, co ludzie robią na świecie. Zresztą takie myśli rzadko go nawiedzały, odrzucał je od siebie, bo pocóż sobie psuć radość istnienia? Więc bez troski o duszę pędził życie Krystyn Helians, oficer wojsk saskich. I nic się nie zanosiło na to, by je miał poprawić, nie mówiąc już o zmianie religji. Nigdy mu nawet w głowie ta myśl nie powstała, by miał zostać „papistą" katolikiem! Może wierzyć w Matkę Boską!? Nie, w „zabobony" katolików, jak to nieraz z pogardą mówił, on, człowiek rozumny, nigdy nie wierzył i nigdy, przenigdy nie uwierzy!

W roku 1703, znajdując się ze swym pułkiem w Częstochowie, z wielu innymi wszedł do Cudow-

nej Kaplicy. Półmrok tam panował, tylko ołtarz gorzał od świateł. Odprawiało się właśnie nabożeństwo przed odsłoniętym Obrazem.

Cała atmosfera tego świętego miejsca przesiąknięta jest czcią ku Matce Boskiej, dziwnie też czuł się tu oficer protestant. Może pierwszy raz był w świątyni katolickiej. Przyzwyczajony do zimnych, nagich ścian swego zboru, zdumiony był, widząc ołtarze i mnóstwo rozwieszonych na ścianach złotych i srebrnych przedmiotów, których znaczenia się nie domyślał. Zapach kadzideł i gra organów, a nadewszystko te rzesze wiernych, klęczących, z oczyma zapatrzonemi w Obraz, rozmodlonych, oderwanych od ziemi, silnie podziałały na niego; przytem uderzyło go to dziwne ciepło, ciepło domu rodzinnego, które owiało go nagle. Tak tu jakoś było dobrze, jak przy sercu matczynem. Nieśmiało posunął się dalej. To butne i pyszne uczucie, te szydercze myśli, z któremi tu szedł, zatrzymały się przed progiem kaplicy, a on wszedł dziwnie cichy, jak dziecię, które obawiając się kary za popełnione winy, zbliża się do matki, niepewne jak ona je przyjmie. Doszedł do kraty, dalej bał się posunąć, nie śmiał. Spojrzał na Obraz. Ach, to jest ten skarb Polaków, to jest to ukochanie Narodu! Dziwne, tyle już obrazów katolickich widział, ale żaden nań takiego nie wywarł wrażenia, jak ten. Przeszły go dreszcze i lęk jakiś uchwycił za gardło. Serce łopotało, jak schwytane ptaszę. Czegóż się tak bać? Tyle już razy był w różnych niebezpieczeństwach, a jeszcze się tak

nigdy nie lękał. Ta twarz z Obrazu, te pełne wyrzutu oczy, słodkie i święte. Nie, on w żadnych świętych, w żadne obrazy nie wierzy, trzeba się otrząsnąć z tych czarów. Chce odejść — nie może, coś go tu trzyma, przykuwa wprost. Chce oczy odwrócić, — niepodobna, tamte oczy go więżą. I coraz większa trwoga go ogarnia, a pamięć nasuwa mu wspomnienia grzechów. Ach! jakiż potworny, jakiż straszny to korowód, coraz ich więcej i to wszystko on popełnił, jakże mu wstyd za nie wobec tego Obrazu Maryi, Matki Jezusowej, wobec tej świętej twarzy! On nigdy o swych winach nie myślał, nie żałował za nie, a teraz tak mu się smutno robi, duszą go łzy, żal straszny, okropny ściska serce, które omal nie pęka z bólu, wstrząsa nim łkanie stłumione. O, ten Obraz, ta twarz Maryi, taką w jego duszy odmianę czyni! Jakże to on mógł żyć z tym brudem w sercu, z temi plamami na duszy! Lecz gdzie znajdzie oczyszczenie, czy w swoim zborze? nie, nigdy! tam go nie zrozumieją, nie zdejmą tego ciężaru, nie zmyją grzechów. Więc chyba udać się do kapłanów, tych dotąd wzgardzonych „papistów", do stróżów tego Obrazu? Tak, to jedyna droga do odrodzenia, bo on tak dłużej żyć nie chce i nie może. Żal za grzechy coraz silniejszy go ogarnia, poznał błędy swej sekty, poznał prawdę i nie spuszcza wzroku z Obrazu, a łzy skruchy serdecznej strumieniami płyną po twarzy. I padł na oblicze i w proch się ukorzył ten świetny oficer królewski, uderzył czołem o kamienną posadzkę,

a z ust jego wyrwał się szloch: „Matko Chrystusowa, Maryo! ratuj, uproś mi miłosierdzie i grzechów odpuszczenie! Ty, coś mi łzy żalu wyprosiła, z Synem Twoim mnie pojednaj!"

I dziwią się heretycy koledzy, nie rozumiejąc, co się z nim stało, a wierni, patrząc na leżącego, na to łkaniem wstrząsane ciało, domyślają się, że w tej chwili dzieje się coś nadprzyrodzonego, jakiś nowy cud miłosierdzia Maryi Częstochowskiej.

I podniósł się Krystyn z twarzą bladą, zmienioną i poszedł do zakrystji, gdzie opowiedział o swem cudownem nawróceniu i prosił o nauczenie zasad wiary katolickiej.

Wkrótce uczynił wyznanie wiary, a gdy, rozgrzeszony z win, przed Cudownym Obrazem połączył się w Komunji św. ze swym Bogiem i Panem, spojrzała nań z ram Obrazu z macierzyńską czułością Panienka Jasnogórska, a fala szczęścia bez miary zalała mu duszę.

Odtąd Krystyn odmienił zupełnie swe życie. Pobożny i cnotliwy, do śmierci był gorącym czcicielem Maryi Częstochowskiej.

*

4. „Było to przed dwudziestu siedmiu laty. Jako zdeklarowany niedowiarek przybyłem na Jasną Górę, jak Zola do Lourdes, w celu zbierania wzorów do zdyskredytowania Kościoła. Mówiono mi, że Obraz Cudowny wywiera jakiś nadziemski urok, któremu się oprzeć niepodobna; postanowiłem więc nie wchodzić wcale do kaplicy i wierny

byłem temu postanowieniu. Tak spędziłem na Jasnej Górze parę dni, lecz nic nie mogłem dostrzec, coby mi dało materjał do osiągnięcia mego celu. Powziąłem przeto zamiar przenieść swe poszukiwania poza obręb klasztoru i wyruszyłem w stronę kościółka św. Barbary. Tu zwrócił moją uwagę sędziwy kapłan[1]), idący na Jasną Górę; szedł wolno, z widocznym wysiłkiem, od czasu do czasu przystawał dla wytchnienia, a wtedy usta jego szeptały: „Jezu" lub „Maryo". Postanowiłem go śledzić. Gdyśmy się minęli, pozwoliłem mu ujść kilka kroków, poczem zawróciłem i zacząłem iść za nim. Wszedł do wielkiego kościoła, ukląkł i długą chwilę się modlił. Udał się do zakrystji; tu znowu byłem świadkiem żarliwej jego modlitwy, poczem wstał, ubrał się do Mszy świętej, i prowadzony przez kościelnego, wyszedł przed ołtarz do wielkiego kościoła. Po Mszy św. powrócił do zakrystji, gdzie znowu zatopił się w gorącej modlitwie. Z zakrystji udał się na chór, gdzie przechodząc naprzeciw Przenajświętszego Sakramentu, przyklęknął, by oddać hołd Bogu. Gdy chciał się podnieść, siły mu odmówiły posłuszeństwa... upadł na kolana — i dopiero po parokrotnych usiłowaniach powstać zdołał. Gwałtowne łkanie wstrząsnęło mą piersią; wybuchnąłem głośnym płaczem... Siedzący opodal w konfesjonale Paulin wychylił się, powstał i zaczął mię głośno wzywać: „Proszę... proszę pana!"... Zrobiłem ruch, że nie przy-

---

[1]) Ksiądz Teofil Stecki.

szedłem do spowiedzi; zakonnik jednak nalegał — i po chwili, sam nie wiem w jaki sposób, znalazłem się przy kratce. Na pełne współczucia pytanie zakonnika odpowiedziałem, że w tej chwili w duszy mojej nastąpił dziwny przewrót: odzyskałem wiarę... Widząc, że jestem teraz zbyt wzruszony, bym mógł się spowiadać, zakonnik wziął mię ze sobą do celi i tam opowiedziałem mu dzieje mego życia. — W młodości wierzący, potem utraciłem zupełnie wiarę, i pełen nienawiści do wszystkiego, co ongiś było mi święte, chciałem zedrzeć nadziemską aureolę z naszej świątnicy narodowej. Widok modlącego się kapłana, jego gorąca głęboka wiara były dla mnie chwilą przełomową. „On wie, w co wierzy i dlaczego wierzy", pomyślałem — i w duszy mojej stał się cud, zapewne jeden z wielu u stóp Jasnogórskiej Pani. Odbyłem spowiedź św. i wyjechałem szczęśliwy. Odtąd jestem katolikiem wierzącym i praktykującym".

*

Podobnych nawróceń zanotowano bardzo wiele.

Rozdział XI.

MARYA LECZY CIĘŻKIE NIEMOCE.

1. Święcenia kapłańskie! Ks. Biskup wyświęca w Gnieźnie młodego djakona Mikołaja Sochaczewskiego. Serce lewity przepełnione zapałem rwie się do pracy w winnicy Pańskiej.

Krótki czas minął, a oto młody ten kapłan zarażony zostaje strasznym trądem. Twarz jego i ręce, to jedna okropna, wstrętna i cuchnąca rana. Lecz boleśniej zraniony duch nieszczęśliwego; oto praca przerwana; oto odwracają się od niego z obrzydzeniem oczy ludzkie; oto słyszy mówiących: „To Bóg widocznie go tak karze za ciężkie grzechy jego". Smutnem stało się życie biedaka. Udaje się do Poznania do lekarzy, nie robią mu żadnej nadziei wyzdrowienia. Obchodzi więc miejsca cudowne w Poznaniu, polecając się Bożej Opatrzności. Pewnego dnia wszedł do kościoła OO. Karmelitów, gdzie w Hostji św. ukazywał się Pan Jezus. Modlił się ksiądz Mikołaj gorąco, lecz po niejakim czasie ze zmęczenia usnął i w tym śnie otrzymał radę, by się udał do Częstochowy, gdzie zostanie z trądu oczyszczony. Budzi się, a uważając ten sen za głos Boga, wyrusza natychmiast w drogę.

Słońce sypało żarem na rozpaloną ziemię. Piasek parzył bose stopy wędrowca, pot strumieniami zlewał jego osłabione ciało. Zbliżało się południe, spojrzał pielgrzym na niebo, lecz w tejże chwili spuścił twarz ku ziemi, oczy jego w krwawych obolałych powiekach nie mogły znieść blasku gorejącego słońca. Usiadł na przydrożnym kamieniu, był głodny, spragniony i śmiertelnie zmęczony. Do najbliższej wioski trzeba było iść jeszcze spory szmat drogi. Odpoczął chwilę i powlókł się dalej, szepcąc spieczonemi usty modlitwy. Po jakimś czasie doszedł do wioski. Z kościółka dobiegł idącego głos dzwonu na „Anioł Pański". Padł na kolana i, wzniósłszy w górę ręce, począł po łacinie odmawiać Pozdrowienie Anielskie. Skończył i poszedł dalej. We wsi skrzętne gosposie przygotowywały południowy posiłek. Przy przydróżnym krzyżu gromadka dzieci zawieszała wianki. Ujrzawszy zbliżającą się okrytą zapylonemi łachmanami postać, podbiegły ciekawie, lecz zaraz z okropnym krzykiem nieludzkiej trwogi poczęły uciekać. Wybiegły na progi chat wystraszone matki, chcąc zobaczyć, jaki jest powód przerażenia dzieci, i ujrzały człowieka odzianego w strzępy szat, z twarzą wyglądającą jak jedna rana, pokrytą cuchnącą ropą, a ręce jego, zżarte przez trąd, przedstawiały okropny widok. Grozą zdjęte, niewiasty cofnęły się przed tem widmem, a wędrowiec, szepcąc modlitwy, wyciągnął okrwawione dłonie, prosząc o jałmużnę. Litością zdjęte, wyniosły mu posiłek i napój. Na

ich zapytanie, kim jest, odpowiedział, że nazywa się Mikołaj Sochaczewski, jest kapłanem, a doświadczony przez Boga tą ciężką chorobą, odbywa pieszo o żebranym chlebie pielgrzymkę na Jasną Górę, by tam od Maryi otrzymać łaskę uzdrowienia. Posiliwszy się, pozdrowił słowem Bożem miłosierne niewiasty i, wspierając się na kiju, poszedł dalej.

Tak pielgrzymował dziewięć długich dni trędowaty kapłan. Deszcz siekł, słońce piekło, ostre kamienie raniły obolałe, pokrwawione stopy, rany niemiłosiernie bolały, a on szedł, prosząc o jałmużnę, szedł do Maryi, do „Uzdrowienia chorych".

Dziesiątego dnia ujrzał w oddali szczyt wieży; na ten widok, wzruszeniem zdjęty, padł na kolana i z wielką wiarą począł błagać Matkę Najświętszą o oczyszczenie, by mógł z twarzą zdrową wejść w święte progi, by ręce jego uleczone mogły przed ołtarzem dotykać w czasie Mszy św. Jej Boskiego Syna, ukrytego pod postaciami chleba. Gdy tak gorąco się modlił, uczuł nagle, że się w nim coś dziwnego dzieje. Powstał. Poczuł się dziwnie lekki, zmęczenie zniknęło, spojrzał na ręce — niema ran; nie wierzy oczom swoim — gdzież się podziała wstrętna zgnilizna? dotyka twarzy — nie boli, skóra jej dziwnie miękka i gładka jak atłas; nie pojmuje, co się z nim stało; usta w ekstazie szepcą: „cud, cud". Swobodnie, jak dziecię, podbiega do źródełka, przegląda się w spokojnej toni

i okrzyk podziwu wyrywa się z jego ust: czyż to jego twarz wychyla się ku niemu? czyż to jego oblicze tak świeże i młodzieńcze? Przejęty wdzięcznością, pada na twarz i sławi Imię Maryi.

Gdy dnia 8 września stanął nareszcie na Jasnej Górze i przed Cudownym Obrazem odprawiał Niekrwawą Ofiarę, twarz jego, cudownie oczyszczona, promieniała niebiańską radością. Serce jego, wezbrane wdzięcznością, we łzach obficie wylewanych wyrażało dziękczynienie.

I znów, jak przedtem, ks. Mikołaj Sochaczewski przez długie lata, aż do śmierci, pracował nad zbawieniem dusz — zaszczepianiem w nich nabożeństwa do Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Cud ten stał się w roku 1402.

*

2. Sercem Imć Pani wojewodziny miotał niepokój, ilekroć spojrzała na wątłą twarzyczkę swego nowonarodzonego dziecięcia. Jedyny on, synaczek najmilszy, krom niego niema innych dzieci. We wspaniałym dworze Imć Pana Szczawińskiego, Wojewody Brzeskiego i pobożnej małżonki jego, Zofji z Sokołowskich, nie słychać było kwilenia dzieciny i oto narodził się syn, spadkobierca świetnego imienia. Lecz czy się wychowa, będąc tak mizernym, czy ominie go los tamtych dzieci? Troje ich już było, Franciszek, Barbara i Władysław, wszystkie one jedno po drugiem, prze-

żywszy po parę miesięcy, dostawały apopleksji i w męczarniach schodziły ze świata, pokrywając kirem żałoby rodziców i dom cały. Teraz to, czwarte z kolei dziecię, czy podzieli los tamtych? — nie daj to Boże, szepczą strwożeni. Na chrzcie św. dali dziecięciu imię Kazimierz, chcąc mu zapewnić opiekę tak wielkiego świętego. I codzień w modłach błagali Boga i tego świętego patrona o zdrowie dla dzieciny. Mijają w niepokoju i udręczeniu serca dni i tygodnie. Po upływie zaledwie paru miesięcy dziecię, mimo opieki lekarskiej i wszelkich zabiegów, zapada na zdrowiu i ku przerażeniu rodziców dostaje ataku apopleksji. Trwogą zdjęci nie tracą przytomności, nie rozpaczają, lecz oboje padają na kolana i gorąco z wielką ufnością ofiarowują dziecię Matce Najświętszej Częstochowskiej, ślubując pielgrzymkę i prosząc z silną wiarą o uzdrowienie synka, o cud. I wysłuchała Najświętsza Panna ich prośby, atak mija, dziecię otwiera oczki, przyjmuje pokarm i wygląda jak najzdrowiej. Upływają miesiące — synek nie choruje, nabiera sił i coraz lepszego wyglądu. Wdzięczni rodzice dopełnili ślubu i Maryę Jasnogórską w Jej stolicy nawiedzili.

Minęło wiele lat, chłopiec pod opieką Najświętszej Panny rozwijał się doskonale, nie chorując nigdy, i wyrósł na zacnego człowieka ku pociesze rodziców. A stał się ten cud w roku 1626.

*

3. Zuzanna Olejska z Wilna otrzymała po rodzicach nieszczęsną spuściznę — epilepsję, inaczej zwaną chorobą św. Walentego. — Cierpiała w czasie ataków tak strasznie, że już śmierci pragnęła, bo ludzie jej pomocy żadnej dać nie mogli. Pewnego dnia, a było to w roku 1635, dostała Zuzanna gwałtownego napadu tej choroby. Upadła na ziemię, wijąc się w strasznych kurczach, uderzyła głową o ziemię, na usta wystąpiła piana, przycięty język krwawił obficie. Podbiegli domownicy, by ją podtrzymać, lecz pomóc jej nie umieli. W tym czasie wszedł do mieszkania żebrak, a widząc wszystkich bardzo zasmuconych, pytał, coby się stało. Usłyszawszy o cierpieniu pani domu, poradził by ją ofiarowano Matce Najświętszej Częstochowskiej i ślubowano pielgrzymkę, a Marya chorą uleczy. Posłuchano natychmiast. Wszyscy, modląc się gorąco, błagali Matkę Boską o cud. Następnie żebrak, podszedłszy do chorej, poprosił, aby podano mu kubek mleka. Gdy go otrzymał, wsypał doń szczyptę jakiegoś proszku białego i tak przyrządzony napój kazał wlać do ust Zuzanny, co gdy uczyniono, chora natychmiast, przytomna i spokojna, powstała o własnej mocy. Uszczęśliwieni pytali nieznanego dobroczyńcę, coby to było za lekarstwo tak cudowne, i wyjaśnił im żebrak, że wraca z Jasnej Góry, gdzie sobie uzbierał pyłu z posadzki w kaplicy Matki Boskiej i to było właśnie to lekarstwo, które podał chorej. Zdumieli się wszyscy, słysząc tę odpowiedź, a chora, wdzięczna

za łaskę otrzymaną, pielgrzymkę na Jasną Górę odbyła i nigdy już odtąd na tę chorobę nie cierpiała.

*

4. W zamku królewskim zamieszanie; stroskane oblicza panów i dworzan domyślać się każą czegoś niezwykłego, a bardzo smutnego. Przesuwają się w zamyśleniu, z brwią ściągniętą, zakłopotani lekarze. Umilkł gwar zawsze tak wesoły. Najjaśniejszy Monarcha polski, Władysław IV, leży chory na kamienie żółciowe. Nadworni i z zagranicy sprowadzeni lekarze próżno się wysilają — żadnej ulgi przynieść choremu nie mogą. I oto już śmierć swe czarne skrzydła roztoczyła nad zamkiem warszawskim. Lecz król się nie lęka i, mając wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej, postanawia Ją prosić o uzdrowienie. Zaledwie tylko rozpoczęto w świątyniach modlitwy, powstał król zdrowy z łoża boleści. Wdzięczny za doznaną łaskę, złożył na Jasnej Górze tabliczkę złotą z napisem: „Wielkiej Bogarodzicy Maryi zawsze Dziewicy, Uzdrowicielce chorych, jako hołd wdzięczności za ocalenie od okropnych cierpień, spowodowanych kamieniami żółciowemi, ofiarowuje sługa Władysław".

Minęło lat dziesięć od tego czasu i król cieszył się najlepszem zdrowiem, gdy naraz w roku 1635 wraca ta sama choroba. I znów, jak przed laty, po komnatach królewskich snują się zafrasowani dworzanie; lekarze łamią sobie głowy, lecz nic po-

radzić nie mogą. Stosują przeróżne środki, nic królowi ulgi nie przynosi. Dołącza się druga dolegliwość, krwawa biegunka; godziny króla już są policzone. Trwoga padła na rodzinę królewską, na zamek, miasto i kraj cały. Pobożny monarcha chory nieuleczalnie. Cicho na palcach stąpają dworzanie; oblicza panów powlókł smutek; z sypialni króla wyszli medycy bezradni wobec okropnych cierpień monarchy. Leży Władysław IV na łożu i myśli niewesołe snują mu się po głowie. Oto mądrość ludzka ulżyć mu nie może. Lecz czego oni nie potrafią, to Matka Najświętsza Częstochowska uczynić raczy. Nadzieja rozpromieniła mu twarz. Król wzywa dworzan i kopię Cudownego Obrazu przynieść sobie każe. Przynieśli. Król z pomocą sług klęknąwszy, tak ze łzami się modli: „Ponieważ ci ludzie — lekarze nie mogą mi w niczem ulżyć, do Ciebie, moja najdroższa Patronko, od której już tyle otrzymałem łask, wzrok swój zwracam i błagam, byś raczyła na mnie grzesznego spojrzeć i życie moje osłabione i sterane odnowić". Niedługo czekał pobożny król na skutek. Trzeciego dnia gorących modłów powstał zupełnie uzdrowiony i już odtąd do końca życia na tę chorobę nie cierpiał.

*

5. Działo się to w roku 1655. Imć Pan Baltazar Zdrowski zachorował. Wytworzył mu się ogromny wrzód w gardle, który tak się rozszerzył, że chory ani jeść, ani mówić, a w końcu nawet od-

dychać nie mógł. Przytem materja z wrzodu rozeszła się po całem ciele, zakażając organizm. Lekarze byli bezradni i stan jego uznali za beznadziejny, przewidując rychły koniec żywota.

Kapłan opatrzył chorego Wiatykiem. Przy łożu konającego zgromadziła się rodzina; żona, płacząc rzewnie, w kostniejącą jego dłoń włożyła zapaloną gromnicę.

Ostatnie blaski zachodzącego słońca oblewały pokój. Chory błędny, gasnący wzrok utkwił w wiszący obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Ciało jego przechodziły śmiertelne drgawki. Żyły na skroniach pęczniały, twarz nabierała śmiertelnej barwy, siniejąc coraz więcej. Chory się dusił. Próżno otwierał usta, powietrze przez zapuchnięte gardło nie dochodziło do płuc. Śmiertelny pot oblewał całe ciało. Oblicze jego osnuwały cienie śmierci. Chciał coś powiedzieć dzieciom, które, wołając „Ojcze! nie umieraj, nie opuszczaj nas, zostań z nami", cisnęły się do niego, chciał pocieszyć żonę, omdlewającą z żalu — nie mógł. Śmierć lodowatą dłonią mocniej i mocniej ściskała jego gardło, a serce, bólem niezmiernym przepełnione, ociekało wprost krwią. Strasznie ciężko mu było. Pojednał się z Bogiem, sumienie oczyścił, ale jakże boleśnie dziatki ukochane zostawić bez opieki, małżonkę zacną bez podpory! I to dlań było gorsze, niż te bóle okropne, które całem jego ciałem szarpały. Odmawiano modlitwy za konających. Słowa modlitw, żałosne jęki żony i krzyk dzieci zlały się w jeden smutny dźwięk. Chory już się nie poru-

szał. Serce jego, tak rozpaczliwie tłukące się dotychczas w piersi, zamierało. Ktoś z domowników szepnął: „Skończył". „Skończył? to niepodobna! — ocknęła się z żalu żona. — Nie, on jeszcze żyć musi!" Wstąpiła w nią nadzieja, otrząsnęła się z niemocy. „Dzieci, błagajmy Matkę Najświętszą Częstochowską o cud, Ona miłosierna i litościwa, wam ojca, a mnie małżonka od wrót śmierci wróci!" — krzyczy donośnie. I padają wszyscy na kolana i wołają do Maryi i błagają o cud, bo tylko cud tu coś poradzić może. „Matko Boska Częstochowska, zostaw nam ojca! zostaw mi męża!" — proszą. — „Uzdrowienie chorych, ulituj się nad nami! Ach wspomóż nas, Panienko Jasnogórska!" I wyciągnęło troje małych dziatek drobne rączki do obrazu Matki Najświętszej i wzniosło zalane łzami oczęta ku Jej obliczu z taką wiarą i ufnością, iż wzruszyło się serce Matuchny Najświętszej — konający nagle drgnął silnie i krzyknął boleśnie, a z ust jego strumieniem popłynęła materja, to wrzód pękł sam. Widząc tak cudowny skutek modlitwy, ożywionej głęboką wiarą, wszyscy w gorących słowach dziękowali Maryi za łaskę. Wkrótce chory, którego ciało oczyszczone z trujących materyj, nabrało szybko zdrowia, z żoną i dziatkami odbył dziękczynną pielgrzymkę na Jasną Górę.

*

6. Ks. Jerzy Pakowski, Archidjakon Zakonu św. Bazylego i przełożony tegoż w Wilnie, przez pięć lat cierpiał na podagrę i przy chodzeniu, czy

poruszaniu się odczuwał niezmierne bóle. Leczył się u wielu lekarzy i najrozmaitsze środki stosował, a wszystko bez najmniejszego polepszenia. Udręczony tą chorobą, w roku 1727 udał się do Matki Boskiej Częstochowskiej, do której czuł wielkie nabożeństwo. Wszyscy krewni, znajomi i cały konwent nieustannie modły do Matki Najświętszej zanosili. I chory, któremu najznakomitsi lekarze nic pomóc nie zdołali, wkrótce uczuł się zupełnie uzdrowionym. Chcąc okazać swą wdzięczność za cud, wybrał się natychmiast do Częstochowy, gdzie Maryi na podziękowanie złożył dwie olbrzymie świece i srebrną tablicę z wyobrażeniem rąk i nóg wykrzywionych chorobą, tudzież trzy Msze św. dziękczynne przed Cudownym Obrazem odprawił.

*

7. Maryanna Michalska z Żytomierza, pewnego dnia w roku 1743, wracała do domu, nie zdążyła jednak przestąpić progu swej sieni, gdy nadbiegł rozwścieczony buhaj i, rzuciwszy się na nią, począł ją kłuć rogami. Nim nadbieżono z pomocą, okropny zwierz, zadawszy nieszczęśliwej czterdzieści ran w brzuch, rzucił ją z wielką siłą o ziemię, gdzie ją zastano pławiacą się we własnej krwi. Zawezwany chirurg nie mógł zatamować krwotoku. Nieprzytomną matkę obstąpiło, zawodząc i krzycząc rozpaczliwie, pięcioro dzieci, a krew płynęła i płynęła strumieniami z otwartych ran tak, że niewiele jej już zostało w podziurawionem ciele. Nie-

szczęśliwej zagrażała pewna śmierć, a lekarze byli bezradni. Lecz chora przytomnieje i, dowiedziawszy się, że jej życie uchodzi razem z krwią, prosi, aby jej podano obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, poświęcony na Jasnej Górze. Z nadzwyczajną wiarą i gorącością ducha, bierze przyniesiony obraz i, modląc się z ufnością, przykłada do buchających krwią ran i oto pod dotknięciem świętego wizerunku zasklepiają się rany i goją natychmiast, a patrzący na ten cud lekarz i tłum ludzi zdumiewają się niezmiernie. Po dotknięciu obrazem ostatniej rany, niewiasta wstaje zdrowa i pełna sił. Takto wielka wiara pobożnej Maryanny uratowała ją od niechybnej śmierci.

*

8. JWPani Anna Moszalska, małżonka JWPana Aleksandra Moszalskiego, pani wielce zacna i niezmiernie pobożna, zachorowała na suchoty i, mimo leczenia, żadnego polepszenia na zdrowiu nie czuła. Owszem po dwóch latach choroba tak się wzmogła, że żadnej nadziei wyzdrowienia nie było. Silna gorączka tak ją trawiła, że jeno szkielet się z niej został. Z wielkim bólem serca na bladą i do trupa już podobną patrzył mąż i dzieci, bezradni wobec nadchodzącej śmierci.

Straszne dogorywanie chorej uprzyjemniano opowiadaniem o cudach, zdziałanych na Jasnej Górze przez Maryę. Te opowiadania ożywiły wiarę chorej, postanawia i ona udać się po pomoc do

Matki Najświętszej. Czyni więc ślub, że jeżeli ją Matka Najświętsza uzdrowić raczy, ona pielgrzymkę do Częstochowy odprawi i na ozdobę Jej świetnej szaty kosztowny brylant złoży. I poczęła się zacna pani modlić gorąco i ufnie i oto nie mija tydzień, a ona, tak bezwzględnie na śmierć skazana, wstaje z łoża jak najzdrowsza i uczyniony ślub natychmiast dopełnia. Działo się to w roku 1751.

Niewiele czasu upłynęło od tego cudownego zdarzenia, gdy nagle zachorowała córka JWPaństwa Moszalskich, ośmnastoletnia Zofja, po matce skłonność do suchot odziedziczywszy. Zawezwano znakomitych lekarzy, lecz ci, chorą dzieweczkę za nieuleczalną uznawszy, żadnego jej ratunku dać nie byli w stanie.

Jak kwiat zwarzony mrozem, więdło młodziutkie życie Zosieńki. Zbladła twarzyczka, tak dotąd rumiana i okrągła jak jabłuszko, płonęło w niej tylko gorączkowym blaskiem dwoje oczu smutnych bezgranicznie. Ciężko było dzieweczce opuszczać życie, które dopiero co rozpoczęła, lecz śmierć cichym krokiem poczęła się już skradać, lodowaty jej oddech czuć było bardzo blisko, tuż, tuż u łoża chorej.

Nie widząc ratunku w ludziach, wspomniała biedna matka na Cudowną Uzdrowicielkę w Obrazie Częstochowskim, która ją, już na progu wieczności stojącą, do życia cudem wróciła. Zwraca się więc całą siłą zbolałego macierzyńskiego serca do Matki Boskiej i, wiarą głęboką i niezmiernie żywą

przejęta, gorącemi modlitwami szturmuje do Matki Najświętszej, błagając o cud dla swej gasnącej córki. I nie odrzuciła Marya tej ufnej prośby, przybyła na pomoc i oto panienka powstaje nagle z łoża śmierci jak najzdrowsza. Rumieńce wróciły, postać, do złamanej lilji podobna, wyprostowała się i sił nabrała, po strasznej chorobie nie zostało śladu.

Matka i córka, przepełnione wdzięcznością, dwie tablice srebrne Matce Najświętszej na Jasnej Górze złożyły.

*

9. Maleńka Zosia, 4 lata licząca, córka obywatela gdańskiego Stanisława Skibińskiego, dostała nagle epilepsji. Ciężka ta choroba tak się w dziewczynce rozwinęła, że po kilka razy dziennie na ziemię ją rzucała. Wzywano lekarzy, lecz środki przez nich przepisywane nie sprawiały dziecku ulgi.

Pewnego dnia 1755 roku Zosia dostała tak silnego ataku, że rodzice i domownicy myśleli, iż śmierć się już zbliża. W pewnym momencie drobne ciałko zsiniało i oddech zamarł zupełnie. Wszyscy obecni, jedną myślą wiedzeni, padli na kolana i, ofiarując dziewczynkę Matce Najświętszej Częstochowskiej, której obraz znajdował się na ścianie pokoju, gorąco poczęli wzywać Pannę Najświętszą na ratunek. Nie ustając w modlitwie, prosili z wielką wiarą o cud. A śmierć się czaiła,

chcąc skosić ten wiosenny kwiatek. Po kwadransie odrętwienia dziecięcia i pełnej ufności modlitwy zebranych, dziewczynka znów poczęła się okropnie rzucać i naraz z piersi jej wydarł się tak straszny jęk, że słuchającym krew w żyłach zlodowaciała. Rodzice sądzili, że to ostatnie tchnienie ich ukochanej córeczki, lecz nie, w tym momencie, jako odpowiedź Niepokalanej Dziewicy Jasnogórskiej na ufność błagających Ją, stał się cud: Zosiunia otwiera oczki i jak najzdrowsza wstaje i odtąd już nigdy nie zapada na zdrowiu.

Zeznanie o tym cudzie, potwierdzone przez wiarogodnych świadków, złożył na Jasnej Górze ojciec dziewczynki.

*

10. W roku 1787 dnia 26 września jeden kapłan złożył następujące oświadczenie:

„Przytomny na tem miejscu ręką własną zapisuję, a prawem sumieniem kapłańskiem stwierdzam, że stojąc myślą obecny przed Bogiem, Sędzią Najwyższym, i z Pawłem św. mówiąc: iż nie kłamam, oznajmuję, że w roku 1785 w ostatnich dniach października, na tydzień przed świętem Wszystkich Świętych, z przyczyn różnych przypadków i stąd pochodzących zgryzot i utrapienia, wpadłem w melancholję. Jak mogłem z początku czyniłem starania przekonać się męstwem i rozumem; do tego pomogli mi przyjaciele, ale żadna usilność, tak własna jak przyjaciół i lekarzy, nie była szczęśliwa i skuteczna, albowiem codziennie

powiększała się melancholja, smutek, bojaźń i bezsenność, ustawiczna obstrukcja, gniew i rozpacz zagnieździły się w całej machinie duszy i ciała. Wszystkie świętości stały się obrzydzeniem. Czas mówienia pacierzy kapłańskich, odprawiania Mszy św., słuchania Spowiedzi św., był czasem największych dolegliwości i wstrętu. Kościół zdawał się być jaskinią zaraźliwych smoków, obrazy świętych — nieprzyjaciół zgrają; własny dom — grobem, a cudzy teatrem wyszydzenia; obcowanie z przyjaciółmi — najnudniejszą było rzeczą; żadna zgoła zabawa, chociaż przy zdrowiu najmilsza, nie była rozrywką. Samo wstawanie, ubieranie się i najistotniejszych potrzeb odprawa zadawały szczególne ciosy zgruchotanemu od melancholji umysłowi. Gdy przyszło list odebrać, czytać i nań odpisać, powstawały srogie udręczenia.

Jednem słowem, całe życie przez 22 miesiące stało się zbiorem męczarni i boleści: to zamknięcie żołądka, to utrata smaku, to parcie, to czkawki, to wrzody w gardle, to na ostatek żółtaczka. Postać człowieka wprawdzie żyjącego, wysuszonego, zawsze smutnego, przedstawiała patrzącym obraz mało co różny, jeżeli nie przykrzejszy od trupa. Zaś za jednym prawie razem, gdym przybył na to święte miejsce, stała się odmiana. Przybyłem tu na to cudowne miejsce, od czterechset lat łaskami przedziwnej Bogarodzicy Maryi zawsze Panny słynące, w dniu 21 lipca roku jak wyżej, a przybywszy poleciłem się Najświętszej Maryi Pannie.

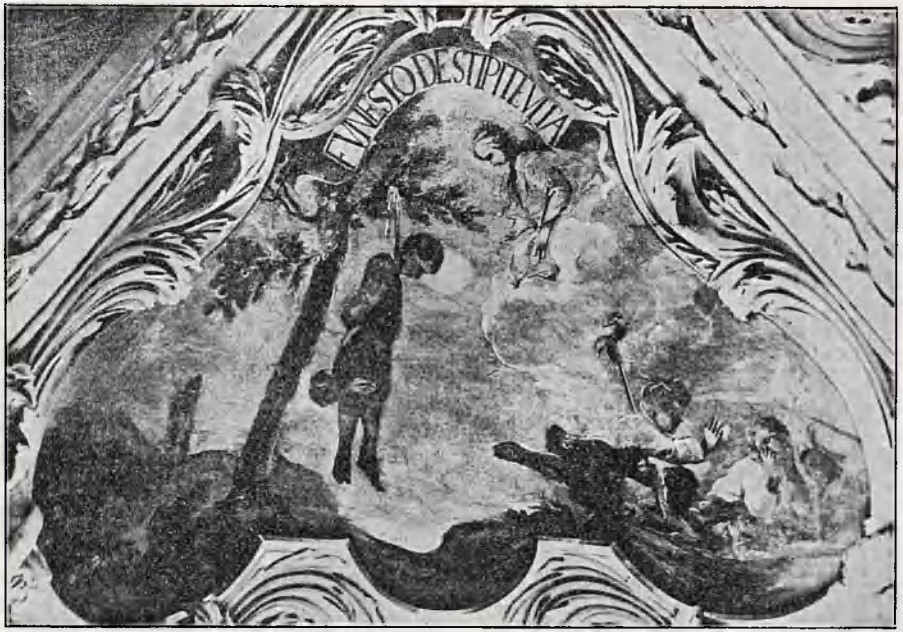

Matka Boska wraca życie powieszonemu w zabawie przez rówieśników chłopcu, Walusiowi Żeromskiemu.

Fresk na Wielkim Kościele.

Gdy to uczyniłem, uczułem natychmiast folgę, powoli nabywałem sił, aż wreszcie do pożądanego pierwszego przyszedłem zdrowia, przytomności, wesołości i zupełnego wewnętrznego uspokojenia. Miłem mi jest, co było w obrzydzeniu, lekkiem, co było nieznośnym ciężarem, świętem, co ducha zrażało. Niechaj mówią i sądzą biegli w teologji, czy dezolacja ducha, w najwyższym stopniu będąca, mogła być fizycznie uleczona, niechaj zeznają fizycy i lekarze, czy mają lekarstwa, dowcip, przepis i środki na tak okropną chorobę? Muszą wyznać jedni i drudzy, że na taki stan duszy i ciała tylko w niebie znajduje się apteka, doktór i lekarstwa. Tak jest, a nie inaczej. Tak wierzę, tak wyznaję i tak przysiąc mogę, żem cudownie został uleczony. Nie ten, co widział, słyszał lub czytał, ale ten, co cierpiał, czuł i długo doznawał, może o tej prawdzie rozumować i twierdzić.

Dzięki nieskończone niechaj będą Najwyższemu Bogu i Najświętszej Jego Matce Maryi Pannie w Jasnogórskim Obrazie! Należy mi tu przydać, jaki sen miałem w tej chorobie, bo ten sprawdził się w najważniejszej części zupełnie. Ze środy wstępnej Postu Wielkiego, czyli, jak nazywamy, ze środy popielcowej na czwartek śniło mi się, jakobym przybył na Jasną Górę do kaplicy cudownej Matki Boskiej, niosąc wielki krzyż drewniany na ramionach, wtem przyszedł od ołtarza teraźniejszy Ks. Przeor January Luboiński przeciw mnie, zdjął krzyż z ramion moich i odłożył na bok.

Powrócił zaś do ołtarza ubrany w kapę i, obrócony cum Sanctissimo, śpiewał „Salvum fac populum Tuum, Domine", potem dał mi kielich, krzyż, pacyfikał, kadzielnicę z łódką i przeżegnawszy odprawił mnie. Nazajutrz obudzony ze snu, odebrałem wiadomość (bo byłem w cudzym domu), iż kościół naszej kolegjaty kieleckiej okradziono. Dopełniła się więc wielkość krzyża, gdym w chorobie melancholicznej dowiedział się o świętokradzkiej kradzieży. Dopełnił się znak zdjęcia, gdym przez W. Przeora łaskawie przyjęty i więcej jak dwa miesiące w klasztorze Jasnogórskim przy wielkich wygodach był utrzymywany. Nadto za modlitwą zgromadzenia cudem do zupełnego zdrowia przyprowadzony zostałem. Gdyby jeszcze resztująca cząstka snu dopełniła się, możnaby zawołać: „Consumatum est". W całem życiu mojem opowiadać tego i głosić nie przestanę. Upewnić i poprzysiąc mogę, że nie wygaśnie w mem sercu wdzięczność, póki nie zgaśnie życie. Zaprzysiąc też mam powinność Najprzewielebniejszych miejsca tego Przełożonych, aby w zdarzających się przypadkach i potrzebach dawali mi znać, gdzie, kiedy i jak mam się im odsługiwać. Znajdą mnie zawsze gotowym, wiernym, ochotnym, przywiązanym ściśle. Działo się i pisało na Jasnej Górze roku i dnia, jak wyżej." Podpisy: Antoni Franciszek z Krynna, Dunin Kozicki, Szaniecki, Pilecki proboszcz i oficjał pleban Niegowski.

*

11. „W końcu sierpnia 1823 r., w czasie choroby mojej córki Jadwigi, jednej nocy z czwartku na piątek, zmartwiona i niespokojna nad wyraz, patrzałam na jej cierpienia i kaszel zatrważający, który od kilku miesięcy ją niszczył i co noc snu pozbawiał. W smutku moim uklęknąwszy, modliłam się za nią i postanowiłam odprawić nowennę do Najświętszej Panny Maryi Dobrej rady, a zacząć ją już nazajutrz, t. j. w piątek rano przy Mszy św., a zarazem posłać ofiarę do Częstochowy z prośbą, aby tam odprawione zostało nabożeństwo za córkę moją. Uskuteczniłam to z pobożnością i spokojniejszą się czułam przez dzień cały, ale jaka radość, zdziwienie i wdzięczność moja była, kiedy położywszy się tego wieczoru, pierwszy raz przespałam noc całą przy córce mojej, która kaszlem nie zbudzona, jak to zwykle bywało, najspokojniej spała. Od tego dnia codzień się kaszel zmniejszał i nareszcie ustał zupełnie.

Wtedy po raz drugi posłałam ofiarę do Częstochowy, prosząc, aby przez całą zimę aż do 1 maja 1824 roku co wtorek odprawiała się Msza św. z litanją do Najświętszej Panny na podziękowanie za tak wielkie nad nami miłosierdzie i na uproszenie nowych łask dla córki mojej. Powróciła ona do zupełnego zdrowia, a ja, uszczęśliwiona zachowaniem mi tego dziecięcia, o które się lękałam, umyśliłam złożyć pamiątkę wdzięczności mojej w Częstochowie za tyle łask, które Opatrzność zlewa na wszystkie dzieci moje.

Obdarzona siedmiu synami i trzema córkami, wychowawszy wszystkie dotąd szczęśliwie, ciesząc się ich zdrowiem, cnotami, ich do rodziców przywiązaniem, jako szczęśliwa i wdzięczna matka, z uniesieniem dziękuję Bogu i Maryi, w której ufność położyłam i której to drogie dziecię zawsze oddaję i polecam i składam na ołtarzu Jej ofiarę, prosząc, aby tam na wieczne czasy złożoną była, jako znak ufności i wiary, którą przejęta jestem. Są to lilje, otoczone gałązką laurową złotą szmalcowaną. Na trzech liljach wyryte są imiona moich córek: Celestyna, Jadwiga i Elżbieta, na siedmiu listkach laurowych — imiona siedmiu synów moich: Konstanty, Andrzej, Jan, Władysław, Zdzisław, August i Stanisław; na przepasce złotej wyryta jest prośba, którą każdego dnia powtarzam, unosząc duszę moją z wielką ufnością do Matki Zbawiciela mego, której dzieci moje oddaję, — prośba, aby je miała w opiece i pod obroną swoją i aby im wyjednała wiarę niewzruszoną i cnoty miłe Bogu, aby je prowadziła drogą zbawienia do życia wiecznego.

Winnam dołożyć, że przed dziesięciu laty doznałam także oczywistej pomocy, gdym się udała do Najświętszej Matki Boskiej. Widząc matkę moją gwałtownie cierpiącą na ból w nodze, który już jej nie pozwalał momentami o własnej sile chodzić, umyśliłam, siedząc przy niej, posłać ofiarę do Częstochowy na uproszenie wyzdrowienia jej, i w rzeczy samej w parę niedziel posłałam tam

nóżkę złotą na djamentowej obrączce zawieszoną, a cierpienia matki mojej wkrótce ustały, noga odzyskała siłę, od tego czasu nigdy się ten ból nie powraca i matka w roku 80-ym życia tak dobrze chodzi, jak w młodości, na co z uszczęśliwieniem patrzę i zawsze z wdzięcznością chwalę imię Maryi, w której jedyna ufność i nadzieja moja po Zbawicielu moim".

Dnia 15 października 1824 r.

Zofja z Czartoryskich Zamoyska.

*

12. „Ja, niżej podpisana Konstancja Gruszecka, akuszerka, w mieście Bogorji zamieszkała, czynię następne zeznanie doznanej na mej osobie łaski cudownej opieki Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej na Jasnej Górze cudami słynącej, w roku zeszłym 1854 w miesiącu marcu. Jeszcze w roku 1853, w miesiącu wrześniu zapadłam w ciężką chorobę, która, trwając bezustannie aż do miesiąca marca 1854 roku, uczyniła mnie bezwładną do wszelkich czynności i już zwątpiłam o mojem życiu, a opatrzona przez miejscowego księdza proboszcza Sakramentami świętemi na drogę wieczności i rozporządziwszy mojemi małemi ruchomościami, czekałam chwili, w której mnie Bóg powoła przed swój sąd. W tym czasie miałam z dobrej życzliwości ku pomocy mojej słabości, znaną mi pobożną osobę z mego sąsiedztwa, panią Gawrońską, także w Bogorji zamieszkałą, która

mnie przez cały czas mojej choroby nie odstępowała, i księdza proboszcza miejscowego, który z łaski swojej często mnie odwiedzał, przynosząc duszy mojej pociechę religijną. Otóż pewnego razu w miesiącu marcu roku zeszłego, kiedy ks. proboszcz czytał mi historję cudów zdziałanych przez przyczynę Najświętszej Maryi Panny słynącej cudami na Jasnej Górze, wtenczas pobudzona ufnością mocną w opiekę Maryi, pani Gawrońska, przy mnie będąca, ofiarowała mnie na Jasną Górę przed Cudowny Obraz Matki Boskiej i w tej chwili doznałam pomocy Maryi, gdyż nagle uczułam wzmocnienie, czułam, jakgdyby wiatr z całego ciała mego wychodził i odtąd coraz więcej przychodziłam do zdrowia, a kiedym już wyzdrowiała, dotrzymując przyrzeczenia, natychmiast uczyniłam podróż na Jasną Górę przed Cudowny Obraz w celu podziękowania Matce Boskiej za odebrane łaski, gdzie przybywszy i złożywszy mojej Uzdrowicielce Najśw. Maryi Pannie moje niegodne i najpokorniejsze dziękczynienie, złożyłam na piśmie niniejsze zeznanie, które własnoręcznie i sumiennie podpisuję."

W Bogorji dnia 6 czerwca 1855 r.

Konstancja Gruszecka.

Będąc naocznym świadkiem ciężkiej słabości p. Gruszeckiej, osoby znanej z prawdziwej pobożności i mocnej religji, i zarazem jej prędkiego wyzdrowienia w miesiącu marcu r. z., obecne zeznanie,

jako rzetelne i własnoręcznym podpisem stwierdzone, również własnoręcznym podpisem i pieczęcią kościoła Bogoryjskiego zaświadczam.

W Bogorji, dnia 7 czerwca 1855 r.

X. Piotr Przylibski, proboszcz parafji Bogorja.

*

13. Helena Ugniewska, córka Józefa, pisarza gminy Grzymkowice, i małżonki jego, Heleny z Zajączkowskich, dziewczynka licząca lat 12, od urodzenia niezmiernie wątła i zdrowia słabego, zachorowała ciężko i niebezpiecznie w r. 1883. Osiem miesięcy już trwały te cierpienia, a od czterech tygodni żołądek jej nie chciał przyjmować żadnego absolutnie posiłku, wszystko natychmiast po spożyciu wyrzucając; do tego dołączyły się jeszcze bolesne konwulsje, które ją zupełnie przytomności pozbawiły. W takim stanie przywiozła ją matka dnia 14 lipca 1884 r. na Jasną Górę. Wniesiono chorą do kaplicy i położono na ziemi. Dziewczynkę, bardziej do umarłej niż do żywej podobną, obstąpili ludzie, litując się nad cierpieniem i chorej córki i stroskanej matki. Klęcząc przy dziecku martwem prawie i sztywnem jak drewno, modliła się matka, gorącemi łzami twarz zalewając. Modliła się do Maryi, z wiarą żywą i ufnością bezgraniczną, o uzdrowienie córki. Przed Cudownym Obrazem odprawiała się Msza św. Nadeszła chwila Podniesienia. Biedna matka, nie odrywa-

jąc oczu od oblicza Panny Niepokalanej, coraz żarliwiej prosiła o łaskę i oto Helenka, dotąd nieprzytomna i wszelkich sił pozbawiona, podnosi się nagle, jakby nigdy nie chorowała, i mówi do matki: „Matko, ja już zdrowa, pójdźmy do spowiedzi". Ogromne wzruszenie ogarnęło zgromadzone w kaplicy rzesze, które były świadkiem tego cudu. Wszyscy płakali łzami radości i, wraz z matką dziewczynki, Matce Bożej dzięki składali. Zaraz też uzdrowiona obeszła na kolanach ołtarz Maryi, a następnie, jak najlepiej się czując, wyspowiadała się, Komunję św. przyjęła i do domu w dobrem zdrowiu, Matkę Najświętszą całem sercem wielbiąc, wróciła.

*

Takich cudów w kronikach Jasnej Góry zanotowano 315.

Rozdział XII.

MARYA DAJE POTOMSTWO NIEPŁODNYM I W BOLEŚCIACH PRZYCHODZI Z POMOCĄ.

1. Zofja Kurytkowa, podkomorzyna Przemyska, złożyła takie świadectwo w r. 1510:

„Miałam czworo dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, ale skoro tylko ujrzały światło dzienne, już nie rokowały długiego życia i, nie dochodząc roku, jak podcięte kwiateczki, kładły się do trumny. Nie było sposobu utrzymania ich przy życiu, mimo że robiło się wszystko, by je ratować. Ja z mężem byliśmy w ogromnem przygnębieniu, gdyż uważaliśmy sobie za wielkie nieszczęście zejść ze świata bez potomstwa. Przychodzi na świat piąte dziecko, chłopczyk — Paweł, a razem z radością wkrada się do serca okropny lęk o jego życie i zostawienie naszego ogniska bez dzieci. Robimy z mężem naradę — co robić, by to maleństwo od losu zmarłych dzieci zabezpieczyć — i oto przychodzi nam myśl ofiarować je Matce Bożej na Jasnej Górze. Spełniamy tę myśl i razem z mężem i małym Pawełkiem wybieramy się w drogę. Przybywszy szczęśliwie i synka całkowicie w opiekę Matki Bożej oddawszy, złożyliśmy różne dary

na pamiątkę i, przepędziwszy kilka dni na modlitwie, wróciliśmy do domu. Matka najlitościwsza, co sama zaznała bólu serca matczynego, zlitowała się nade mną, bo obdarzyła Pawełka silnem zdrowiem, ratując nasze nazwisko od zagłady, a mężowi dając dzielnego spadkobiercę i następcę w urzędzie. Całe też życie moje dziękuję Maryi za tę łaskę".

*

2. Małżonkowie Agnieszka i Andrzej Maszenowicze ze Lwowa przez lat 15 nie mieli dzieci, a choć uciekali się do różnych lekarzy i zabiegów chirurgicznych, niepłodność nie ustępowała. Żyli więc w przygnębieniu, a domu rodzinnego nie miał kto rozweselić i umilić. Zrezygnowali już z tej pociechy, ale na spowiedzi otrzymała niepłodna żona radę, by swe strapienie powierzyła Matce Boskiej Częstochowskiej. Odprawiają więc razem z mężem nowennę, a po jej ukończeniu ślubują, że jeżeli Matka Boska da im potomka, osobiście z dzieckiem przyjadą na Jasną Górę i ofiarują je na służbę Bogu. Wkrótce potem ich gorące pragnienia zostały wysłuchane i następnego roku, t. j. 1610, powiła Agnieszka syna, któremu dała imię Marjan, jako dar Matki Boskiej, i poświęcono go na Jasnej Górze Bogu. Gdy wyrósł, został kapłanem i wielkim czcicielem Matki Boskiej Częstochowskiej.

*

3. Maryanna Tęgoborska z Ciechanowa ziemi płockiej wobec zbliżających się narodzin dziecka dostała okropnych boleści. Całą noc bardzo się męcząc, wpadła w omdlenie i straciła zupełnie świadomość. Obecni osądzili, że kres matki jest bliski. Do konającej wezwano proboszcza z Wiatykiem. Gdy ją zastał nieprzytomną, okropnie bladą i zmienioną, zalecił wszystkim tam będącym gorącą modlitwę, a że tu chodziło o życie dwojga istot, zaraz sam padł na kolana, za nim wszyscy i w żarliwej modlitwie prosili Matkę Boską Częstochowską, której obraz chora miała nad łóżkiem, o ulgę w cierpieniu. Z podniesionemi rękami i łzami w oczach ofiarowali męczącą się rodzicielkę w opiekę Niebieskiej Matki. I oto skoro zmówili litanję do Matki Boskiej i „Pod Twoją obronę" oraz „Pomnij", chora doznała nagle ulgi i w kwadrans potem przyszedł na świat synek Aleksander, z którym matka na drugi rok, t. j. w roku 1627, na podziękowanie przybyła na Jasną Górę.

*

4. Mieszkanka Chęcin, Anna Pieczarka, żona Andrzeja, po urodzeniu w r. 1643 dziecka, wpadła w chorobę i cały czas Wielkiego Postu trawiła ją okropna gorączka tak, że o życiu jej wszyscy już zwątpili. Chodziło tu i o matkę i o dziecko, które również z matką dzieliło cierpienie i schło w oczach. Mąż, nie widząc innego środka, rzucił się w Wielką Sobotę przed Obrazem Matki Bo-

skiej Częstochowskiej na twarz i ze łzami prosił o pomoc dla żony i dziecka, obiecując nawiedzić Jasną Górę i ofiarować dwie świece wielkości wzrostu żony i córeczki. Wysłuchała Matka Najświętsza modłów pobożnego i pełnego wiary męża. Żona nagle straciła gorączkę i poczęła szybko wracać do sił. Dziecię odżyło, nabrało ciałka i zdrowego wyglądu, a wszystko to stało się tak prędko, że już w niedzielę przewodnią, t. j. ósmego dnia, wszyscy na Jasnej Górze dziękowali Niebieskiej Opiekunce za cudowne uzdrowienie.

*

5. Helena Celińska, żona Macieja, obywatelka z województwa podlaskiego, wydając w roku 1717 na świat synka, w okropnych boleściach sześć godzin przetrwała, ale więcej ją to bolało, że nowonarodzone dziecię nie dawało znaku życia, a było jedyne. Boleść obojga rodziców z tego powodu była wielka, ażeby zaś usunąć z oczu powód do ich łez — rodzina myślała już o pogrzebie noworodka i to naturalnie bez chrztu. Przybyła wtedy sąsiadka z pobliskiego majątku i, pocieszając rodziców, prosiła, by wolno jej było zebrać całą dworską służbę i z nią w intencji dziecka odmówić różaniec, bowiem wierzy, iż Matka Najświętsza, której wszystko jest posłuszne, może do życia martwe dziecko wzbudzić. Zdejmują więc ze ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zapalają światło, zwłoki dziecka kładą na dywanie przed

prowizorycznym ołtarzem i na klęczkach zaczynają modlitwy. I o dziwo, skoro jeden dziesiątek o Zmartwychwstaniu Pana Jezusa zmówili, dziecię otwiera usteczka i zaczyna oddychać. Radość z tego cudu była tak wielka, że zapomniano o dalszych modlitwach, i wszyscy udali się procesjonalnie do kościoła parafjalnego w Międzyrzeczu, gdzie ochrzczono dziecko imieniem Ignacy i różańca dokończono. W kilka tygodni potem rodzice z dzieckiem stawili się na Jasnej Górze i z wdzięczności srebrną blachę z wyrytym obrazem dziecka ofiarowali.

*

6. Dwadzieścia lat żył ze swą żoną Anielą Marcin Seferowicz w ziemi Halickiej, i nie miał dzieci. Ogromnie nad tem bolał, a widząc, jaki to smutek sprawia żonie, nigdy z nią o tem nie mówił. Lecz obojgu im serce się krwawiło, gdy widzieli inne małżeństwa, otoczone, jakby wieńcem kwiatów, dziatkami. Radził się biedny mąż różnych lekarzy, żona spełniała rozmaite polecenia swych sąsiadek — ale wszystko napróżno. Pozostała jeszcze nadzieja w Bogu i Jego Matce na Jasnej Górze; urządzają więc w r. 1748 pieszą pielgrzymkę do Częstochowy i tu swą troskę oddają w ręce Matki Boskiej. Po powrocie do domu niepłodna dotąd małżonka staje się jako bujna latorośl w rodzinie — powiła trzech synów i dwie córki, a wychowując je w pobożności, po każdem

dziecku słała ofiarę na Jasną Górę, jako odwdzięczenie się za błogosławieństwo z nieba.

Jeden z chłopców, imieniem Baltazar, w drugim roku życia dostał choroby św. Walentego, ale ofiarowany przez matkę na Jasną Górę, wyzdrowiał natychmiast i odtąd jak najlepiej się chował.

Nad domem małżonków Seferowiczów zajaśniało żywiej słonko, bo życie im umilał rój ciemnych i złotych główek, bo radosny szczebiot i śmiech dziatek dzwonił w ich domu jak piosnka skowronka, a wszystko to zawdzięczali Niepokalanej Panience Jasnogórskiej.

*

7. Zofja Komorska, żona Antoniego z Piotrkowa, nie mając dzieci przez lat trzynaście, była z tego powodu bardzo źle traktowaną przez męża, który już nawet chciał ją opuścić. Dowiedziawszy się o tem, nieszczęśliwa niewiasta udaje się do Częstochowy i tu na klęczkach prosi i błaga o pociechę. Wraca potem i zastaje męża zupełnie zmienionego: przyjmuje ją z wielką miłością i traktuje bardzo serdecznie. Zdziwiona taką odmianą, po raz drugi idzie na Jasną Górę, prosząc o potomstwo. Została wysłuchaną i na drugi rok, t. j. w r. 1790, powiła syna i dała mu imię Józef. Szczęście obojga było niezmierne. Dom cały w raj się zamienił. Ale jak wszystkich na świecie, tak i tu Pan Bóg tych małżonków doświadczył. W drugim roku życia Józieczek począł marnieć i gasnąć

w oczach. Stroskana matka zwraca się do Jasnogórskiej Panienki o ratunek. Błaga Ją, prosi i żebrze — i dziecię wkrótce zostaje zupełnie zdrowe. Wdzięczna za łaskę, idzie z mężem na Jasną Górę i daje na ofiarę srebrną tablicę z wyobrażeniem synka i rodziców, klęczących po bokach z podniesionemi rękami, a u góry Matka Boska w obłokach. Tablica ta znajduje się na ołtarzu.

*

8. Żona obywatela i kupca z Częstochowy, Leopolda Holtzingera, imieniem Zofja, będąc bliską połogu, w nocy przestraszyła się przeraźliwego gwizdu i krzyku z powodu wszczętego w sąsiedztwie pożaru. Dostała drżączki i przez trzy dni i noce w okropnych wiła się męczarniach, gdyż z powodu zmiany w położeniu płodu wskutek przestrachu dziecko nie mogło się narodzić. Śmierć krążyła nad matką i dzieckiem. Wezwano jednego z Ojców z Jasnej Góry, by dysponował chorą na śmierć. Ten, widząc położenie beznadziejne i pomoc lekarzy bezskuteczną, polecił całej rodzinie udać się na Jasną Górę i tam chorą Matce Najświętszej ofiarować; jednocześnie kazał przynieść kilka kropel wina, którym obmywa się Obraz Cudowny w Wielki Czwartek. I wiara ich nie została zawiedziona; po spożyciu tego wina chora poczuła wstrząs w sobie i dziecko zmieniło nieprawidłową pozycję; zaraz też urodziła zdrowego i tęgiego chłopaka, dając mu imię Jan, gdyż przy-

szedł na świat w dzień tego Świętego, t. j. 24 czerwca 1850 r.

Tak cudownie przez Matkę Najświętszą poratowana chora wkrótce do zdrowia wróciła i srebrną tablicę na znak wdzięczności w Cudownej Kaplicy zawiesiła.

*

Tego rodzaju cudów zanotowano w klasztornych kronikach 71.

Rozdział XIII.

MARYA CIĘŻKO ZRANIONYM SIŁY I ZDROWIE PRZYWRACA.

1. Adam Krycki, sekretarz króla Zygmunta III, w r. 1590 w potyczce z Tatarami otrzymał ranę postrzałową w głowę. Rana ta czas dłuższy nie chciała się zagoić, sprawiając mu ogromne cierpienia. Udawał się do wielu znakomitych chirurgów o pomoc, lecz ich troskliwe starania żadnej mu ulgi nie przyniosły, a nawet bóle jeszcze się wzmogły. Jeden z lekarzy podjął się bardzo dla chorego bolesnej, a według zapewnień chirurga skutecznej operacji zranionej głowy. Mimo cierpień, jakie mu ten zabieg sprawił, cieszył się Imć P. sekretarz, że się już jego męka nareszcie skończy. Po operacji i zażyciu nowych leków, chory nie czuł jednak żadnej ulgi, owszem, chcąc powiedzieć jakie zdanie, wydawał tylko z ust dziwny bełkot. Przerażona rodzina zawezwała medyków, którzy, zbadawszy usta chorego, stwierdzili, iż język jego wskutek niefortunnej operacji i leków został rażony paraliżem i Imć Pan sekretarz stracił mowę, na co oni jednak żadnego lekarstwa nie mają. W domu chorego zapanował smutek ciężki, graniczący z rozpaczą. Nietylko, że zraniona głowa nie

została uleczoną, ale nawet mowa odjęta! i to na zawsze! Nie mogli biedni patrzeć na męki chorego, który, cierpiąc niezmiernie, nie mógł słowami wyrazić swych potrzeb, bełkocząc tylko ciągle, czego oni nie rozumiejąc, gorzkiemi łzami odpowiadali. Przejęci tak ciężkiem zmartwieniem, rodzina i domownicy postanowili udać się na Jasną Górę do cudownej Matki Najświętszej o pomoc. Ofiarowują więc chorego Niebieskiej Lekarce i ślubują odbyć pielgrzymkę do Częstochowy w razie uzdrowienia. Rozpoczęli nowennę. Codziennie gromadzą się wszyscy na wspólne modlitwy u łoża chorego; codziennie z podniesionemi rękami błagają z głęboką wiarą Panienkę Najświętszą o uzdrowienie. Chory w tej nowennie uczestniczy tylko sercem. W siódmym dniu nowenny, a było to dnia 25 marca 1590 roku, święto Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, gdy się tak wszyscy modlili, Matka Najświętsza cudem nagrodziła ich żywą wiarę, rozwiązując niemy język sparaliżowanego. Oto chory naraz zawołał: „Matka Boska Częstochowska wróciła mi mowę!" Radość niezmierna ogarnęła wszystkich, lecz w modłach nie ustawali, prosząc serdecznie o uzdrowienie rany w głowie. Dziewiątego dnia nowenny rozgłośne „Te Deum" napełniło dom sekretarza. W dniu tym bowiem chory nagle poczuł tak wielką ulgę w bolącej dotąd głowie, jakgdyby mu ktoś zdjął z niej ciężar ogromny, a straszne cierpienie znikło momentalnie. Zdumiony, dotyka ręką okaleczonego miejsca — niemasz go — palce jego natrafiają,

zamiast na otwór krwawiący i ropiejący, na gładką skórę. Woła obecnych, by zobaczyli, co się z jego głową dzieje, i ci na własne oczy widzą, że tam, gdzie była okropna niezagojona rana, tylko blizna widnieje. Dziękczynieniom i radosnym okrzykom na cześć Maryi Jasnogórskiej nie było końca. Wszyscy po wielekroć razy oglądali cudownie uleczone miejsce, zdumiewając się i wielbiąc Matkę Najświętszą za cud. A na Wielkanoc Imć Pan sekretarz królewski u stóp Najświętszej Królowej w Częstochowie za cud tak wielki dziękował, łzami radości się zalewając.

*

2. Andrzej, służący IMPana Sebastjana Poniatowskiego, w r. 1595 został zaproszony do Łowicza na wesele swych krewnych. Tu, podochociwszy sobie trochę, w sprzeczce z jednym parobkiem uniesiony gniewem, uderzył go w twarz tak silnie, iż ten padł nieprzytomny na ziemię, a wojowniczy chłopak, nie troszcząc się o powalonego, począł ochoczo się bawić i tańczyć z nadobnemi łowiczankami. Nie długo czekał na skutek swej zapalczywości. Oto parobek, ocknąwszy się z omdlenia, zapałał ku swemu przeciwnikowi żądzą zemsty, pochwycił przeto nóż i ugodził nim niespodzianie Andrzeja w bok tak silnie, że mu wszystkie wnętrzności poprzebijał, a przez rany począł się nazewnątrz wraz z krwią wydobywać i pokarm niedawno spożyty. Jak stado spłoszonych kuropatw, rozpierzchły się z krzykiem przerażone druż-

ki. Powstało wielkie zamieszanie. Do rannego pławiącego się we własnej krwi podbiegli, trwogą zdjęci, stateczni gospodarze i parobcy, lecz, mimo szczerych chęci, żadnego ratunku dlań wymyślić nie mogli. Złożyli więc konającego chłopca na wóz, wysłany sianem, i ostrożnie do dworu pana jego zawieźli. A z krwią, z ran strumieniem płynącą, uchodziło życie rannego. Gdy go przywieziono do pana, ten myślał, że to już trup tylko. Bezradny, nie wiedząc co czynić, gdyż lekarza w pobliżu nie było, zawezwał małżonkę swą IMPanią Gertrudę, matronę wielce pobożną i miłosierną. Ta, powiadomiona o nieszczęściu, wzięła z sobą bandaże, chcąc chorego opatrzyć, lecz ujrzawszy ciężkość ran i osłabienie niezmierne z powodu uchodzącej ciągle krwi, zrozumiała, że pomoc ludzka nic tu już poradzić nie zdoła. Wzywa więc wszystkich domowników i służbę i, padając z nimi na kolana, zaofiarowuje umierającego Matce Boskiej Częstochowskiej, ślubując, że w razie wyzdrowienia sama z mężem i Andrzejem pojedzie do Częstochowy. Ledwo to zaofiarowanie uczyniła, ranny, dotąd bez zmysłów leżący, otwiera oczy, krew przestaje płynąć, rany cudownie się zrastają. Zdumiewają się obecni, nie wierząc oczom własnym, lecz świątobliwa pani ze łzami radości woła: „Uwielbiajmy Panienkę Jasnogórską, która nam wielki cud uczyniła!" i wszyscy razem z uzdrowionym, padając krzyżem, dzięki Najświętszej Maryi Pannie złożyli. A w tydzień potem Andrzej już się jął ciężkiej pracy, jakby ni-

gdy nie był chorował. Wkrótce pan, pani i sługa, ślub spełniając, na Jasną Górę przybyli, gdzie pan na podziękowanie Maryi za cud tablicę srebrną z wyobrażeniem człowieka poranionego złożył.

*

3. IMP. Marcin Lamowski, z ziemi przemyskiej, w roku 1623 posprzeczawszy się ze swym sąsiadem, otrzymał ciężką ranę w gardło i szyję. Padając jednak na ziemię, w obronie swojej wymierzył przeciwnikowi cios tak silny, iż go trupem na miejscu położył, poczem sam omdlał. Przewieziono go do domu. Tymczasem krewni zabitego postanowili zemścić się na zabójcy. Wnoszą więc skargę na niego do sądu i domagają się kary śmierci. Lecz obawiając się, by ciężko ranny i prawie dogorywający Lamowski nie zmarł przed wyrokiem, starają się przyśpieszyć dzień sądu. W tym celu poruszają wszelkie wpływy i udaje im się swego dopiąć. Nad zabójcą ma się odbyć sąd doraźny. Sędziowie, jak najgorzej uprzedzeni przeciw niemu, już się zebrali w sali sądowej. Groźne ich oblicza nie rokują żadnej nadziei dla nieszczęsnego, przeciwnie każą przypuszczać brak litości nad nim i wyrok bardzo surowy.

Oskarżyciele, zatwardziali w nienawiści, szczęśliwi, że już swą zemstę nasycą, radują się, oczekując skazania Lamowskiego na karę śmierci przez powieszenie, a biedny, śmiertelnie chory szlachcic, gdy mu doniesiono, co go czeka, że go choć umierającego z ran, powieszą, zbiera resztki gasnących sił,

korzy się przed Bogiem, za grzechy żałuje i, polecając się przemożnej opiece Maryi Częstochowskiej, błaga Ją, by go z tego śmiertelnego niebezpieczeństwa wybawiła, obiecując, że gdy go jeszcze zdrowiem obdarować raczy, to na Jej cześć pielgrzymkę na Jasną Górę pieszo odprawi.

Rozpoczął się sąd: jedna i druga strona ze drżeniem oczekuje wyroku i oto, wbrew mściwym nadziejom oskarżycieli, sędziowie, których serca Matka Najświętsza Jasnogórska cudownie zmieniła, wydali wyrok uniewinniający od wszelkiej winy i kary, wychodząc z założenia, że Lamowski, napadnięty przez przeciwnika, w obronie własnej go uśmiercił.

Uszczęśliwiony szlachcic, gdy mu też wkrótce Panna Najświętsza zdrowie wróciła, z ciężkich ran zleczywszy, — ślubowaną pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę odbył.

*

4. Synek Piotra Roździelskiego, kowala z miasteczka Warta pod Kaliszem, chłopię sześcioletnie imieniem Tomek, bawił się pewnego dnia 1668 roku ostrym kluczykiem, a wkładając go z figlów do buzi — połknął. W pierwszej chwili zmartwił się tylko utratą przemiłej zabawki, ale gdy poczuł wewnątrz ból, pobiegł z krzykiem i płaczem do matki: „Matuniu, mnie tam w brzuszku kluczyk boli!" Przeraziła się matka. „Jaki kluczyk Tomusiu, gdzie on jest?" pyta. — „Do buzi włożyłem

i niema już, boli, oj mamusiu, jak bardzo boli!" jęczał, wijąc się w strasznych boleściach. Zrozumiała biedna, co się stało, i drżąc z trwogi, pobiegła po sąsiadki, błagając o radę. Zbiegły się poczciwe niewiasty, każda z nich inny środek, inną radę dawała, lecz nic nie pomagało. Tomuś krzyczał z bólu coraz więcej. Sprowadzono lekarza. Ten po zastosowaniu wielu lekarstwy i po różnych próbach wydobycia połkniętego przedmiotu, oświadczył matce, że nic poradzić w tym wypadku nie może. Zbolała niewiasta zwraca się wtedy do Matki Najświętszej Częstochowskiej, bierze jęczącego chłopca na ręce, niesie przed obraz Najświętszej Panny Jasnogórskiej i błaga o ratunek, ślubując pielgrzymkę za uratowanie od śmierci dziecka. Gdy tak z wielką wiarą i ufnością się modliła, Tomuś uspokoił się nagle, ożywił i przestał płakać, na drugi dzień zaś kluczyk z łatwością bez bólu wyszedł z chłopca, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

Wkrótce potem matka z synkiem przybyła na Jasną Górę, gdzie, wdzięczna za cud, złożyła srebrne wotum.

*

5. Działo się to w roku 1748 w województwie pomorskiem, w dobrach Krzewiny. Administrator tych dóbr, Franciszek Białkowski, pewnego dnia kontrolując lasy, spostrzegł wieśniaka, kradnącego drzewo. Podszedłszy do złodzieja, chciał go

schwytać i oddać w ręce sprawiedliwości, lecz ten, widząc, że nie zdoła uciec, rzucił się na administratora, raniąc go siekierą w twarz. Napadnięty, chcąc ratować życie ucieczką, skoczył do drzewa, przy którem zostawił przywiązanego konia, nie zdążył jednak tego dokonać, gdyż wieśniak, wyprzedzając go, zręcznym ruchem chwycił konia za uzdę, nie dopuszczając doń rządcy. Nieszczęśliwy Białkowski, któremu krew z rany zalewała oczy, stanął oszołomiony, tracąc przytomność umysłu i nie wiedząc, co czynić. Skorzystał z tego napastnik i, rzucając się nań z siłą wielką, powalił go na ziemię. Ujrzawszy przed sobą niechybną śmierć, nieszczęsny zdążył tylko zawołać: „Matko Boska Częstochowska, ratuj mnie", a już rozwścieczony jak zwierz dziki wieśniak, chcąc go zabić, począł deptać nogami, kłuć drągiem, a wkońcu myśląc, że celu dopiął i zabił administratora, odszedł, zostawiając go na ziemi broczącego krwią.

Minęła długa chwila; wiatr szumiał w konarach drzew, ptaszęta leśne zanosiły się od śpiewu, z gąszcza wynurzały się raz poraz ciekawe sarenki, lecz ujrzawszy leżącego człowieka, cofały się płochliwie, koń wolno puszczony podszedł do pana, smutnie pochylił głowę nad nim i, rżąc żałośnie, wpatrywał się w jego twarz. Ranny obudził się z omdlenia, a przypomniawszy sobie wszystko, co go spotkało, zrozumiał, że tylko cudem uszedł śmierci i z ust jego wyrywa się pełen wdzięczności okrzyk: „O Matko Boża, dziękuję Ci za życie!" Powlókł się do domu, gdzie z ran i potłu-

czeń ciężkich wkrótce się wyleczywszy, na podziękowanie za życie i zdrowie pieszo na Jasną Górę poszedł i drogie wotum ofiarował.

*

6. Marjanna Staniszewska sierota, mając lat siedemnaście, pracowała już jako robotnica w fabryce płócien w Żyrardowie. Pewnego dnia, czesząc się, przez nieuwagę włożyła w usta szpilkę od włosów dużą, ostrą, ze szklanym łebkiem i, rozmawiając z towarzyszkami, szpilkę połknęła. Przerażona tym wypadkiem, natychmiast udała się do lekarza, lecz ten szpilki z niej usunąć nie zdołał. Przez pięć lat cierpiąc okropne bóle we wnętrznościach, udawała się do wielu doktorów, którzy robili jej nadzieję wyzdrowienia i tą nadzieją krzepiła się w swych mękach. W roku 1865 stan chorej dziewczyny, która obecnie już liczyła lat dwadzieścia dwa, pogorszył się znacznie, boleści w poszarpanych wnętrznościach zwiększyły się ogromnie. Poddawszy się skrupulatnym badaniom lekarskim, dowiedziała się ku swej rozpaczy, że jest nieuleczalnie chorą, że żadne zabiegi czy środki nic już jej pomóc nie zdołają i tylko śmierć, która się już do niej zbliża, uwolnić ją od cierpień może. Mając godziny życia policzone, pozostawiona bez ludzkiej pomocy, bo doktorzy już ją jako nieuleczalną opuścili, zamyśliła zakołatać do zawsze miłosiernego serca Najświętszej Maryi Panny i, całą swą ufność w Niem pokładając, udała się na Jasną Górę. Na miejsce święte przy-

była dnia 18 maja 1865 r. Wszedłszy do kaplicy, upadła na kolana i, zalewając się obfitemi łzami, prosiła Matkę Najświętszą o uzdrowienie, przedstawiała Jej miłosierdziu swój stan groźny, swoje życie sieroce, smutne i nieszczęśliwe, swoje cierpienia i błagała, by, jak matka, na ratunek jej przybyła. Ludzie, widząc dziewczynę wynędzniałą, bladą, do umarłej podobną, w tak gorącej modlitwie pogrążoną, współczuli jej bardzo. Naraz Marjanna, tak serdecznie się modląca, dostała bez żadnej przyczyny gwałtownego kaszlu, kaszląc tak i krztusząc się poczuła, jak coś jej do gardła, a następnie do ust podchodzi, kaszel się zwiększył i nagle z ust chorej z brzękiem na posadzkę kaplicy wypadła szpilka. Ta szpilka, która biedną dziewczynę pięć lat męczyła i omal o śmierć nie przyprawiła, szpilka, nad wydobyciem której głowiło się bezskutecznie tylu lekarzy, teraz na jedno skinienie Maryi, litującej się nad opuszczoną od ludzi sierotą, wyszła bez żadnej ludzkiej pomocy. Cud ten oglądało wiele osób, a podpisem w księgach klasztornych stwierdzili: ks. Barnaba Ptakowski, podzakrystjan Jan Oczko i Józef Grzybowski.

Bezgranicznie wdzięczna Matce Najświętszej Częstochowskiej Marjanna, krzyżem leżąc, za cud dziękowała i, na całe swe życie za Matkę swoją Ją obrawszy, do śmierci wierność swej Uzdrowicielce przyrzekła.

*

7. Pewnego dnia w roku 1867 panna Dorota Mystkowska z Kalisza, szyjąc, przez nieuwagę połknęła igłę, trzymaną w zębach. Przez trzy dni cierpiała niewymowne bóle we wnętrznościach. Chodziła do paru lekarzy, prosząc o pomoc, zażywała zapisane przez nich różnorodne lekarstwa, ale bóle, zamiast ustąpić, wzrosły jeszcze. Matka jej, bardzo pobożna niewiasta, ofiarowała ją Matce Boskiej Częstochowskiej, prosząc o ratunek i w tej intencji rozpoczęły nowennę w kościele św. Józefa.

Chora od paru dni nic nie jadła, a cierpiąc przytem wewnątrz straszne bóle od poranienia igłą, czuła się bardzo źle. Mimo to w modlitwach i błaganiu pomocy u Maryi Jasnogórskiej nie ustawała. I oto drugiego dnia nowenny, a była to sobota, dzień Matce Najświętszej poświęcony, chora poczuła nagle ulgę w zbolałych wnętrznościach, a jednocześnie kłucie pod skórą w boku prawym, dotyka tego miejsca i, czując pod palcem igłę, z łatwością sama ją wydobywa.

Tak cudownie przez Panienkę Częstochowską poratowana, Dorota odbyła pieszą pielgrzymkę wraz z matką na Jasną Górę, zostawiając tam, na znak wdzięczności i jako pamiątkę cudu, igłę i wotum na ołtarz.

*

Podobnych cudów w kronikach Jasnogórskich zanotowano 54.

Rozdział XIV.

DUSZE W CZYŚĆCU CIERPIĄCE MARYA DO NIEBA WPROWADZA.

1. Działo się to na początku XVI wieku w Slawonji, w mieście Prywidz. Pewien mieszkaniec tego miasta, imieniem Oswald, zachorował ciężko. Będąc w niebezpieczeństwie utraty życia, opuszczony przez lekarzy, udał się po ratunek do Matki Boskiej Częstochowskiej, ślubując w razie wyzdrowienia odbyć pielgrzymkę na Jasną Górę. Podobała się Matce Najświętszej ta ufność i wiara w Jej pomoc i Oswald wstał nagle zupełnie uzdrowiony. Jednakże ślubu odrazu nie wypełnił, odwlekając ciągle obiecaną pielgrzymkę. Tak przeszło kilka lat. Jednego roku Oswald zachorował ciężko, śmiertelnie i, pojednany z Bogiem, którego zawsze był wiernym sługą, zmarł, ślubu przez lekkomyślność nie dopełniwszy. A miał ten człowiek syna, młodego jeszcze bardzo, przygotowującego się w szkołach do stanu kapłańskiego. Wkrótce po śmierci ojca siedział ten chłopiec w swej izbie, ucząc się pilnie zadanych w szkole lekcyj, a oto naraz osłupiał: W izdebce, gdzie był pewnym, że prócz niego nikogo więcej nie było, w izdebce,

której drzwi, zamknięte od wewnątrz na rygiel, żadnej osoby bez jego wiedzy i woli wpuścić nie mogły, znajdował się jakiś człowiek. Mglista jego postać była dziwnie przejrzysta, jakby otulona w całun śmiertelny. Przeciera chłopiec oczy, myśląc, że śni mu się to tylko, nie, postać nie ustępuje, przeciwnie zbliża się do niego, jakby płynąc w powietrzu. Trwogą zdjęty, chłopiec żegna się, imienia Boskiego wzywając, lecz widmo nie znika; zbliżyło się doń już o tyle, że syn poznał w niem swego dopieroco zmarłego ojca. Nie lęka się więcej, lecz, wyciągając ręce, woła ze wzruszeniem: „Ojcze!" Duch uśmiechnął się do dziecka z wielką tkliwością, choć niezmiernie smutno, i począł mówić głosem nie z tego świata: że cieszy się szczególną opieką Bogarodzicy, lecz cierpi bardzo w czyśćcu za niewypełnienie ślubu, uczynionego w chorobie. Bóg miłosierny pozwolił mu ukazać się synowi i prosić o modlitwę oraz, by ten, zostawszy kapłanem, za niego pielgrzymkę na Jasną Górę odbył i tam za jego duszę pierwszą Mszę św. odprawił. Wzruszony syn przyrzekł prośbę ojca spełnić. Wtedy duch, mile się na chłopca patrząc, rozwiał się jak cień.

Minęło kilka lat. W roku 1521 młodzieniec został wyświęcony na kapłana, a chcąc spełnić obietnicę daną ojcu, wybierał się z pierwszą Mszą św. do Polski. Krewni jednak, dowiedziawszy się o widzeniu i obietnicy jego, poczęli mu tłumaczyć, by tego nie czynił, gdyż wstyd byłoby człowieko-

wi rozumnemu widzenie, prawdopodobnie senne, brać za rzeczywistość; przekonywali go więc, by w mieście rodzinnem prymicję odprawił, a będzie to z jednakim pożytkiem dla duszy zmarłego ojca. Młody kapłan dał się przekonać.

Świątynię w Prywidz zapełnił tłum pobożnych, przeważają wśród nich: członkowie rodziny, krewni i przyjaciele nowowyświęconego kapłana. Ołtarz, przybrany w kwiaty, płonie mnóstwem świec. Wszyscy są niezmiernie wzruszeni mającą nastąpić uroczystością. Od strony zakrystji zadźwięczał dzwonek na znak, że Msza św. za chwilę się rozpocznie. Wszystkie oczy zwróciły się ku ołtarzowi, gdzie stoją już: proboszcz w kapie i prymicjant. Lecz co to? chce młody kapłan odmówić „Introibo", lecz język odmawia mu posłuszeństwa, jednego wyrazu, bodaj dźwięku jakiegoś, usta jego wydać nie są zdolne, patrzy rozpaczliwie na asystującego kapłana, ale ten nie wie, o co mu chodzi. Wtedy nieszczęśliwy znakami pokazuje, że nagle oniemiał. Przerażony proboszcz zawiadamia wiernych, że z powodu gwałtownego zasłabnięcia młodego kapłana prymicji dziś nie będzie. Wierni, przejęci nieszczęściem, opuścili świątynię. Gdy w chwilę później przestraszeni krewni obstąpili w zakrystji przerażonego prymicjanta, ten napisał, iż w tem zdarzeniu upatruje wyraźną karę Bożą za niedotrzymanie obietnicy danej zmarłemu ojcu. Zgodzili się z tem twierdzeniem krewni i sami pomogli mu do wyjazdu do Polski.

Przybył niemy kapłan na Jasną Górę, o swem widzeniu i nieszczęściu pismem zawiadomił OO. Paulinów, prosząc ich o modlitwę, potem ubrany w szaty liturgiczne stanął przed ołtarzem. Serce biednego kapłana zamierało ze wzruszenia, gdy klęcząc przed Cudownym Obrazem w głębi duszy błagał Maryę o rozwiązanie języka i miłosierdzie nad duszą ojca. Przystąpił ze drżeniem do ołtarza i oto, gdy podniósł rękę do czoła, chcąc krzyżem świętym rozpocząć Niekrwawą Ofiarę, Matka Najświętsza Jasnogórska wróciła mu utraconą mowę. Z wielkiem wzruszeniem odprawił prymicję, ofiarowując ją za duszę ojca.

Następnej zaraz nocy ukazał mu się duch ojca, jaśniejący wielkim blaskiem chwały niebieskiej, podziękował za usługę i oznajmił, że już się znajduje u stóp Królowej Anielskiej w niebie.

*

2. Andrzej Miaskowski z Poturzycy, cierpiąc już od siedmiu lat na różne ciężkie choroby, w końcu wpadł w takie zniechęcenie do życia, że w roku 1623 w napadzie hipochondrji uchwycił sztylet i wbił go sobie w piersi. Podbiegła na ratunek żona, Dorota z Konarzewskich, odjęła mu skrytobójczą broń, lecz przybyły lekarz nie rokował rannemu życia, przepowiadając rychły koniec. Nieszczęsny Andrzej, któremu teraz jasno stanęło przed oczyma, jak ciężkiego dopuścił się przestępstwa, godząc na własne życie, żałował serdecznie

za swe winy, pokutował za nie ile tylko sił mu starczyło i, pojednany z Bogiem, św. Sakramentami zasilony, rozstał się z życiem.

Po pogrzebie dziedzica, we dworze poturzyckim zapanowała cisza. Pogrążona w głębokim smutku, wdowa oddawała się tylko pracy i modlitwie za duszę małżonka. Pokój jego, w którym się nieszczęsny targnął na życie, był niezamieszkany i stale zamknięty. Pewnego dnia, a było to jakoś niedługo po śmierci Imć Pana Andrzeja, jeden ze służących, przechodząc w południe obok tego pokoju, usłyszał wychodzące z niego straszne jęki i jakieś słowa błagalne; sądząc, że tam ktoś wszedł, otworzył drzwi i zajrzał do pokoju, nie było w nim jednak żywej duszy; przeszukał wszystkie kąty i schówki, ale nikogo nie znalazł. Zdziwiony zawiadomił o tem panią, lecz ponieważ rzecz się stała w biały dzień, w samo południe, nie widziała pani w tem nic strasznego i sądziła, że służący się przesłyszał. Wkrótce, a było to wieczorem, znów usłyszano w tym pokoju jęki i słowa błagalne. Teraz już ogarnęło wszystkich przerażenie, a gdy potem jeszcze kilka razy wieczorem i w południe słyszano te same jęki i błagania, jednomyślnie osądzono, że w pokoju straszy. Jeden ze służby odważniejszy trochę, zatrzymawszy się pewnego słonecznego południa przy tych drzwiach, usłyszał płaczliwy głos proszący: „Ślubowałem pościć w soboty i odbyć pielgrzymkę do Częstochowy, błagam, by to za mnie wykonano". Sługa zrozu-

miał, że tam jakiś zmarły pokutuje, przerażony więc uciekł i zawiadomił o tem innych. Zapanowała w całym domu straszna panika. Nikt się nie odważył wieczorem czy też w południe, to jest w chwilach, gdy głos dawał się słyszeć, przejść obok tego pokoju. Omijano go z lękiem, żegnając się ze strachu. A głos jęczał, żebrał i prosił. Ulitowała się nad pokutującym pewna niewiasta mniej lękliwa niż inni. Ta, wszedłszy do pokoju w czasie, gdy głos słyszano, zapytała: „Kto jest ten, co prosi o to?" i otrzymała wyraźną odpowiedź, że jest to pan tego domu, zmarły przed paru miesiącami i, że cierpiąc strasznie w płomieniach czyśćcowych, prosi o pomoc duchowną i dodał: „Będę was tak długo molestował, aż zadośćuczynicie moim prośbom. Niech będą dawane jałmużny ubogim w Częstochowie za moje grzechy i niech się odprawiają Msze św. przed Cudownym Obrazem za moją duszę, a wtedy rychło będę uwolniony". Usłyszawszy to, żona zmarłego natychmiast spełniła dokładnie wszystkie te prośby, a wkrótce potem ten sam głos oznajmił, że już od mąk jest wolny, za co serdecznie dziękuje tym, co się do tego przyczynili.

*

3. W roku 1670 zmarł w dobrach własnych w województwie sieradzkiem IMćPan Marcin Stokowski. Po jego śmierci majątek objęli jedyni spadkobiercy: brat zmarłego Jakób i małżonka jego Marjanna. Wkrótce po śmierci dawnego pana,

panna służąca IMćPani Marjanny ujrzała przed sobą jakgdyby z pod ziemi wyrosłą postać jakąś, zewsząd otoczoną gorejącemi płomieniami; gdy się przyjrzała owej zjawie, poznała w niej ś. p. Marcina, który się zwrócił do niej ze słowami pełnemi boleści: „Niechaj moi krewni przyjdą mi z pomocą, gdyż jestem w strasznych cierpieniach, a pomocy sobie żadnej dać nie mogę; niechaj zamówią pięć Mszy świętych przed obrazem Matki Najświętszej Częstochowskiej — to mi ulgę przyniesie!" Powiedziawszy to, widmo, jęcząc żałośnie, znikło z oczu dziewczyny. Przerażona niewymownie, pobiegła do państwa, oznajmiając o widzeniu. JWP. Jakób Stokowski i wierzył w to co mówiła i nie wierzył, sam nie wiedział, co o tem myśleć, raz mu się zdawało, że się to wszystko dziewczynie uwidziało, a drugi raz wierzył, że to może brat jego pomocy wzywa. Tego dnia w domu wszyscy czuli się bardzo nieswojo. Na drugi dzień siedzieli w pokoju JWPaństwo Stokowscy i dwie ich córki: Elżunia, panna jeszcze i druga zamężna, Anna Włodarska, prócz nich jeszcze parę osób z domowników, rozmawiano o dziwnem widzeniu panny służącej, gdy naraz zebrani najwyraźniej usłyszeli głos zmarłego, jakgdyby wychodzący z pod ziemi, wszyscy struchleli z przerażenia. Głos ten powtórzył się parę razy, a oni siedzieli jak skamieniali, nie mogąc się poruszyć, ni słowa wymówić, a po chwili po stole, przy którym siedzieli, jakaś niewidzialna ręka poczęła kreślić węglem rozpalonym pismo nieznane. Po jakimś czasie, gdy się już głos przestał odzy-

wać, a ręka ducha pisać dziwne i niezrozumiałe słowa, obecni uspokoili się trochę i poczęto radzić, co czynić. Jednogłośnie postanowiono według woli zmarłego udać się zaraz do Częstochowy.

Następnego dnia wyruszyła cała rodzina do stolicy Matki Najświętszej. W podróży zatrzymano się na spoczynek i nocleg w zajeździe w mieście Widawie. Rozsiedli się podróżni w ogromnej izbie gościnnej, gdzie prócz nich znajdował się gospodarz i trzech kupców ze Śląska. Któraś z jejmości położyła na stole różaniec. Rozmawiano o podróży i o Częstochowie, a oto naraz widomie dla wszystkich obecnych, jak żywy, stanął przed zgromadzonymi w izbie ś. p. Marcin Stokowski. Twarz miał bladą, zbolałą niezmiernie, a cała jego postać zdawała się wychodzić jakby z morza płomieni. Zebranym słowa zamarły na ustach, nikt z trwogi nie poruszył się, bali się nawet oddychać. A zmarły podszedł do stołu, wziął do ręki leżący tam różaniec, podniósł do góry, opuścił z powrotem i błagalnym głosem poprosił, by się za niego na różańcu modlono, poczem znikł z oczu osłupiałych ludzi. Długi czas upłynął, zanim wszyscy przyszli do siebie i, stosując się do prośby pokutującego, odmówili za spokój jego duszy różaniec.

Gdy pątnicy przybyli na Jasną Górę, najpierw zamówili pięć Mszy świętych i egzekwie za duszę zmarłego Marcina, a później z gorącością ducha wysłuchali za niego piętnaście Mszy świętych, z wielką pobożnością i ufnością polecając go cu-

downej Panience Jasnogórskiej. Siedem dni spędzono w modłach na Jasnej Górze, rozdając hojne jałmużny za spokój duszy Marcina, a w dzień wyjazdu do domu, gdy wszyscy siedzieli w pokoju na noclegu, zjawił się znów zmarły i począł na papierze, leżącym na stole, rysować różne znaki i krzyż, a pod nimi wyraźny napis „O, gdybym dzisiaj"..... poczem duch rozwiał się, a obecni, czytając te słowa, zrozumieli, że zmarły chciał przez nie wyrazić swym krewnym, jak wielką ma nadzieję na wejście do nieba.

W tym samym dniu ta sama panna służąca, która pierwszy raz z duchem mówiła, znajdując się sama w pokoju, nagle ujrzała zmarłego pana Marcina jak przechodził do chwały niebieskiej w postaci pięknego młodzieńca, odzianego w szatę jasną jak słońce, przepasaną purpurowo-złotym pasem, trzymającego świecę wielką, gorejącą jasnym płomieniem. Prawdziwość tego widzenia potwierdziła przysięgą.

Dowiedziawszy się o tem, Książę Biskup Krakowski, Andrzej Trzebicki, całą tę historję polecił zbadać, a zbadaną i opartą na wiarogodnych świadectwach, do największych cudów Matki Bożej na Jasnej Górze zaliczyć kazał.

*

4. W roku 1744 Józef Nowak, mieszkaniec wsi Mostek, w województwie Sandomierskiem, kmiotek pobożny, posiadający liczną rodzinę, szedł pew-

nego dnia przez las położony niedaleko wsi. Przechodząc w pobliżu głębokiego stawu, znajdującego się w lesie, usłyszał wołanie; myśląc, że to ktoś znajomy, spojrzał w kierunku słyszanego głosu i zobaczył człowieka, wynurzającego się ze stawu, wołającego: „Pójdź do mnie". Człowiek ten, jak zjawisko wychodzący z głębi wód, głos jego tak strasznie dziwny o grobowem milczeniu, twarz blada o gorejących wewnętrznym ogniem oczach, i szata, przypominająca całun śmiertelny, wszystko to wywarło tak okropne wrażenie na Józefie, iż stanął jak skamieniały, nie mogąc postąpić kroku; coś go tak ścisnęło za gardło, że nawet krzyknąć nie mógł. Tymczasem upiór, jakby unosząc się nad ziemią, podszedł do niego i począł z wielką usilnością błagać, by mu zrobił wielką łaskę i za niego odprawił pielgrzymkę na Jasną Górę i tam przed Cudownym Obrazem Mszę św. za jego duszę zamówił, a on mu za to odwdzięczy się serdecznie. Wkońcu dodał: „Jestem starym ogrodnikiem z sąsiedniego dworu, imieniem Sebastjan, i na tem miejscu muszę pokutować, aż ktoś za mnie tego nie spełni". To wszystko powiedziawszy, znikł z przed oczu wieśniaka. W kilka dni potem poczciwy Józef, litością dla pokutującego zdjęty, wybrał się do Częstochowy i tam zamówiwszy Mszę św., gorąco się za duszę Sebastjana modlił.

Od tego czasu dziwny jakiś spokój i radość niebiańska zapanowała w jego duszy i w całej rodzinie. W bojaźni Bożej, z sumieniem czystem,

w zgodzie i miłości żyli odtąd wszyscy w cichej zagrodzie Nowaka. To dusza Sebastjana odwdzięczała się w ten sposób za wybawienie z czyśćca.

*

5. Pani Zuzanna Kawecka, żona notarjusza z Sieradza, w roku 1845 zeznała, co następuje:

Miała córkę z pierwszego małżeństwa, imieniem Ewa Domańska. Córka ta, zachorowawszy ciężko, zmarła opatrzona św. Sakramentami. Matka ciągle się za jej duszę gorąco modliła. Pewnego razu, wkrótce po pogrzebie, siedziała pani Kawecka w swoim pokoju zajęta jakąś pracą; nie było tam prócz niej nikogo. Naraz spostrzegła jakąś osobę, która cicho ku niej się zbliża. Nie wiedząc, ktoby to był i jak się do niej dostał, patrzyła zdziwiona, a oto, przyglądając się tajemniczej postaci, poznaje w niej swą zmarłą córkę. Uradowała się matka i pyta, po co do niej przychodzi, a ta, jęcząc boleśnie, poczyna mówić: „Ulituj się nademną, matko, gdyż okrutne cierpienia w ogniu czyśćcowym znoszę za grzechy nieposłuszeństwa, kłamstwa i lekkomyślności przy modlitwie. Ratuj mnie!" Matka, zdumiona tem co słyszy, odpowiedziała, że przecież się ciągle za nią modli. Na to odrzekła córka: „Tak matko, i to mi sprawia wielką ulgę, ale to wszystko mało. Najskuteczniejszym środkiem wybawienia mnie z mąk, to Msze św. zamówione na Jasnej Górze przed Cudownym Obrazem!" A gdy matka wyraziła zdziwienie, że

dusza jej tak długo cierpi w czyśćcu, usłyszała odpowiedź: „Nie na takie męki zasłużyłam przez swoje grzechy, po śmierci inaczej się sądzi, niż za życia. Jeżeli dwadzieścia Mszy św. będzie za mnie odprawionych, to za przyczyną Matki Boskiej Częstochowskiej zostanę już od cierpień wolną". To powiedziawszy, znikła z pokoju. Matka natychmiast pojechała na Jasną Górę, gdzie zamówiwszy Msze święte, gorąco się za duszę córki modliła.

Po powrocie do domu, pewnej nocy ujrzała Ewę odzianą w jasne szaty godowe, opromienioną światłem nieziemskiem, która, zbliżywszy się do niej, gorąco za pomoc dziękowała, oznajmując, że jest już w niebie.

*

Takich faktów kroniki klasztoru notują 32.

Rozdział XV.

MARYA BRONI SWYCH CZCICIELI OD ZARAZY I OGNIA.

1. W roku 1506 nawiedziła Polskę morowa zaraza. Pochód jej znaczył się tysiącami ofiar. Miasta i wioski wyludniały się pod jej dotknięciem. Wiele okolic wyglądało jak cmentarzyska. Bywały wsie, w których nie pozostał ani jeden człowiek. Chaty były grobowcami. Zdziczały drób i bydło wałęsały się po zarosłych chwastami ogrodach, a psy wychudłe włóczyły się, wyjąc żałośnie. Fetor straszny z niepogrzebanych trupów rozchodził się naokoło, zarażając coraz więcej i więcej wsi i miast. Brakło już rąk do grzebania, brakło lekarzy. Ludzie zdrowi, trwogą zdjęci, uciekali w lasy, myśląc, że ujdą zarazy i tam, głodem wycieńczeni, padali w gąszczach, po drogach i polach, dotknięci straszną chorobą.

W mieście Wrocławiu został dotknięty zarazą pewien obywatel, imieniem Wojciech. Lekarze, którzy żadnych środków na nią nie mieli, nic mu pomóc nie mogli. Biedny Wojciech, widząc, że śmierć nadchodzi, przygotował się z wielką starannością na jej przyjęcie i, opatrzony na drogę wieczności św. Sakramentami, oczekiwał kresu,

zdając się najzupełniej na wolę bożą. Gdy tak leżał i modlił się gorąco, trzymając w ręce płonącą gromnicę, ujrzał przed sobą jakiegoś nieznanego starca o nadzwyczaj czcigodnem i miłem obliczu, z długą śnieżną brodą, odzianego w szaty białe (był to zapewne święty Paweł, pierwszy pustelnik), który, zbliżywszy się do chorego, rzekł: „Uczyń ślub pielgrzymki do Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasną Górę, a Ona ci wyprosi przedłużenie życia". Wojciech, choć nie wiedział nawet, gdzie jest Częstochowa, ujęty świętością, jaka biła od tego poważnego starca, uczynił natychmiast ślub, a zmęczony chorobą i wycieńczony straszną gorączką, usnął zaraz mocno. Sam ten sen był cudem Matki Boskiej Częstochowskiej, gdyż Wojciech obudziwszy się powstał najzupełniej zdrowy.

Wkrótce, wywiązując się ze ślubu, przybył na Jasną Górę, gdzie świadectwo o tym cudzie złożył.

*

2. Anna Mycielska, mieszkanka wsi położonej niedaleko Tarnowskich Gór, zaraziła się w r. 1603 od sąsiadów jakąś ciężką chorobą. Przez osiem miesięcy cierpiała strasznie. Wijąc się w bólach, prosiła Boga, jak o wielką łaskę, o śmierć. Mąż i pięcioro dzieci, nie mogąc patrzeć na jej nieludzkie cierpienia, którym lekarze zaradzić nie byli w stanie, umyślili zawieźć chorą do Częstochowy. Złożono Annę na wozie i wolno, bo każdy wstrząs potęgował jej bóle, powieziono na święte

miejsce. Towarzyszyli chorej mąż i dzieci. Po paru dniach podróży przybył ten smutny orszak do Częstochowy.

Był ranek, słońce tylko co wstało i oświeciło tę małą gromadkę, która, złożywszy cierpiącą na noszach, ostrożnie wniosła do kaplicy. Wierni dopiero poczęli się gromadzić; przed ołtarzem zapalano świece. Cudowne oblicze Maryi pokrywała jeszcze srebrna zasłona. U stóp ołtarza, spowita w chusty, jęcząc boleśnie, leżała chora niewiasta. Był to obraz jakby wyjęty z Ewangelji św., gdzie wspomniano, że do Zbawiciela chorych na noszach przez dach wpuszczano. Na chórze uderzono w bębny i fanfary i zabrzmiał hejnał. Małżonek Anny i pięcioro jej dzieci, upadłszy obok chorej krzyżem, w gorących i pełnych wiary słowach prosili dla nieszczęśliwej o zdrowie. A ona nieprzytomna, szarpana strasznemi bólami, błędny wzrok utkwiła w ołtarz. I oto w chwili, gdy zasłona na Cudownym Obrazie podniosła się, ukazując w całym blasku i majestacie prześliczne, najświętsze oblicze Maryi, chora, cudem uzdrowiona, powstała nagle przytomna najzupełniej, a wszystkie boleści ustąpiły zupełnie. Wzniósłszy ręce, poczęła wielbić potęgę i łaskawość Maryi.

Trzy dni jeszcze zabawiła cudownie uzdrowiona na Jasnej Górze, a potem wraz z rodziną pieszo do domu wróciła.

*

3. Gdy w roku 1620 morowa zaraza dziesiątkowała ludność w Polsce, JMĆ Pan Samuel Kałuski, podsędzia w Liwie, ziemi podlaskiej, przerażony tem, że już połowę jego wioski zaraza wyludniła, oszańcował się w swoim dworze wraz z rodziną, nikogo ze świata nie wpuszczając. Zdawało mu się, że już uniknął zarazy, lecz przed morem, ani szańcem, ani drzwiami okutemi nikt się nie zastawi, śmierć wszystkie zapory zwalcza. I oto już wkrótce widzą rodzice, że najmłodsze dziecię zmienia wygląd; twarzyczka jego z gorączki purpurowa, ciałko całe pokrywa się strasznemi wrzodami i maleństwo poczyna konać. Już i piastunka jego słania się w okropnych bólach i oboje w wielkich męczarniach życie kończą. Jeszcze większy strach ogarnął podsędka. Zabiera żonę i pozostałych troje dzieci oraz jednego wiernego sługę i ucieka w lasy. Ciężkie życie wiedli uciekinierzy. Deszcze, upały, zimno, głód i niewygody dokuczały im bardzo. Szałas, z chróstu upleciony, niedostatecznie ich osłaniał, w zimne dni wiatr przedostawał się przez szczeliny, gasząc rozniecony ogień. Posłanie twarde i niewygodne często zalewał deszcz. W noce pochmurne i chłodne cisnęli się wszyscy do ogniska, z trwogą patrząc w ciemny las i drżąc za każdym szmerem, w obawie, zali to nie śmierć zbliża się do nich w postaci błąkającego się chorego, jakich w owe czasy pełno było po lasach. I tuliła matka do siebie przerażone dziatki; uspokajał je ojciec sam niemniej strwożony; pocieszał i bawił

poczciwy sługa. Lecz straszna choroba mimo tych zabiegów i tam trafiła. Pewnego dnia p. Kałuski uczuł dreszcze, gorączkę i straszne osłabienie, wkrótce całe jego ciało pokryte zostało ogromnemi cuchnącemi wrzodami. Zaraza najpierw jego w swe straszne chwyciła szpony. Powalony tak okrutnie bez żadnej pomocy w tem odludziu, widząc, że śmierci ujść nie zdoła, postanawia kołatać do nieba o cud. Zbiera więc ostatki przytomności umysłu i w pokornych słowach z wielką wiarą i ufnością ofiarowuje Najświętszej Pannie Częstochowskiej siebie, rodzinę swoją, starego sługę i wioskę całą i ślubuje, iż w razie uzdrowienia, pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę wraz z całą rodziną odprawi. I modlił się serdecznie, a z nim żona i dzieci. A Matka Najświętsza, ta „Róża duchowna" i „Edenu wonna lilja", oczyściła powietrze jednem swem tchnieniem. Podsędek wstał z posłania z wrzodami nagle uleczonemi, a ciało jego wkrótce stało się zdrowe i czyste, jakgdyby nigdy ropą i ranami nie było pokryte. Przejęci tym cudem, pełni ufności w opiekę Najświętszej Panny Jasnogórskiej, wrócili do dworu. I oto od tego dnia, w którym to zaofiarowanie p. Kałuski uczynił, nikt we wsi nie zachorował i nikt na zarazę nie umarł.

Wdzięczny za ten cud podsędek tegoż roku dnia 15 sierpnia w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny z całą rodziną na Jasną Górę przybył i srebrną blachę z wyobrażeniem swojem,

żony, trzech synów i służącego złożył z napisem po łacinie: „Niebieskiej Zachowawczyni od morowej zarazy".

*

4. I znów w roku 1743 dotknął Pan Bóg morowem powietrzem Polskę. Pewnego dnia tegoż roku IMP. Pułkownik Stanisław Jaszowski, przejeżdżając przez ziemię piotrkowską, w której grasowała zaraza, zatrzymał się w pewnej gospodzie na spoczynek. Siedząc, uczuł w sobie dziwną niemoc, a potem silną gorączkę. Pojął z trwogą, że został zarażony morem. Czuł nieprzepartą chęć położenia się, lecz jako żołnierz nie chciał poddać się chorobie, wstyd mu było jej ulec. Więc, mimo strasznego osłabienia, wsiada na konia i puszcza się w dalszą drogę. Wszakże niedaleko ujechał, zmogła go choroba, stracił przytomność i jak kłoda zwalił się z konia na ziemię. Gdy po jakimś czasie ocucił się, spostrzegł, że leży na drodze sam jeden, chciał się podnieść, lecz nie mógł. Noc się zbliża, a tu znikąd ratunku. Nie mógł liczyć, że go kto znajdzie, bo drogi w on straszny czas moru rzadko były nawiedzane, ludzie opuszczali osiedla i w lasy uciekali, od dróg stroniąc, by kogoś zarażonego nie spotkać. Czuł, że coraz mu gorzej, pragnienie, gorączką wzmożone, paliło mu gardło i wnętrzności, lecz któż spieczone usta choć kroplą wody zwilży? Leżał jak Łazarz, patrząc w niebo, a śmierć się zbliżała, bo już srogie bóle poczęły go szarpać, a pragnął

dzielny rycerz dla ojczyzny i rodziny żyć jeszcze długie lata, więc chcąc się ratować, zawołał z wielką wiarą i ufnością w duszy, bo usty już nie mógł: „Najświętsza Panno Częstochowska, ratuj mnie!" i w tej chwili zapadł w mocny sen. W tym śnie widzi siebie leżącego na ziemi, naraz z obłoków na złotych promieniach słońca spływa ku niemu jakaś świetlana postać; wpatruje się w nią i poznaje Przenajświętszą Pannę; serce jego przejmuje wielka miłość i radość, brak mu tchu, a oczy jego mrużą się, niezdolne znieść blasków bijących od tej Przeczystej Dziewicy, chce się podnieść, lecz oto Matka Najświętsza podchodzi doń i z macierzyńską tkliwością kładzie rękę na głowie jego, mówiąc głosem niebiańsko-słodkim: „Nie bój się, będziesz żył". Zrywa się chory i odzyskuje przytomność, cudowna wizja rozwiała się, lecz on jest uzdrowiony, nie czuje cierpień, gorączka znikła, a rześkość i siła wróciły. Znajduje konia i puszcza się w dalszą drogę jak najzdrowszy.

Odtąd rycerz ten stał się najwierniejszym sługą i czcicielem Maryi Jasnogórskiej i do śmierci wdzięczność dla Niej za cudowne uzdrowienie zachował.

*

5. Często ojczyznę naszą nawiedziało morowe powietrze. Historja notuje takich wypadków bardzo wiele. W latach 1622, 1625, 1630, 1677 i 1707 tysiące ludzi zginęło od niego. Tysiące rodzin okryła żałoba. Warszawa, Kraków, Lwów,

Poznań, Piotrków, Pinczów, Wieluń, Krzepice i okolice Częstochowy wyludniły się do połowy. Zmarli zalegali domy, drogi i ulice miast nawet, bo brakło już sił i rąk do grzebania trupów. Kto miał jeszcze zdrowie, uciekał do lasów i borów, lecz i tam śmierć dosięgała. Niedobitki, wybladłe z chłodu i głodu, snuły się po drogach, budząc postrach w zdrowych; opędzano się od nich nierzadko i bronią, byle tylko tych nieszczęśliwych, w obawie przed zarazą, do siebie nie dopuścić. Głód począł się w tych strasznych latach srożyć, bo do uprawy ziemi brakło ludzi. Jedna Jasna Góra zawsze była wolna od zarazy. Jak spokojna wyspa pośród fal rozhukanych, jak oaza w pustyni, stała nietknięta morem, a naokoło padali ludzie od zarazy, jak padają wątłe roślinki pod kosą. Prawda, że Ojcowie Paulini wszelkie środki ostrożności stosowali, ale mimo to każdy wiedział dobrze, że tylko opieka matczyna Bogarodzicy nie dopuściła, by ktokolwiek, będący na Jasnej Górze, umarł od zarazy. Kto ją lekkomyślnie opuszczał — ginął, kto do niej przychodził, choćby i zarażony był — żył. Kto żył w klasztorze, czy to zakonnicy, czy świeccy, czy służba, albo żołnierze — wszyscy podczas tych smutnych lat cieszyli się zdrowiem, choć wokół ludzie tysiącami marli. Płaszcz Najczystszej Dziewicy, którym Jasną Górę okrywała, nie dopuścił do niej nawet najmniejszego tchnienia zarazy.

*

6. Było to w roku 1598 w mieście Sieradzu. Po trudach pracowitego dnia ułożyła się do snu w drewnianym domu rodzina Krzysztofa Godziszewskiego. Wszyscy zasnęli snem mocnym i zdrowym. W nocy w uśpionym domku wybuchł pożar. Trzask ognia, dym i krwawa łuna obudziły sąsiadów, porwano się na ratunek. Tymczasem Godziszewscy, nie wiedząc o niczem, spali dalej i dopiero, gdy dym napełnił sypialnię, ocknęli się ze snu. Jakież było ich przerażenie, gdy się ujrzeli osaczeni zewsząd przez szalejący ogień! Nie było żadnego wyjścia, w którąkolwiek stronę się zwrócili, wszędzie płomienie tamowały drogę. Widząc już okrutną śmierć przed sobą, ojciec rodziny pada twarzą na ziemię, a za nim wszyscy i w serdecznych słowach oddają się z wielką ufnością w opiekę Matki Najświętszej Częstochowskiej, której obraz znajdował się w pokoju. I oto stał się cud. Pożar się nagle przytłumia, rozstępują płomienie, zostawiając bezpieczne wyjście, wszyscy uchodzą i naraz wiatr ustaje, spada momentalnie ulewny deszcz, który zalewa zupełnie ogień. W ten sposób Najświętsza Panna Jasnogórska nietylko dom Godziszewskiego, lecz i całe miasto od strasznej klęski ocaliła.

*

7. W roku 1623 żyła w Prusach w mieście Tukno pewna rodzina anabaptystów: Marcin i Małgorzata Pokrzywińscy z córką Zofją. Mieli

oni w służbie dziewczynę katoliczkę. Młodziutka Zofja przywiązała się bardzo do pobożnej, zacnej służącej i z natchnienia Ducha św. poczęła ją wypytywać o zasady wiary katolickiej. Interesowały ją Sakramenta św. i postać Matki Bożej. Dobra dziewczyna uczyła więc Zofję pokryjomu w obawie przed państwem, którzy, jako zagorzali heretycy, nigdyby na podobne nauki nie pozwolili. Najmilszą dla Zofji była rozmowa o Matce Najświętszej. Świetlana postać Niepokalanej Dziewicy nie odstępowała nigdy myśli dziewczęcia; wkrótce Zofja tak się w niej rozmiłowała, iż zapragnęła w tajemnicy zmienić wiarę. Tak się też stało. Zofja z heretyczki stała się gorliwą katoliczką. Gdy się o tem dowiedzieli rodzice, złości i nienawiści nie było miary. Najpierw namawiali ją, by powróciła do sekty, a gdy panienka stanowczo powiedziała, iż tego nie uczyni, poczęto jej obiecywać przeróżne nagrody, stroje, klejnoty, lecz Zofja była nieugięta; odpowiadała, że największą dla niej nagrodą będzie niebo, najcenniejszym klejnotem — wiara św. rzymsko-katolicka, a najwspanialszą szatą — szkaplerz Maryi. Widząc, że obietnicami nic nie zdziałają, wzięli się do innego środka: odtąd dziewczę, zamknięte i ogrodzone od świata i rodziny, było głodzone, lżone i katowane, lecz stałość jej ani na minutę nie zmniejszała się. Z pogodną twarzą modliła się do Matki Najświętszej Częstochowskiej, o której łaskach i miłosierdziu od dobrej służącej tyle słyszała; i w opiekę się tej Najświętszej Orędowniczce polecając,

Matka Boska chroni od strasznej śmierci w ogniu Zofję Pokrzywińską.

Fresk na Wielkim Kościele.

o męstwo i wytrwanie prosiła. Pewnego dnia przybyli do jej ciemnicy rodzice i teraz już z płaczem zaczęli ją namawiać i błagać, by się „błędów katolickich" wyrzekła. Ale ona, pomocą z nieba wspierana, nie zachwiała się temi łzami, lecz westchnąwszy do Boga, powiedziała: „Kochani Ojcze i matko, to nie ja mam się błędów — jak mówicie — wyrzekać, a raczej wy, którzyście, od prawdziwej Chrystusowej wiary odstąpiwszy, w herezji się pogrążyli". I padłszy im do nóg, prosiła serdecznie, by się z nią w wyznawaniu wiary katolickiej połączyli. Ale oni, odepchnąwszy córkę, szatańską złością uniesieni, zapowiedzieli jej, że już teraz dla niej żadnej litości nie mają i życiem za swój upór zapłacić musi. Nie przeraziła się tem zbytnio Zofja, tylko zaczęła się przygotowywać na śmierć.

Zebrała się cała rodzina i jednogłośnie skazano „papistkę" na karę śmierci przez spalenie żywcem na stosie, jako heretyczkę. Rankiem następnego dnia na miejscu kaźni zgromadziło się dużo anabaptystów ciekawych, jak konać będzie wątła dziewczyna. Wyprowadzono Zofję. Szła z radosnem obliczem, nie znać po niej było żadnej trwogi. Szła, szepcąc modlitwy do Matki Najświętszej. Patrzącym przyszły na myśl opisy męczeństwa za wiarę św. dziewic za czasów Nerona. Niektórym, o lepszym sercu, łzy popłynęły z oczu. Ale zawziętych rodziców widok panienki, tak spokojnie idącej na śmierć, do jeszcze większej złości pobudził. Ułożono wysoki stos z drze-

wa, ojciec wziął zapaloną głownię do ręki. Tymczasem Zofja padła na kolana i głośno poleciła swą duszę Bogu. Krewni brutalnie pochwycili ją i rzucili na stos. Stanęła prosto, jak święta męczennica, wołając: „O, Panno Częstochowska, bądź moją obroną" i wzniosła oczy w niebo, jakby tam kogo widziała. Jednocześnie podpalono stos. Buchnął wielki ogień i dym olbrzymim słupem do góry i zasłonił na dłuższą chwilę postać męczennicy. Z lubością patrzyli heretycy na ten widok, oczekując na jęki dziewczyny i na krzyki boleści, lecz nic nie słychać, tylko trzaskanie płonącego drzewa. Gdy po pewnym czasie rozwiał się dym, ujrzano resztki dopalającego się stosu i panienkę stojącą prosto, żywą, ze wzrokiem zwróconym w górę. Matka Najświętsza przybyła na pomoc z wiarą wzywającej Ją dziewczynie i otoczywszy macierzyńskim swym płaszczem, cudem od niechybnej śmierci uratowała. Na dowód cudu pozostał na boku ocalonej znak od opalenia. Obecni, przerażeni tym widokiem, poczęli uciekać, krzycząc: „Czary, czary papistów — czary katolickie!" Zagniewani rodzice, nie skruszeni wcale tym oczywistym cudem, lecz w każdym razie przestraszeni, uwolnili Zofję od śmierci, bynajmniej nie przestając jej srogo prześladować. Atoli po pewnym czasie udało jej się umknąć od rodziców, przybyła więc na Jasną Górę. A miała ta panienka pewien defekt mowy: jąkała się od urodzenia. Wszedłszy do kaplicy, zalała się tkliwemi łzami na widok obrazu Tej, dla której chwały tak ochot-

nie na okrutną śmierć szła, a która ją tak cudownie od męki i śmierci ocaliła. Serce pobożnej Zofji rozpływało się w podzięce, a oto nagle uczuła, że język jej jakby naraz uwolniony został z krępujących go jakichś więzów, nie pojmowała, co się z nią robi, lecz w chwili, gdy znów głośno zaczęła wyrażać Cudownej Panience Jasnogórskiej swą miłość, wdzięczność i uwielbienie, zdumiała się faktem, że tak płynnie słowa jej z ust wychodzą bez najmniejszego zacięcia się lub zająknienia. To Marya jeszcze jedną łaskę wiernej Swej wyznawczyni okazała.

Wszystko to ta panienka, Zofja Pokrzywińska na Jasnej Górze zeznała, potwierdzając prawdziwość tych cudów zeznaniem naocznych świadków.

Cud ten uwieczniony został przez artystę malarza na głównem sklepieniu Bazyliki Jasnogórskiej.

*

8. Jednej letniej nocy 1748 roku nad wsią Ridów rozszalała się straszna burza. Mieszkańcy wsi, obudzeni nieustannie bijącemi piorunami, pozapalali gromnice i modlili się pobożnie. Wstał też świątobliwy ksiądz proboszcz Józef Abramowski i również modlił się, polecając siebie i całą parafję w opiekę Maryi Częstochowskiej, do której miał wielkie nabożeństwo. Grzmiało ciągle. Wicher wył, miotał się i szarpał strzechy chat, giął do ziemi wyniosłe konary drzew. Po czarnem niebie raz po raz przelatywały złote zygzaki bły-

skawic i rozlegały się potężne grzmoty. Ziemia cała drżała od huku. Pioruny raz po raz uderzały w drzewa, rozdzierając je od wierzchołka aż po korzenie. Nagle tuż w pobliżu kapłana, modlącego się ciągle, uderzył grom ze zdwojoną siłą. „Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami", szepnął pobladłemi usty ogłuszony i przestraszony proboszcz. Jakże jednak zwiększyło się jego przerażenie, gdy ujrzał, że piorun, ugodziwszy w stodołę, napełnioną zbożem i sianem, spowodował okropny pożar; najgorsze zaś było to, że stodoła stała blisko kościoła, a wicher miotał całe snopy iskier właśnie na dach świątyni. Z chat wybiegli poczciwi wieśniacy, noszono wodę, zalewając pożar, kto żył starał się pomagać w tłumieniu ognia. Lecz wszystko zdawało się napróżno, wiatr coraz więcej rozdmuchiwał ogień i obawiano się, iż lada chwila pożar obejmie kościół. Widząc, że ludzki ratunek nic tu nie podoła, ksiądz Abramowski pada na twarz przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i błaga ze łzami o opiekę, następnie zdejmuje ze ściany święty wizerunek, błogosławi nim w stronę świątyni, a potem stawia go w oknie naprzeciw palącej się stodoły. I o dziwo! gdy tylko to uczynił, Panna Najświętsza, której żywioły wszelkie są posłuszne, zabroniła wiać wiatrom i momentalnie stała się cisza tak wielka, że nawet listek nie drgnął, a ogień, pozbawiony swego największego pomocnika, wichru, przygasł. Wszyscy wieśniacy, widząc tak jawny cud, wraz

ze swym proboszczem padli na kolana, wielbiąc Imię Matki Boga.

Wkrótce na podziękowanie Maryi Jasnogórskiej za ocalenie kościoła, za cud, na który tyle osób patrzyło, wyruszyła z tej wsi piesza pielgrzymka do Częstochowy pod przewodnictwem księdza proboszcza.

*

9. Sześć razy nawiedzały Jasną Górę pożary: w roku 1622, 1718, 1724, 1726, 1744 i 1749. Sześć razy szatan, któremu w niecnych jego dziełach ta twierdza ducha stała na przeszkodzie, starał się w perzynę obrócić klasztor, lecz w swej bezsilnej złości nic nie zdziałał. Te sześć razy ugaszono ogień bez żadnych strat. Lecz dwa pożary uczyniły świętemu miejscu wielkie szkody: w roku 1690, kiedyto spłonął cały wielki kościół i zawaliła się wieża, choć i wtedy kaplica wraz z Cudownym Obrazem, za łaską Matki Najświętszej, wyszła nietknięta, i w roku 1900, kiedy podobnież spaliła się wieża, a kościół i kaplica ocalały. Ostatni ten pożar wybuchł 15 sierpnia w czasie odpustu na Wniebowzięcie Matki Boskiej. Ogromne rzesze pątników zgromadziły się na to święto. Dorocznym tradycyjnym już zwyczajem palono w tym dniu na cześć Królowej nieba ognie sztuczne. Nieszczęsnym trafem jakaś zabłąkana iskra padła na drewniane części wieży, wysuszone upałem, i ogień począł się tlić. Jednakże wieczorem nikt tego nie zauważył, dopiero w nocy, gdy wszyscy udali się

na spoczynek i tylko gdzieniegdzie gromadki pątników pod Szczytem na cześć Matki Najświętszej śpiewały, spostrzeżono ze zgrozą, iż na jednem z pięter wieży wykwitł jaskrawy pióropusz ognia. Powstał ogromny krzyk, cała ludność miasta pośpieszyła na ratunek. Opustoszały domy. Wynoszono konwie, beczki, pompowano nieustannie wodę, nawet dzieci małe pomagały starszym. Dzielna straż z narażeniem życia broniła kaplicy i wielkiego kościoła. Wkrótce całą wieżę ogarnęło morze płomieni. Rozległ się rozdzierający płacz, ludzie klęcząc modlili się gorąco; z okolicznych wiosek, w których widoczną była wieża, rozgorzała pożarem, pośpieszono z końmi i wozami na pomoc. Straszny był to widok: jęk i szloch ludzki, ta płonąca na tle czarnego nieba rubinowa zda się wieżyca, szum pożaru, huk padających belek, i ten okropny dźwięk dzwonów, bijących w niebo z błagalną prośbą o ratunek, i to żałosne, przenikliwe zawodzenie syren fabrycznych. Zdawało się, że to chyba już koniec świata nastał. Posłano natychmiast depesze po straże pożarne do Warszawy i Łodzi. W tych miastach i innych, gdzie dotarła wiadomość o nieszczęściu, rozgrywały się wzruszające sceny: ludzie na ulicach padali na kolana, błagając Matkę Najświętszą, by swój przybytek ratować raczyła. „Jakto — wołano — Jasna Góra się pali! Więc gdzież my sieroty po pomoc, po łaski i pociechy pójdziemy, gdy nam tej świątyni nie stanie?" Jeden ogromny jęk boleści podniósł się w niebo z całej Polski: „Ratuj

Jasną Górę, Maryo, bo zginiemy!" Tak samo modliły się tysiące pielgrzymów, zebranych u stóp płonącej wieży. I zmiłowała się Królowa z Jasnej Góry, ulitowała się, widząc ten ogólny ból Narodu, osłoniła kościół i kaplicę, ten święty Syon, Jej czci od wieków poświęcony. I stał się cud: 4 słupy potężne ośmio-metrowe, na czterech rogach wieży stojące, które, gdyby spadły w kierunku świątyni, zmiażdżyłyby sklepienie — te cztery słupy spadły wszystkie w jedno miejsce zdala od kościoła i kaplicy. Jedno westchnienie wdzięczności wydarło się z piersi dziesiątek tysięcy ludzi, patrzących na ten jawny cud.

Wkrótce ugaszono zgliszcza wieży, a straże pożarne z Warszawy i Łodzi cofnięto z drogi, jako już niepotrzebne, bo świętemu miejscu niebezpieczeństwo grozić przestało.

Na miejsce spalonej wieży zbudowano w przeciągu 6 lat nową, wyższą, piękniejszą z kamienia i żelaza i króluje ona nad Częstochową, podnosząc umysły i serca do Boga.

*

W kronikach zanotowano takich cudów 42.

Rozdział XVI.

MARYA WSPOMAGA TYCH, CO ZE CZCIĄ NOSZĄ JEJ MEDALIK LUB WALCZĄ POD JEJ SZTANDAREM.

1. W wojnach z Turkami od roku 1590 do 1620, czyli przez lat 30, ogólnie znany był z waleczności i iście lwiej odwagi pułkownik Mikołaj Moczarski. Gdzie najwięcej zażarty bój, gdzie najsroższa walka, tam napewno był IMP. pułkownik. Ten nieustraszony rycerz nie znał, co trwoga. Pierwszy wyruszał na plac boju, ostatni zeń schodził. Wielekroć razy znajdując się w niebezpieczeństwie utraty życia, przez większą liczbę nieprzyjaciół osaczony, ducha nie tracił i zawsze zwycięsko wychodził. W pośród gradu kul i gęsto wymierzonych ciosów nietknięty zostawał. Zabito pod nim kilkanaście koni, lecz jemu i włos z głowy nie spadł. Bywało, że wraże kule rozszarpywały na nim odzież, mimo to on szwanku żadnego nie poniósł. Pytano go, skąd czerpie taką odwagę i co go od kul chroni, czyby talizman jakiś? A on odpowiedział: „Chcecie wiedzieć co mnie od ran i śmierci bezpiecznym czyni? Oto Panienka Najświętsza Częstochowska, do której gorący afekt od zarania dni moich czuję, oto Jej puklerz

przezacny — medalik na piersiach zawieszony — to moja obrona i to, że zawżdy z sumieniem czystem do każdej bitwy stawam". Tak wyznał szlachetny rycerz, a takich wówczas w naszej Polsce wielu było.

*

2. W roku 1672 przybył na Jasną Górę IMP. Adam Strzałkowski z wielu wiarogodnymi świadkami i zeznał, co następuje:

Walcząc pod królem Sobieskim, w jednej z bitw odcięty przez wrogów od wojska, wzięty był w niewolę. Jeden z Tatarów już podniósł w górę szablę, by go ściąć. Widząc przed sobą pewną śmierć, przycisnął rycerz do piersi medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, który zawsze na sobie nosił, i począł Ją gorąco na ratunek wzywać, oddając się w Jej pieczę całkowicie. I oto w tejże chwili stał się cud: Tatarowi poczynają drżeć ręce i, nie mogąc szabli utrzymać, upuszcza ją na ziemię. Zawstydzony swą niemocą, nie znając jej źródła, udaje przed jeńcem, że nie chciał go zabić, tylko tak go straszył i że mu życie daruje. Lecz po pewnym czasie, szaloną złością uniesiony, podnosi ów Tatarzyn szablę po raz wtóry, by mu głowę uciąć, aliści w tym momencie znów czuje to samo drżenie i osłabienie rąk i znów szablę wypuszcza z dłoni. Teraz przestraszył się tym powtórnym objawem czegoś niezwykłego i zrozumiał, że jakaś moc z góry nie pozwala mu jeńca tknąć; puszcza więc natychmiast

rycerza na wolność. I wrócił Adam Strzałkowski do Ojczyzny, lecz nie spoczął, gdyż wkrótce w Jej obronie wziął udział w wojnie z Turczynem. W zaciętej bitwie pod Cudnowem ugodziła go w serce kula: widział rycerz pocisk, lecący ku niemu, czuł i słyszał srogie uderzenie w pancerz, lecz z konia się nie zwalił; dotyka ręką miejsca ugodzonego — dziura w metalowej kolczudze jest; nie czując jednak żadnego bólu, walczy dalej. Po bitwie bada, jak się właściwie z tą kulą miało, i wzruszony niezmiernie widzi, iż pocisk przebił pancerz i zatrzymał się na medaliku Najświętszej Panny Jasnogórskiej, zostawiając na nim ślad uderzenia, a potem zsunął się na ziemię, nie uczyniwszy mu zgoła żadnej krzywdy. Widząc to, wszyscy towarzysze, jako świadkowie tego cudu, z nim razem wielbili Imię Maryi Częstochowskiej.

*

3. Andrzej Jeżowski, pułkownik wojsk polskich, nosił zawsze na swej piersi ryngraf Matki Boskiej Częstochowskiej, nigdy się z nim nie rozstając. W bitwie pod Wojniłowem w r. 1677, mając pod sobą 1500 rycerzy, wyruszył przeciw dziesięciotysięcznej armji, złożonej z Turków i Tatarów. Nie poszczęściło mu się i został wzięty do niewoli, gdzie znosił okrutne udręczenia. Głodzono go, lżono strasznie i trzy razy w tygodniu katowano, dając mu 25 pałek za każdym razem. Gdy go po raz pierwszy do bicia rozbierano, zauważyli oprawcy na piersiach jego zawieszony ryn-

graf. Złością uniesieni, złorzecząc mu strasznie, medaljon zerwali i na większe pohańbienie rzucili między konie. Na błagania nieszczęśliwego, by mu jego skarb zwrócono, odpowiedzieli przekleństwy i obelgami; nic nie pomogły łzy i prośby: zamiast ryngrafu otrzymał razy dotkliwe. Skatowanego bezlitośnie rzucono na barłóg w więzieniu. Nie mając co do piersi z nabożeństwem przycisnąć (a zawsze tak w udręczeniu czynił, wielkiej pociechy z tego doznając), począł błagać Matkę Zbawiciela, Jasnogórską Panienkę, by mógł choć na Jej wizerunek jaki popatrzeć i tem swoje bóle i cierpienia duchowe ukoić. Zaledwie zdążył swą prośbę wyrazić, a już ujrzał obok siebie leżący ukochany ryngraf. Porwał go, miłośnie do serca tuląc, i, łzami radości oblawszy, natychmiast na piersiach zawiesił. Zobaczył to dozorca jeńców, okrutny Tatarzyn, i klnąc strasznie, chciał medaljon pułkownikowi z szyi zerwać. Widząc to wszystko i upatrując w powrocie ryngrafu cud (co zresztą słusznem było), jeden ze starszych Tatarów zabronił dozorcy zrywać medaljonu, i rzekł: „Pozwól, by ten nieszczęśliwy oddawał cześć swojemu Bogu, jak my oddajemy swojemu". Po tym oczywistym dowodzie opieki Maryi, nikt mu już jego skarbu nie zabierał, a wkrótce cudem uwolniony z niewoli, do Warszawy wróciwszy, całą tę sprawę przed królem Janem III i senatorami opowiedział.

*

4. Na Jasnej Górze zeznał rycerz Franciszek Tworzewski o opiece Maryi przez medalik, co następuje:

Działo się to pod Poznaniem dnia 29 września 1704 r. Wojska polskie, w których zeznający był oficerem, pod naporem przeważających liczbą wojsk szwedzkich musiały uchodzić. Jedyna droga prowadziła przez Wartę. W wielkim pośpiechu wskakiwano do rzeki. Dziewiętnastu już przed nim poszło na dno. On, party przez wrogów, choć widział pewną śmierć, skoczył w pełnej bojowej zbroi do wody. Natychmiast znalazł się w niebezpieczeństwie, bowiem zestraszone konie tłoczyły się jeden na drugiego, wzajemnie sobie przeszkadzając — o wyratowaniu nie było mowy. „Polecając — tak to sam opowiadał — ducha swego w ręce Boga, w dziwny sposób ujrzałem obraz Matki Najświętszej Częstochowskiej bardzo wyraźnie; wtedy wspomniałem, że taki sam obraz mam na piersiach, więc przycisnąłem go do serca i w tej chwili, jakby z ciężkiego snu się obudziwszy, pod Jej opiekę się oddałem. Walka trwała, a nad głową moją ciągle kule świstały. Co dalej było — nie wiem, dość, że zanurzony w wodzie, ciągle miałem obraz Matki Boskiej przed oczyma, daleko od brzegu uchwyciłem się jakiegoś korzenia i tak przetrwałem do końca bitwy. Żołnierze mnie wyciągnęli bez żadnej rany."

*

5. W bitwie pod Belgradem w roku 1717 po stronie austrjackiej walczył pułkownik Ignacy Zawisza, Polak. W pewnej chwili uczuł silne uderzenie w piersi i, oszołomiony tem, spadł z konia. Padając, resztką świadomości wezwał serdecznie Matkę Boską Częstochowską na pomoc. I wysłuchała Najświętsza Panna, ratując go w zgiełku bitwy od niechybnego stratowania. Pułkownik odzyskał nagle przytomność, nabrał sił i, podniósłszy się zdrowy zupełnie, ujrzał, że kula, godząc w serce, trafiła w ryngraf, który zawsze nosił zawieszony na szyi, i tam została utkwiona, nie czyniąc żadnej rany. W tejże bitwie raniono pod nim konia, który padając przygniótł go swoim ciężarem i po raz drugi śmierć mu w oczy zajrzała. Ścigający go Turcy z dobytemi mieczami znajdują się tuż przy nim, a on się podnieść i uciec nie może. Lecz Marya i teraz przybywa mu na ratunek: zaciemnia jasność wzroku wrogów i ci przebiegają mimo, nie widząc go zgoła, a IMP. Zawisza ukrył się i nocą do swoich szczęśliwie przeszedł. Minęło parę tygodni od tych wypadków. Pewnego razu kolega pułkownika, zagorzały heretyk, ujrzawszy na szyi jego ryngraf, począł szydzić z jego pobożności, mówiąc, że nosi „niepotrzebny ciężar". Zaledwie dokończył bluźnierstwa, aż oto koń jego, dostawszy nagle szaleństwa, począł biec naoślep w stronę jarów i przepaści, unosząc z sobą jeźdźca. Powstał nieopisany krzyk, koń biegł jak strzała, a nikt go nie był w stanie powstrzymać. Heretykowi groziła pewna śmierć. Lecz pułkow-

nik, nie tracąc chwili czasu, wyjmuje wyszydzany przed chwilą ryngraf, błogosławi nim ponoszonego rycerza i gorąco się do Matki Boskiej Częstochowskiej modli, polecając jej opiece nieszczęśliwego. Naraz koń zrzuca z siebie jeźdźca, a sam wpada w przepaść i ginie. Gdy koledzy pośpieszyli na ratunek, zastali heretyka leżącego w ranach śmiertelnych, choć jeszcze dyszącego, a wtedy bierze pułkownik ów „niepotrzebny ciężar", dotyka nim ran bluźniercy, które się momentalnie goją. Uratowany, a następnie i uzdrowiony tak cudownie heretyk nawraca się i staje się gorliwym czcicielem Maryi.

W roku 1719 pułkownik Ignacy Zawisza, jadąc z Wiednia na Litwę, zatrzymał się w Częstochowie, aby Matce Najświętszej Jasnogórskiej za tyle łask podziękować i powyższe zeznanie złożyć.

*

6. Pewnego dnia roku 1743 na jednej z ulic Sieradza rozległ się przejmujący krzyk. Przerażeni mieszkańcy, nie wiedząc co się dzieje, wybiegli na ulicę. Oczom ich ukazał się okropny widok: ujrzeli leżącą na ziemi niewiastę, Maryannę Michalską, zbroczoną krwią, a nad nią rozwścieczonego psa, znanego ze swej dzikości i siły. Rzucono się na ratunek, odpędzono rozjuszone zwierzę, a do ciężko poranionej niewiasty wezwano chirurga. Ten przybył, rany opatrzył, lecz krwi, ciągle płynącej, zatamować nie zdołał. Na nic się zdały wszelkie środki, krew broczyła ciągle i by-

łaby wszystka wypłynęła, powodując pewną śmierć, gdyby nie szczęśliwa myśl pokaleczonej. Miała ona na sobie medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, bierze więc go, zdejmuje, a dotykając nim ran, modli się żarliwie o uzdrowienie i natychmiast krew płynąć przestaje, a wkrótce i rany się zabliźniają.

*

7. Wielce nabożny IMP. Tomasz Stanisław Wolski wybrał się w roku 1753 wraz z wielu innymi podróżnymi do Jerozolimy dla zwiedzenia miejsc świętych. Początkowo pogoda dopisywała, lecz później wiatry się zmieniły i wkońcu zaskoczyła ich burza tak gwałtowna, że zatrzymali się obok wyspy Tenedos, bojąc się płynąć dalej. Tam przebyli kilka dni, czekając, aż burza ucichnie. Jakoż wkrótce uspokoiło się morze o tyle, że mogli puścić się w drogę. Nie długo jednak trwała pogoda: zerwała się straszna burza, a że już byli na pełnem morzu, nigdzie więc się przed nią schronić nie mogli.

Morze szalało, bałwany raz po raz pokrywały cały okręt tak, że podróżni myśleli, iż już na zawsze pod wodą zostaną. Oczekiwano ze zgrozą śmierci, ale znajdował się na okręcie jeden jedyny człowiek, który nadziei ocalenia nie tracił: był nim Tomasz Stanisław Wolski. Ten zacny mąż, do Matki Najświętszej Częstochowskiej bardzo nabożny, miał na piersi swej obrazek Najświętszej Panny Jasnogórskiej, z którym się nigdy nie roz-

stawał. Gdy więc ujrzał grożące jemu i towarzyszom podróży niebezpieczeństwo, w słowach pełnych siły natchnął ich ufnością do Maryi Niepokalanej. Następnie zdjął z siebie obrazek i, pełen wiary w pomoc Matki Najświętszej, pobłogosławił nim morze i tę stronę nieba, z której szła burza, i o dziwo, zaledwie to uczynił, uspokoiły się rozszalałe żywioły, zmieniły się wiatry i cudna nastała pogoda. Widząc to, wszyscy w serdecznych słowach chwalili Imię Panienki Częstochowskiej. Odtąd do końca podróży obrazek ten, zawieszony na okręcie, był otoczony powszechną czcią.

*

8. Pewna niewiasta z Krakowa (nazwisko umyślnie zatajone) miała męża wielce niegodziwego. Człowiek ten był gwałtownego charakteru, przytem marnotrwany bardzo, a co najgorsze — cudzołożnik. Biedna niewiasta przez długi czas cierpliwie to znosiła, modląc się tylko za niego. W roku 1755 tak się mężowi już żona sprzykrzyła i tak mu w jego złem życiu na przeszkodzie stała, że postanowił ją otruć, aby raz na zawsze jej się pozbyć. Wystarał się więc o jakąś gwałtowną truciznę i dnia 6 stycznia, w dzień święta Trzech Króli, postanowił zamiar swój spełnić. Pobożna niewiasta wstała w tym dniu wcześnie, a chcąc swobodnie uczestniczyć w solennych nabożeństwach, już z rana ugotowała zupę na obiad, a potem poszła na wotywę i sumę do kościoła Maryackiego. Tam w rzewnych gorących modłach po-

lecała męża Matce Najświętszej Częstochowskiej, do której miała specjalne nabożeństwo, i prosiła serdecznie o łaskę nawrócenia dla niego. Nabyła też sobie piękny medalik Matki Boskiej i zawiesiła na szyi. Gdy tak się modliła, mąż tymczasem, korzystając z jej nieobecności, wsypał truciznę do garnka z zupą, którą ona po przyjściu z kościoła miała spożyć.

Skończyło się nabożeństwo. Wraz ze wszystkimi wyszła i ta niewiasta ze świątyni. Gdy weszła do mieszkania, na jej spotkanie wybiegł pies, a radując się z powrotu swej pani, począł ją witać, skacząc na nią wesoło; próżno z dobrocią opędzała się odeń, skakał ciągle. Czując się dość głodną, wzięła do ręki garnek z zupą, a będąc jeszcze pod wpływem modłów, jakie niedawno w kościele zanosiła, spojrzała na wiszący w pokoju obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i pobożnie westchnęła, a pies, skacząc ciągle, wytrącił jej z ręki garnek, który upadł, rozbijając się w kawałki. Rzucił się pies na wylaną zupę i szybko ją pochłonął, lecz już za chwilę padł martwy u stóp przerażonej pani.

Takto Matka Najświętsza cudem obroniła ją od strasznej śmierci.

*

Tego rodzaju cudów kroniki Jasnogórskie zanotowały 33.

Rozdział XVII.

WODA ZE ŹRÓDŁA U ŚW. BARBARY I OLEJ Z LAMP W CUDOWNEJ KAPLICY UŻYWANE Z WIARĄ PRZYWRACAJĄ ZDROWIE.

1. W roku 1430 rozgorzały łuną pożarów okolice Częstochowy. To bezbożny husyta szedł na Jasną Górę po łupy, trupami i zgliszczami znacząc swój ślad. W klasztorze nie było zbrojnej załogi, to też padło wówczas kilku Ojców Paulinów, osłaniających mężnie własnemi piersiami świątynię od zbezczeszczenia. Niegodziwi heretycy, dostawszy się do klasztoru, zrabowali wszystkie kosztowności, a także i święty Obraz, który złożono na wozie, wypełnionym łupami. Wóz, zaprzężony w dwa silne, rosłe konie, skierowano w stronę południową. Lecz gdy do miejsca, gdzie teraz znajduje się kościół św. Barbary dojechali, konie bez żadnej przyczyny stanęły, nie chcąc iść dalej; okładano je biczami, zachęcano łagodnemi słowy, doprzężono wreszcie koni więcej, nic to nie pomogło, wóz nawet nie drgnął z miejsca. W końcu, dla ulżenia ciężaru zrzucono na ziemię Obraz Maryi, a jeden ze zbirów, wyjąwszy miecz, dwa razy uderzył z mocą w Najświętsze Oblicze, zostawiając dwa ślady. Pod silnemi ciosami Obraz rozbił się na trzy części, bo

z tylu był złożony. Nie poprzestając na tem, husyta chciał uderzyć po raz trzeci, lecz gdy uniósł miecz w górę, z jasnego nieba padł nieoczekiwanie piorun i położył go trupem na miejscu. Towarzysze jego, przerażeni okropnie, w popłochu uciekli.

Gdy rozproszeni Ojcowie powrócili do klasztoru i ujrzeli brak Cudownego Wizerunku, pełni trwogi, modląc się poszli śladami rabusiów i znaleźli Obraz święty rozbity, okaleczony i błotem okryty. Przerażeni tym widokiem, szukali wody, chcąc obmyć błoto, ale nigdzie choćby najmniejszego strumyka, studni, czy nawet kałuży nie znaleźli. Padli więc na kolana i, płacząc rzewnie, przepraszali Boga za zniewagę, wyrządzoną świętemu wizerunkowi, i wyrażali swój żal, że nie mają wody na obmycie go. I okazał Pan swą łaskę. Na Jego skinienie wytryskuje nagle obok nich maleńkie źródełko czystej, jak kryształ wody. Uszczęśliwieni tym cudem, Ojcowie Paulini obmywają w niem Obraz i tenże na Jasną Górę z wielką czcią odnoszą.

I odtąd woda ta staje się źródłem wielkich łask, jakie Matka Najświętsza na ludzi przez jej użycie spuszcza. Na pamiątkę zaś tego cudu, najpierw stawiają tu krzyż drewniany, a potem murowaną kaplicę. Kardynał Maciejowski, biskup krakowski, wyznaczył pewną sumę na postawienie okazałej kaplicy, lecz śmierć go zaskoczyła i nie dokonał nic. Dopiero księżna Lubomirska kazała

to miejsce murem otoczyć, a O. Andrzej Gołdonowski w wieku XVII wzniósł tu kościół św. Barbary i rozbudował kaplicę, w której mieści się źródło. Obecnie jest na tem miejscu studnia, z której wodę pielgrzymi czerpią.

*

2. Gdy w roku 1620 panowała w Polsce morowa zaraza, nie ominęła też i Częstochowy. Nie było domu, w którymby nie leżały ciała pomarłych na tę okropną chorobę. Tysiące już ludzi padło, a jeszcze tysiące walczyły ze śmiercią. Między tymi ostatnimi znajdowała się i Helena Zajączkiewiczówna, dziewczę 20 letnie, córka mieszkańca Częstochowy Jakóba Zajączkiewicza. Panienka, leżąc w okropnych wrzodach, była już konająca, gdy matka jej, tknięta świętą myślą, pobiegła szybko do świętego źródełka, a przyniósłszy tej cudownej wody, pokropiła nią chorą. Zaledwie woda dotknęła się ciała dziewczyny, natychmiast popękały straszne wrzody, wylała się z nich obficie rozkładająca organizm materja, a następnie i rany po wrzodach cudem się zabliźniły i Helena wstała zupełnie uleczona, dziękując Panience Jasnogórskiej za cud.

Takiej łaski dostąpiło wówczas bardzo wiele osób, które, bądź to pijąc, bądź omywając się tą wodą, od zarazy wyleczone, czy uchronione zostały.

*

3. Wit Kanka ze Śląska, poddany pewnego pana, wyznawcy sekty Lutra, miał serdeczne nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej i często Ją na Jasnej Górze odwiedzał, za każdym razem przynosząc wodę ze źródła od św. Barbary. Gdy w roku 1627 padła na bydło jakaś zaraza, tak że naokoło wsi, w której mieszkał Kanka, i w tejże wsi, wszystko bydło padło z wielką stratą dla mieszkańców. Kanka, widząc co się dzieje, pełen ufności w pomoc Maryi, kropi swe bydło cudowną wodą ze źródełka i oto jego krowy żywe i zdrowe zostają. Następnego roku, gdy znów w okolicy podobna zaraza bydła panowała, Kanka, któremu się już święta woda wyczerpała, zwrócił się do swego pana z prośbą, by mu pozwolił do Częstochowy się udać. Pytał go pan, poco tam idzie, a dowiedziawszy się, że po wodę, chciał wiedzieć, co go w zeszłym roku uchroniło od zarazy. Wtedy rzecze wieśniak: — „To Matka Najświętsza z Jasnej Góry za użyciem tej wody ze źródełka cuda czyni, a oto i mnie moje krowy, pokropione cudowną wodą, żywo zachowała". Zdziwił się pan i powiada: „Więc i mnie owej wody przynieś". Obiecał Kanka i wkrótce wróciwszy z Jasnej Góry, panu wodę wręczył. I stało się, gdy pan, choć luteranin, z wiarą w pomoc Maryi, bydło tą wodą pokropił, ani jedna sztuka mu nie padła, podczas gdy naokół wszystko ginęło. Wzruszony tym cudem, nawrócił się on heretyk do wiary katolickiej.

*

4. Wojewodzina czernihowska, księżna Lubomirska z domu Mniszchówna, przez ośm lat cierpiała na jakąś dolegliwą słabość, która ją bardzo trapiła. Do tego dołączyła się jeszcze febra, trzęsąc ją ustawicznie. Codzień księżna czuła się gorzej. Lekarze znakomici i leki przeróżne przez nich zalecane nic jej nie pomagały. Martwiła się wojewodzina, a chcąc się pocieszyć duchowo, do Częstochowy w roku 1744 pojechała, gdzie kilka dni na gorącej modlitwie i dobrych uczynkach spędziła. Słysząc wiele o cudownych własnościach wody ze źródła od św. Barbary, po onąż wodę tam się pewnego dnia wybrała. Przyszedłszy na miejsce, była świadkiem przedziwnych scen tam się rozgrywających. Oto obok źródła zgromadziło się wielu pielgrzymów, a każdy przybył po cudowną wodę, ten w butelkę czerpie, ów kubkiem nabiera, tamta jakąś banieczkę napełnia, by było dla niej, dla krewnych, a nawet znajomych. Tu matka dziecinie chore oczęta przemywa, tam ktoś rany okropne z wielką wiarą zlewa, tu znów ktoś, pobożnie wzdychając, na bóle wewnętrzne świętą wodę pije, a każdy ożywiony jest tak wielką wiarą, iż ona udziela się księżnie; podchodzi więc do źródła i, zaczerpnąwszy, pije z wielką ufnością w pomoc Maryi. I o cudzie, zaledwie trochę przełknęła, wnet ulgi doznała. Uczuła, że niemoc z niej uchodzi, cierpienie znika, a febra trząść przestaje. Marya Jasnogórska księżnę na zawsze z zastarzałych cierpień cudownie uleczyła.

*

5. W roku 1752 córka Jana Langhammera, z Górnego Śląska z miasta Olbendorffu, Marya Teresa, dziewczyna dotąd zdrowa i tęga, nagle zachorowała na jakąś dziwną chorobę. Całe ciało bez żadnej wiadomej przyczyny poczęło gnić do tego stopnia, że zalęgły się w niem robaki, tocząc nieszczęśliwą za życia. Nie pomogły przeróżne, a często wymyślne leki, choroba ciągle się zwiększała. Trzy lata przeleżała Teresa w łóżku, cierpiąc wprost nieludzkie męki, które tylko do ciągłego konania przyrównać się dały. Cierpieli i rodzice, nie mogąc patrzeć na jej boleści. I doszło do tego, że i oni i chora poczęli już pragnąć, by Bóg choćby śmiercią zakończył raz te katusze. Z porady jednej z sąsiadek zaczęli odprawiać nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej, by Bóg za Jej orędownictwem okazał swą wolę, czy to zabierając nieszczęśliwą do swej chwały, czy to udzielając jej zdrowia; w razie uzdrowienia chorej ślubowali pielgrzymkę do Częstochowy. Następnie, pełni wiary i ufności w pomoc Najświętszej Panny Jasnogórskiej, wzięli wody z cudownego źródła i modląc się gorąco, poczęli obmywać zgniłe, cuchnące ciało. Skutek był natychmiastowy. Marja Teresa odrazu poczuła niewypowiedzianą ulgę. W przeciągu tygodnia wstała zupełnie zdrowa, a ciało jej dotąd wstrętne, wyglądające jak jedna rana, stało się świeże i czyste. Tylko jako pamiątka cierpień i cudownego uzdrowienia pozostało jej utykanie na jedną nogę wskutek ściągnięcia nerwu.

Dnia 15 sierpnia 1755 r. przybyła uzdrowiona na Jasnę Górę wraz z ojcem, by Matce Najświętszej Częstochowskiej za cud dzięki złożyć.

*

6. Matka ośmiorga dzieci, Marjanna Gębicka z Sandomierza, w 1725 roku zachorowała. Trudno sobie wyobrazić jej moralne cierpienia, jakie obok fizycznych znosiła, gdy widziała tak liczną, a ukochaną gromadkę piskląt pozbawioną jej czułej i troskliwej opieki matczynej. Serce jej pękało, gdy widziała je zaniedbane i smutne, jak z trwogą na swą kochaną mateczkę patrzały. Wszelkie środki, które jej stosowano, żadnej ulgi nie przynosiły. I dnia 2 lutego, w święto oczyszczenia Najświętszej Panny, chora dostała tak silnej gorączki, że w oczach wprost nikła, a wkońcu zupełnie przytomność straciła i w agonję wpadła. Rodzina już poszła trumnę i grób zamówić, a konającą obstąpiło ośmioro dzieci z płaczem i krzykiem. Jedna z obecnych tam sąsiadek, Anna Krupińska, osoba bardzo zacna, która już w swoim czasie cudu od Matki Boskiej Częstochowskiej doznała, widząc, że tu już nic ludzie poradzić nie mogą, przyniosła trochę oliwy z Jasnej Góry i, błagając z wielką wiarą Maryę Jasnogórską o uzdrowienie, potarła nią blade usta umierającej. A w czasie tego wszyscy obecni wraz z mężem i dziećmi na kolanach Matkę Najświętszą prosili o ratunek. I oto po półgodzinnych modłach, chora otwiera oczy i zupełnie przytomna wstaje z łóżka, prosząc,

by jej szybko podano jedzenie, gdyż czuje ogromny głód. Uszczęśliwione dzieci, Najświętszej Uzdrowicielce serdeczne dzięki składając, podają matce pożywienie. I odtąd choroba całkowicie ustąpiła.

*

7. Wacław Rakabicki, student Akademji krakowskiej, cierpiał bardzo na gruczoły, które się na jego szyi wytworzyły. Nadomiar złego porobiły mu się potem ogromne i niezmiernie bolesne wrzody na ustach i twarzy, oszpecając wielce młodzieńca. Trapił się tem chłopiec, gdyż wszelkie środki przezeń używane nie skutkowały. Był to jednak człowiek religijny i postanowił poszukać pomocy u Matki Najświętszej w Częstochowie. W 1727 roku przybył na Jasną Górę i, padłszy na kolana z gorącością ducha połączoną z bezgraniczną ufnością, począł się modlić, prosząc o ratunek na swoją niemiłą dolegliwość. W czasie tej modlitwy, gdy zwrócił oczy na Obraz, ujrzał za kratą wiszące lampki olejne. Jednocześnie uczuł, jak jakaś tajemnicza siła podnosi go z kolan i, prowadząc w stronę lampki, każe mu umoczyć palec w oliwie. Czyni to wszystko student, jakby nieprzytomny, zanurza palce w oliwie, bezwiednie pociera niemi twarz i szyję i w tym momencie odzyskawszy świadomość, czuje jak pod jego palcami nikną gruczoły, ustępuje ból, pękają wrzody, materja się wylewa i natychmiast zabliźniają się rany i młodzieniec zostaje cudownie uzdrowiony. Wdzięcz-

ny za tę łaskę, serdecznie dziękuje Panience Jasnogórskiej i śpieszy do zakrystji, gdzie fakt ten zeznaje i przysięgą potwierdza.

*

8. Żonę Błażeja Kraszko z Łańcuta, Annę, oczy od pewnego czasu bolały. Leczyła się ciągle, ale bezskutecznie. W roku 1748 widziała już bardzo słabo i tylko z bliska, a lekarze ostatecznie orzekli, iż choroba jej jest nieuleczalną i Anna wkrótce zupełnie wzrok straci. Odwiedziła w tym czasie chorą Marjanna Konuszewiczowa z Lubaczowa, która później cały ten fakt pod przysięgą zeznała. Zastała w tej rodzinie wielkie przygnębienie. Żaliła się Anna, że niedługo kompletnie kaleką zostanie, że już ni męża, ni dzieci, ni słonka jasnego nie zobaczy. Mąż chorej, człowiek pobożny, nie mógł patrzeć na cierpienie i troskę swej żony. Nic jej już biedak poradzić nie umiał, wszystkie bowiem ludzkie środki wyczerpane zostały. Naraz, jakby myślą jakąś tknięty, wybiegł z domu. Gdy po chwili wrócił, niósł w ręku z wielką czcią i ostrożnością maleńką flaszeczkę. Na pytanie gdzie był i co tak troskliwie niesie, odpowiedział, iż przypomniało mu się, że sąsiadka ich, będąc niedawno w Częstochowie, przywiozła z kaplicy Matki Boskiej trochę oliwy i właśnie on ją prosił o udzielenie odrobinę tego cudownego leku. Następnie Błażej, pomodliwszy się gorąco, począł z wielką wiarą namaszczać oczy swej żony.

I o dziwo, z chwilą, gdy oliwa zwilżyła chore źrenice, znikła na zawsze mgła, która dotąd wzrok przesłaniała, i Anna zupełnie uzdrowioną została. Panna Najświętsza Jasnogórska nagrodziła żywą wiarę pobożnego i dobrego męża.

*

9. Stało się to w 1753 roku w miasteczku Ropczycach w Małopolsce.

Jak najzdrowsza wyszła z domu Marjanna Blayczelska i nagle uczuwszy w lewej nodze i prawej ręce straszliwy ból, zachwiała się i jakby piorunem rażona padła na ziemię, tłukąc się dotkliwie. Podniesiono ją zaraz i położono na łóżku. Zawezwany lekarz stwierdził nieuleczalny paraliż. Widmo strasznego kalectwa stanęło przed Marjanną. Rodzinie i krewnym z rozpaczy ręce opadły. Taki okropny cios ich dotknął i tak niespodzianie! W swem ciężkiem strapieniu byli bezradni. Jeżeli już lekarze nie poradzili, to któż poradzi, któż pomoże? chyba nikt. Lecz nie wszyscy tak beznadziejnie myśleli. Znalazł się ktoś bardzo ufny w pomoc Matki Najświętszej Częstochowskiej. Osoba ta postarała się o oliwę z cudownej kaplicy i potarła nią z wielką wiarą rękę i nogę sparaliżowanej. Po tym pobożnym zabiegu chora, nadzieją uzdrowienia pokrzepiona, usnęła natychmiast. A oto we śnie ukazuje jej się Najświętsza Panna Jasnogórska w towarzystwie błog. Ojca Sackandra i tak

do niej dobrotliwie rzecze: „Marjanno, ja ciebie uzdrowiłam, wstań". — Budzi się chora i zupełnie zdrowa z łóżka wstaje.

*

Kroniki Jasnogórskie notują takich cudów 52.

Rozdział XVIII.

MARYA UKAZUJE SIĘ WIDOMIE SWYM CZCICIELOM I PRZYNOSI IM ZDROWIE, WOLNOŚĆ I POCIECHĘ.

1. Działo się to R. P. 1552. Na hucznej uczcie u IMćPana Stefana Wodyńskiego bawił się świetnie chorąży Mikołaj Boglewski. Potrawy i wino były wyśmienite, więc czas schodził wesoło. Późną już nocą wracał do domu konno chorąży w towarzystwie sług. Będąc doskonałym jeźdźcem, puścił cugle wolno. Pan jechał pierwszy, znacznie wyprzedzając towarzyszy. A przejeżdżali wówczas przez ciemny las. Naraz na drodze koń spostrzegł zwalone drzewo, a chcąc je przesadzić, w gwałtownym skoku zrzuca z siebie IMćPana Mikołaja, sam się potyka i pada, całym swym ciężarem przygniatając leżącego. Gdy przestraszeni słudzy nadjechali i, podźwignąwszy konia, wydobyli pana, spostrzegli, iż nie daje znaku życia. Serce bić przestało, oddech zamarł, a całe ciało było sztywne. Przerażeni rzucili się twarzą na ziemię i z płaczem poczęli wzywać na pomoc Maryę Częstochowską, ślubując w imieniu pana pielgrzymkę na Jasną Górę. Tymczasem chorąży, jak

to sam potem zeznał, leżąc jak martwy na ziemi, został otoczony przez jakieś straszne widziadła, które, naigrawając się z niego, srodze go męczyły. Rzucać się więc począł, jęcząc strasznie, co słudzy widzieli i słyszeli, a tak się przytem trząsł, jakoby duszę wytrząść chciał. Wtedy zjawiła się przed nim Najświętsza Panna Jasnogórska i, otoczywszy go swym płaszczem, precz one złe duchy odpędziła, a w serce mu otuchę i męstwo wlała. Po tem widzeniu, ku wielkiemu zdziwieniu i radości sług, podniósł się chorąży z ziemi i, żadnego cierpienia zgoła nie czując, w dalszą drogę się puścił. Wnet też na Jasnej Górze Cudownej Panience gorące dzięki za ocalenie od nagłej śmierci złożył, a w poczet konfratrów paulińskich się zapisawszy, hojnie się do fundacji nowego ich klasztoru przyczynił.

*

2. W pogodny dzień letni 1613 roku wybrała się księżniczka Anna Wiśniowiecka na samotną przejażdżkę łódką po głębokiej i bystrej rzece. Póki pogoda sprzyjała, księżniczka wiosłowała odważnie, rozkoszując się przejrzystą tonią, słońcem, powietrzem i myślą o tem życiu radosnem i szczęśliwem, które wiodła w domu kochających ją rodziców. Nagle wszystko się zmieniło. Powstał wicher, jasno-błękitne niebo pociemniało, a gładka powierzchnia wody poczęła się gniewnie marszczyć. Odbiegła księżniczkę odwaga. Przestraszona burzą, która się szybko zbliżała,

wypuściła z rąk wiosła i sama, zbytnio się przechyliwszy, w głębię wpadła. Biedna panienka nie umiała pływać, a na brzegu i na rzece nie było nikogo, ktoby ją mógł poratować. W tem niebezpieczeństwie księżniczka, która zawsze miała żywe i gorące nabożeństwo do Najświętszej Panny Częstochowskiej, zawołała z wielką wiarą i z całego serca: „O Panienko Jasnogórska, ratuj mnie!" Aliści jeszcze echo tych słów nie przebrzmiało, a już Matka Boska pospieszyła na ratunek swego dziecięcia. I jak niegdyś Boski Jej Syn wyprowadził z toni św. Piotra, tak i tu ujrzała dzieweczka Niepokalaną Maryę Częstochowską odzianą płaszczem świetlistym, otoczoną chwałą, z licem niebiańsko-promiennem, która, wziąwszy ją za rękę, jak po lądzie po wzburzonych falach na brzeg wyprowadziła.

Wkrótce potem księżniczka Niepokalanej Dziewicy na Jasnej Górze dzięki za uratowanie złożyła i tablicę srebrną z opisem cudu ofiarowała.

*

3. 36-letni Feliks Skiba dostał się w roku 1617 do niewoli tureckiej i tam był okropnie przez Turków męczony. Używano go do ciężkiej pracy, morzono głodem i często bito. Szczególniejsze zaś cierpiał prześladowania za to, że ich wierzeń przyjąć nie chciał. Żadne cierpienia, choćby najsroższe, wiary jego zachwiać nie mogły. Ciągle się do Królowej Częstochowskiej modlił z ufnością, pro-

Oblężenie Częstochowy w 1655 r.
Fresk na Wielkim Kościele.

sząc o siłę i męstwo przeciw wrażym zakusom. Spodobała się Najświętszej Pannie ta jego ufność i wytrwałość w świętej wierze. Pewnego wieczora, gdy się położył w swem podziemiu na spoczynek smutniejszy i bardziej zbolały niż zwykle (a miał codziennie ręce i nogi na noc skuwane), nagle zupełnie ciemna dotąd jego cela zajaśniała dziwnem światłem. Przesłonił oczy, nie mogąc znieść tego blasku, a oto coraz się widniej robi; naokół, zda się, wszystko w płomieniach goreje. W powietrzu roztoczył się zapach jakiś przedziwny, cudniejszy niżeli woń róż i lilij, i słyszeć się dały jakoby dźwięki arf, czy pień anielskich. Snuła się jakaś melodja niebiańska, jakoweś granie przewdzięczne... A potem z tych lśnień, woni i dźwięków spłynęła ku zachwyconemu tem wszystkiem Feliksowi postać niewieścia, spłynęła z górnych niebios sfer prześliczna, Niepokalana, jaśniejsza nad gwiazdy i słońce, Bogarodzica-Dziewica... zjawiła się biednemu jeńcowi Panienka Jasnogórska, a poprzedzało Ją dwóch aniołów z płonącemi pochodniami... I podeszła do więźnia Najświętsza Pani i, położywszy swą miłościwą dłoń na jego głowie, słodszemi nad miód i łagodniejszemi nad balsam słowami pocieszała go w smutku i cierpieniu, a znikając rzekła: „Nawiedź mnie, synu, na Jasnej Górze w domu moim." I na znak, że to rzeczywistość a nie sen tylko, na skinienie wszechmocnej ręki Maryi z rąk i nóg jego opadły ciężkie żelazne kajdany, drzwi się same z rygli i zamków otwarły,

a jeniec przeszedł pośród śpiących Turków. I przewędrował ów człowiek całą Turcję nie poznany przez ścigających go wrogów, i dostał się do Polski, a przyszedłszy na zaproszenie Matki Bożej na Jasną Górę, tam Jej swe pokorne i gorące dzięki za cudowne uwolnienie złożył.

*

4. W roku 1627 w czasie wojen religijnych w Niemczech miasto Gliwice na Śląsku oblegał Mansfeld, dowódca wojsk luterskich, a wróg cesarza rzymskiego. W wielkiej biedzie znalazły się wojska katolickie w obleganym grodzie: z powodu swej szczupłej liczby były pewne haniebnej przegranej, gdyż wrogów było bardzo wielu. W tem ciężkiem strapieniu pozostało im tylko udać się po ratunek do nieba. W tym celu zebrali się wszyscy kapłani, wodzowie, żołnierze i lud i w gorących modłach błagali Matkę Najświętszą Częstochowską, do której cały Śląsk miał zawsze wielkie nabożeństwo, o pomoc. Uroczyście oddali się wszyscy z całym dobytkiem swoim i całe miasto Gliwice pod opiekę Niebieskiej Królowej, ślubując, że jeśli ich z rąk wrogów wyratuje i da im zwycięstwo, to oni całem miastem pielgrzymkę do Częstochowy odprawią. I cóż się dzieje? Gdy po skończeniu błagalnych modłów udali się na swe obronne stanowiska, ujrzeli na niebie postać Najświętszej Panny Jasnogórskiej, jak płaszczem błękitnym osłaniała

miasto i obrońców. W mieście zapanowała nieopisana radość. Bezpieczeństwo ich było zapewnione. Gdy się tak w Gliwicach z cudownego widzenia radowano, w obozie heretyckim powstał strach i zamieszanie. Zobaczywszy Maryę Częstochowską unoszącą się nad oblężonymi, przerazili się niezmiernie i z wielkim krzykiem: „Gliwice pod opieką Wielkiej Niebieskiej Pani, próżne są nasze wysiłki!" poczęli w popłochu uciekać. A w mieście na znak radości uderzono we wszystkie dzwony, kto żył śpieszył do świątyni, by podziękować Maryi Obronicielce. Wkrótce potem wszyscy, którzy czuli się na siłach, poszli do Częstochowy z wielkiem weselem i w Cudownej Kaplicy na znak dziękczynienia złożyli zwycięską chorągiew na wrogu zdobytą. I znów ślubowali Maryi, że co roku na podziękowanie za to zwycięstwo na Jasną Górę z pielgrzymką pójdą. Dotrzymali słowa, lecz, gdy w roku 1754 zaniedbano ślubu, natychmiast Bóg przypomniał im to niedbalstwo w sposób dotkliwy. Oto w roku tym zboża w polu zniszczył im grad. Upomnienie poskutkowało i już odtąd zawsze byli wierni swemu ślubowi.

*

5. Wiosną 1639 roku wylała Warta. Nadbrzeżne pola, łąki i wsie znalazły się nagle pod wodą. Nocy krytycznej nad uśpioną ziemią wzniósł się w niebo krzyk trwogi i rozpaczy. Zerwawszy tamy, groźny żywioł parł naprzód, niosąc zniszczenie.

Jęk dzwonów wzywających na trwogę, ryk bydła i rozdzierające wołania tonących zmieszały się razem w jeden straszny dźwięk, a rzeka szła naprzód zwycięsko, nie bacząc na to. Na spienionych falach płynęły szczątki domów, kolebki z uśpionemi dziećmi, martwe zwłoki ptactwa domowego, wyrwane z korzeniami drzewa, sprzęty i statki domowe, tu i owdzie ktoś resztkami sił, czepiając się płynących przedmiotów, wzywał ratunku. Na drzewach, które się jeszcze nie zwaliły, siedzieli ludzie, na pół odziani i kurczowo przyciskając się do pni, ochrypłym z przerażenia i zmęczenia głosem wołali o pomoc. Krążyły wprawdzie gdzie niegdzie łodzie ratunkowe, lecz było ich za mało. A dzwony biły nieustannie i niósł się ich jęk rozpaczny szeroko, daleko w tej nocy zniszczenia.

Nad brzegiem Warty stał cichy, mały dwór, zamieszkały przez Stanisława Ostrowskiego. Zmęczony trudami pracowitego dnia, spał smacznie młody człowiek snem mocnym. W nocy zbudził go dźwięk dzwonów, rozpaczne krzyki i jakiś dziwny szum i chłód. Zerwał się z łóżka i nogi jego znalazły się w wodzie; przerażony wybiegł na dwór i ujrzał wszędzie, gdzie okiem sięgnął, wodę i wodę... Nie tracąc przytomności, skoczył do szopy, gdzie miał schowaną łódź, i wkrótce płynął po rwących falach rzeki. Wiosłował sprawnie, lecz wkońcu zabrakło mu sił. Silne nurty i spienione fale groziły mu zatopieniem. Nie poddał się jednak rozpaczy, lecz z wielką ufnością w gorącej modlitwie polecił się Matce Boskiej Częstochowskiej.

I oto nad wzburzonemi falami dziko szalejącej rzeki, na czarnem ponurem tle nocy ujrzał promienny... prześwietlony zda się słońcem... najmilszy sercu polaka-katolika... przesłodki obraz Bogarodzicy-Dziewicy, Maryi Jasnogórskiej... Od tego obrazu szedł ku niemu taki blask, taki spokój przedziwny, taka moc, że natychmiast skrzepił się na siłach i, wiosłując ze zdwojoną energją, niechybnej śmierci uniknął.

Minęło od tego czasu lat dziesięć. Stanisław Ostrowski żył szczęśliwie z rodziną swoją, gdy naraz choroba ciężka, śmiertelna powaliła go na łoże. Przygotował się pobożnie na śmierć i czekał z poddaniem się woli Boga na jej przyjście. Aliści w pewnym momencie staje przed nim starzec jakiś o czcigodnym wyglądzie i, pochylając się nad nim, szepcze łagodnie: „Zamknij oczy, synu, i śpij spokojnie!" Zniewolony tym głosem, zamknął oczy i ujrzał przed sobą Najśw. Pannę Częstochowską, która, zbliżywszy się doń w całym majestacie swej świętości i piękności, ujęła go za rękę i rzecze: „Wstań już z łoża i chodź!" W tej chwili otworzył oczy, a widzenie znikło. Gdy opowiadał o tem rodzinie, poradzono mu, aby złożył ślub pielgrzymki do Częstochowy; uczynił to czemprędzej i natychmiast wstał z łóżka cudownie uzdrowiony.

*

6. Koniuszy królewski na dworze Zygmunta III., Dominik Konwerski, pewnego dnia 1641 r. wyszedłszy z domu, przepadł bez wieści. Żona jego

Maryanna, bardzo pobożna niewiasta, niezmiernie się tem trapiła. Trzy miesiące nie dawał koniuszy wieści o sobie. Trzy miesiące spędziła biedna żona w trwodze, niepokoju i serdecznych modłach, męża swego w opiekę Maryi Jasnogórskiej oddając. Jednej nocy bezsennej, gdy się goręcej i dłużej modliła, ukazała jej się Najśw. Panna Częstochowska, jaśniejąca jak zorza, i rzekła głosem pełnym niebiańskiej słodyczy: „Nie smuć się, niewiasto, mąż twój żyje, wkrótce go zobaczysz, ale koronkę, na której mnie pozdrawiasz, zawiesisz na pamiątkę przy moim obrazie w Częstochowie." To powiedziawszy, Przeczysta Dziewica znikła z oczu Maryanny. Na drugi dzień rzeczywiście przyjechał mąż żywy i zdrowy, a żona, spełniając wolę Panienki Częstochowskiej, koronkę na Jasnej Górze w Cudownej Kaplicy zawiesiła.

*

7. Było to w roku 1645. Jedyne dziecię Marcina i Zofji Zalewskich, 12 letnia Urszulka, bawiąc się szpilką, połknęła ją. Na krzyk dziecka przybiegli rodzice, służba cała, a dowiedziawszy się z trudem od dziewczynki, co się stało, poczęli ją domowemi środkami skwapliwie ratować. Widząc, że nic nie pomaga, zawezwali lekarza, lecz i on nie mógł wyjąć utkwionej w gardle szpilki. Mimo to rodzice nie rozpaczają, ale udawszy się do osobnego pokoju, ze łzami padają na twarz i pogrążają się w modlitwie, wzywając na ratunek Matkę Bo-

ską Częstochowską. Gdy tak w żarliwych prośbach wylewali swe serce, naraz światłość jakaś przedziwna zalała cały pokój, a potem z tych cudnych blasków niebiańskich wynurzyła się Najsłodsza Panienka Jasnogórska, taka, jak w obrazie, i rzekła do rodziców: „Nie płaczcie już, modlitwa wasza została wysłuchana, dziecię będzie zdrowe." Nie wierząc swoim uszom i oczom, lecz pełni radosnej nadziei, biegną do córeczki i zastają ją w okropnym ataku kaszlu, a po chwili widzą, jak Urszulka, krztusząc się, wyrzuca gwałtownie z ust pokrzywioną i pokrwawioną szpilkę.

Wdzięczni za cud ten, rodzice wkrótce wraz z córeczką na Jasną Górę przybyli, aby Niebieskiej Lekarce podziękowanie złożyć.

*

8. Anna Rozalja Pormin z Bendczyna w Niemczech, od dziesiątego roku życia była pokryta ogromnemi wrzodami. Przez lat 8 cierpiała na nie wielce. Wszelkie starania czyniono, by ją wyleczyć. Biegli lekarze urządzali narady co robić, by przynajmniej ulgę chorej przynieść, a w końcu, nie znajdując innego środka, orzekli, że chcąc uratować dziewczynę, trzeba odjąć prawą nogę, z której zaraza szła na całe ciało. Ale rodzice ani słyszeć nie chcieli o amputacji, a i Anna, przestraszona tą decyzją lekarzy, wolała raczej cierpieć, niż poddać się operacji. Ta pobożna panienka postanowiła nie szukać już więcej pomocy u ludzi, lecz

u Matki Boskiej Bolesnej i po całych dniach i nocach, które z bólu wielkiego bezsennie spędzała, modliła się serdecznie, ślubując w razie uzdrowienia odbyć pielgrzymkę do jakiego świętego miejsca. Minęło parę dni na tych gorących modłach. Gdy naraz w nocy dnia 29 września 1675 r. zdumionym oczom dziewczyny ukazała się w świetnych blaskach Pani jakaś. Twarz Jej ciemna, na policzku prawym dwie blizny od cięcia mieczem, oczy słodkie i miłościwe, płaszcz błękitny w gwiazdy iskrzące usiany, na głowie korona, a na łonie Dzieciątko. Domyśliła się Anna, że to Matka Boska, bo jej kochające serce to odczuło, bo jej czysta dusza to poznała, lecz w takiej postaci jeszcze Jej nigdy na obrazie żadnym nie widziała. Patrzy dziewczę na Najśw. Pannę i napatrzeć się nie może. I rzecze do niej Marya: „Jestem Królową z Jasnej Góry, udaj się do Częstochowy, a zostaniesz udrowioną!" I znikło widzenie. A dziewczyna jeszcze się więcej zdumiewa, bo takiej góry nie znała, ani o istnieniu takiego miasta nie wiedziała. Rano mówi wszystkim o tem widzeniu i pyta, ktoby znał Częstochowę, lub taki, jak opisała, obraz. Nikt nie wiedział i wszyscy to brali za urojenie chorej. Lecz następnej nocy powtórzyło się widzenie i rano po raz wtóry Anna się dowiaduje, czy ktoś o takiem cudownem miejscu czego nie wie. I znalazła się osoba, która słyszała o Częstochowie i o Cudownej Lekarce, tam królującej od wieków. Ucieszyła się panienka; teraz jest pewna,

że to, co widziała i słyszała, nie jest złudą, lecz prawdą oczywistą, i poczęła błagać rodziców, by ją na Jasną Górę zawieźli. Ale oni, nie wierząc jej, powiedzieli, że w gorączce majaczy. I znów trzeciej z kolei nocy ukazuje się jej Matka Boska Częstochowska, a Anna z dziecięcą prostotą mówi do Niej, że rodzice nie chcą wierzyć w te objawienia, i prosi serdecznie, by Najśw. Panna dała im znak jakiś, któryby im oczy otworzył. Obiecała łaskawie Marya uczynić to. I oto czwartej nocy objawia się rodzicom, którzy teraz uwierzywszy w prawdziwość zjawisk, wzruszeni niezmiernie tą opieką, jaką Matka Najśw. raczyła ich dziecko otaczać, wybrali się z chorą natychmiast w drogę do Polski. Po wielu dniach podróży przybyli wreszcie na Jasną Górę. Gdy tylko oczy Anny padły na Cudowny Obraz, poczęła natychmiast wołać ze łzami: „To Ona, to ta sama Pani Najśw., która mi tu przyjść kazała." A potem w czasie Mszy św., podczas której zachwyconych oczu z Obrazu nie spuszczała, Anna nagle poczuła jakiś dreszcz, który po wszystkich jej obolałych członkach z mocą przebiegł, a potem jakiś wewnętrzny nakaz, który do niej spłynął z Najśw. Obrazu Niepokalanej Dziewicy, by powstała z noszy. I w tej chwili znikły wrzody i schorzenia, zabliźniły się jątrzące rany, a ciało cuchnące i ogniłe zamieniło się w świeże, gładkie i zdrowe.

*

9. W czasie bytności wojsk szwedzkich w Polsce w roku 1715 został zabity skrytobójczo jeden ze Szwedów. Podejrzenie padło na Michała Lagowskiego, malarza, człowieka zupełnie niewinnego. Zakuto go w kajdany, a sąd wojenny skazał go na śmierć przez powieszenie. W wigilję dnia, przeznaczonego na wykonanie wyroku, siedział skazaniec w ciemnym lochu, okuty w ciężkie kajdany, i gorzko rozmyślał nad swoim nieszczęsnym losem, a że był bardzo religijny, więc wkrótce pogodził się zupełnie z Wolą Boga i pogrążył w modlitwie. Więzienie jego, jak wyżej wspomniano, było kompletnie ciemne, to też zdumiał się bardzo, gdy nagle ujrzał z jednej strony blask jakiś; za chwilę całe podziemie rozgorzało jaśniejszem od słońca światłem, a wśród tych płomiennych jasności zobaczył więzień w całym swym majestacie Najśw. Pannę Częstochowską z Dzieciątkiem na łonie, która w te ozwała się słowa: „Synu! ponieważ nigdy nie zaniedbywałeś nabożeństwa do mnie i soboty na moją cześć pościłeś, więc dzisiaj ci życie darowuję, wstań i idź prosto do Częstochowy, nikt ci w tem nie przeszkodzi". To rzekłszy, znikła. Słysząc to, malarz natychmiast wstał i oto opadły z niego żelazne łańcuchy. A było tam z nim 6-ciu szwedzkich żołnierzy, którzy go strzegli. Ci, niezmiernie zmieszani, bo zapewne i oni widzieli i słyszeli Matkę Boską, nietylko, że mu wyjść nie zabronili, lecz owszem drzwi mu z kluczy i rygli z wielkiem uszanowaniem otwarli.

I właśnie tak, jak mu Marya Niepokalana przepowiedziała, nieschwytany, do Częstochowy przybył, by na Jasnej Górze za cud podziękować. Tak to „Zwierciadło Sprawiedliwości" swe wierne sługi z rąk niesprawiedliwych sędziów ratuje.

*

10. Obywatel miasta Szkłowa, Jan Gaworkowski, w 1744 roku zapadł na jakąś ciężką chorobę, która go wkrótce władzy w rękach i nogach pozbawiła. Przygnębiony na duchu, spoczywał na łożu, rozmyślając nad swoją niedolą, dla której już u ludzi nie znajdował ratunku. Wtem ujrzał stojącą obok siebie nieznaną Panią, od której ku niemu szły przedziwne blaski, a taki był w Jej postaci jakiś nieopisany urok i majestat, że zdumiał się niepomiernie. A Pani ta rzecze: „I cóż tak leżysz, Janie?" A on na to: „Leżę, bo bardzo jestem chory i ruszyć się nie mogę". I mówi Pani: „A chciałbyś być zdrowy?" — „O Pani, — odpowie Jan — czy można się o to pytać?" A wtedy powiada cudowna Pani: „Jadąc do Wrocławia, przejeżdżałeś koło Częstochowy, a nie raczyłeś nawet nawiedzić miejsca mej rezydencji, bo ciężarem zdawało ci się złożyć należną cześć i hołd Matce Jasnogórskiej. Otóż obecnie, jeśli chcesz być zdrowym, idź tam pieszo i to, coś zaniedbał, napraw!" Jakoż z największą chęcią i niezmiernym zachwytem obiecał to uczynić i natychmiast poczuł wielką ulgę w cierpieniach i choć

jeszcze z trudem mógł o własnych siłach chodzić, po upływie tygodnia puścił się pieszo w drogę do Częstochowy. Szedł, krzepiąc się nadzieją zupełnego wyzdrowienia tam u stóp Maryi, jego miłościwej Opiekunki. Przeszedł już około trzydziestu mil, gdy czując się bardzo zmęczonym, spotkał jadącego człowieka, który, litując się nad strudzonym pątnikiem, zabrał go na swój wóz. Aliści po paru minutach jazdy czuje, jak fala strasznej gorączki wraca ku niemu i dawna opanowuje go choroba. Zrozumiał, że, siadając na wóz, złamał przyrzeczenie, dane Najśw. Pannie, zsiadł więc w następnej wsi i, przejęczawszy dwie godziny z wielkiego bólu, po raz drugi przyrzeka Panience Jasnogórskiej, że pieszo już odtąd pójdzie. I znów mu się polepszyło o tyle, że mógł w dalszą drogę wyruszyć. A gdy szczęśliwie przestąpił progi Cudownej Kaplicy, został zupełnie uzdrowiony.

*

Tego rodzaju łask zanotowano w kronice Jasnogórskiej 84.

Rozdział XIX.

JAK BÓG KARZE TYCH, CO ŚWIĄTYNIĘ JEGO MATKI NAJŚWIĘTSZEJ ZNIEWAŻAJĄ ZŁEM ZACHOWANIEM SIĘ I BRZYDKOŚCIĄ SUMIENIA.

1. Z kompanją, która w r. 1524 wyruszyła z Łęczycy do Częstochowy, szła między innymi pewna bogobojna niewiasta, imieniem Anna, z córką 17-letnią Krystyną. Jak matka z pośród innych niewiast wyróżniała się pobożnością, tak córka płochością i lekkomyślnością. Matka zabrała ją z sobą, ufając, że ją pielgrzymka nawróci. Jednakże zawiodła się srodze. Krystyna ani myślała się zmienić. Ubrana strojnie, jakby na zabawę lub wesele, roześmiana, niesforna, przeszkadzała innym w modlitwie i skupieniu. Wszędzie jej było pełno: tu się śmiała, tam żartowała złośliwie, tu znów bez litości drwiła z każdego, kto jej nie był miły. Napróżno ją matka strofowała, napróżno wskazywała na Boga, Któremu się to jej zachowanie nie podoba, napróżno groziła jej karą Bożą: ona się tylko jeszcze bardziej śmiała. Z płaczem zaklinała ją strapiona niewiasta, by jej i sobie wstydu nie robiła i serca macierzyńskiego

swem postępowaniem nie raniła. Za całą odpowiedź Krystyna swawolnym śmiechem wybuchała.

Po kilku dniach podróży ukazał się pielgrzymom szczyt wieży, wszyscy wzruszeni padli na kolana, tylko Krystyna śmiała się i żartowała jeszcze więcej. Dosyć już tego było matce, rzecze tedy w surowych słowach: „Widzisz, że już blisko tron Maryi, odrzuć swe swawole i głupstwa, przynajmniej odtąd przyodziej się w skromność, byś godnie stanęła wobec swej Pani i Królowej; jeśli się już ludzi nie wstydzisz i zatraciłaś wszelkie poczucie skromności wobec nich, to przynajmniej bój się Boga, który w obronie czci swej Matki może cię strasznie ukarać". Lecz i to upomnienie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia, owszem w swej głupocie i niepohamowanej pysze zlekceważyła je i dalej w złem brnęła, zachowując się coraz gorzej. Następnego dnia wszyscy zaczęli się w czyste a skromne szaty odziewać, chcąc godnie stanąć u tronu Królowej. I Krystyna postanowiła się przebrać. Włożyła na siebie wspaniałe suknie, strojnie a przesadnie skrajane, jakie wówczas tylko na tańce i zabawy noszono. Szyję, ramiona i ręce miała obnażone, włosy kunsztownie utrefione rozpuściła, a policzki różem i bielidłem ubarwiła. Tak niestosownie ubrana, z dumnie podniesioną głową poszła sama na Jasną Górę, bo matka z tak ubraną iść się wstydziła. Ale zaledwie próg Cudownej Kaplicy przestąpiła, zauważyli ludzie, że zachwiała się i jakby omdlewając, o odrzwia się wsparła; w oczach jej malo-

wało się przerażenie; po głowie, czole i obliczu spływał strumieniem pot. Chciała go otrzeć, lecz zaledwie dotknęła głowy, w oczach przerażonych widzów wraz z potem starła z niej wszystkie włosy tak, że czaszka jej pozostała goła jak kolano. Po chwili nieszczęsna, lekkomyślna grzesznica, blada jak trup, osuwa się na ziemię w strasznych drgawkach. Nadbiegła matka i wzięła córkę do mieszkania, gdzie się na noclegu zatrzymali; tam przez trzy dni dziewczyna wiła się w okropnych męczarniach, a potem nieoczekiwanie, nie odzyskawszy przytomności, bez Sakramentów św. zmarła. Nieopisane wrażenie wywarł ten wypadek na wszystkich pątnikach i mieszkańcach Częstochowy, gdy się dowiedzieli, że to za zgorszenie, jakie z siebie dawała, za przybycie na święte miejsce bez skupienia i przygotowania, za strój bezwstydny, którym świątynię skalała i Matkę Najśw. znieważyła, taka ją kara spotkała.

Pochowano ją przy drodze bez udziału kapłana i, aby była przestrogą dla podobnych do siebie i żywą pamiątką kary Bożej, położono jej na grobie kamień z napisem: „Tu leży ta, którą Bóg strasznie ukarał za zniewagę przybytku Swej Matki Najświętszej. Przechodniu, weź z tego naukę, i że czcią wielką odwiedzaj Świętą Górę".

I długie lata ten samotny, ponury grób bez krzyża, bez kwiecia, budził lęk i był groźnem ostrzeżeniem dla wielu.

*

2. W roku 1663 pewnego dnia na Jasną Górę przybyła grupka niewiast, ażeby Najśw. Pannie cześć i pokłon oddać. Niewiasty głęboko wzruszone weszły do Cudownej Kaplicy. Na widok świętego Obrazu, zalane łzami, padły wszystkie na twarz. Jedna z nich tylko, mieniem Helena, klęcząc wodziła zdziwionym wzrokiem po ołtarzu i ścianach. Po chwili przeciera oczy, idzie dalej w głąb i jeszcze więcej okazuje zdziwienie, a w końcu pyta innych, czy widzą Obraz. Odpowiadają, że widzą. „A gdzież on jest? bo ja go dojrzeć nie mogę". — „Patrz, tu przed tobą, nie widzisz?" — „Nie, nie widzę nic!" mówi z trwogą. Próżno wytęża wzrok, próżno się do samego ołtarza zbliża, jej oczy wszystko spostrzegły tylko nie Obraz. Ogromnie smutna wyszła z kościoła, a zamknąwszy się w mieszkaniu, zaczęła się w skupieniu przygotowywać do sakramentu pokuty. Na drugi dzień poszła do konfesjonału i odprawiła spowiedź. Idzie potem do kaplicy, lecz tam dzieje się z nią jeszcze gorzej — już nietylko Obrazu Cudownego, lecz nawet ołtarza, w którym on się znajduje, nie widzi. Wraca więc z jękiem i płaczem do spowiednika, ten ją pociesza, każe się modlić i iść z powrotem do kaplicy. Idzie więc i patrzy, że inni ze wzrokiem utkwionym w Obraz widzą go i modlą się, tylko na jej oczy Bóg zesłał ślepotę. Zanosząc się tedy płaczem, jęczy tak, że wszystkim z litości aż serca się krają. Przechodzi tamtędy przezacny ks. Augustyn Kordecki, a słysząc te serdeczne zawodzenia i lamenty, pod-

szedł do nieszczęśliwej i pyta, co się stało. Ta z wielkim szlochem opowiada mu wszystko. Światły i świątobliwy znawca dusz odrazu zrozumiał, że przyczyną tej ślepoty ciała jest ślepota duszy, a mianowicie jakiś grzech ciężki zatajony. Bierze więc łagodnie niewiastę za rękę i prowadzi na ubocze do konfesjonału. Tam ją ośmielił, obudził ufność i wykrył przyczynę kary. Helena ze łzami szczerej skruchy wyspowiadała się, a otrzymawszy rozgrzeszenie, za radą spowiednika, drżąc z obawy i nadziei, poszła jeszcze raz do kaplicy. I oto zaledwie znalazła się poza progiem, ujrzała najwyraźniej Niepokalane Oblicze Maryi Jasnogórskiej; mogła już teraz, jak inni, wpatrywać się w Cudowny Obraz i swoje zachwyty i radości, a także smutki i trwogi przed Nią, z oczyma w Jej oczach utkwionemi, składać.

*

3. Pewien oficer polski, syn zacnych i pobożnych rodziców, starannie wychowany, a potem w złych towarzystwach zepsuty i nieczystemi grzechami skalany, wiarę mocną i żywą, którą z bogobojnego rodzicielskiego domu wyniósł, utracił. Od dzieciństwa wiele od matki i ojca słyszał o Cudownym Obrazie Maryi Jasnogórskiej. To też, znalazłszy się w 1708 roku w Częstochowie, ciekawością kierowany, udał się do kaplicy. Lecz zaledwie wszedł, nie rzuciwszy nawet okiem na Cudowny wizerunek Maryi, uczuł tak straszny

lęk, jakby przez wielkie zastępy wrogów był osaczony. Zimny pot oblał jego ciało, włosy zjeżyły mu się na głowie, a serce ściskała trwoga, bał się oddychać nawet z ogromnego przerażenia. Ucieka więc chyłkiem z kaplicy, a przejęty niesamowitym strachem, udaje się do zakrystji, gdzie opowiada OO. Paulinom, co mu się przytrafiło. Roztropni kapłani domyślili się powodu tego uczucia oficera. Oto Najczystsze oko Niepokalanej Dziewicy nie mogło znieść w swej obecności tego moralnego trupa i dlatego uczuciem bojaźni napełniła Cudowna Jasnogórska Panienka serce grzesznika. Wytłumaczyli mu więc, że jedynem lekarstwem na pozbycie się tej trwogi jest spowiedź szczera i zupełna. Zgodził się na to oficer i wkrótce u stóp konfesjonału pozbył się grzechów i odrodził na duszy przez szczere wyznanie i żal serdeczny, a rozgrzeszony przez kapłana, udał się do kaplicy. I ujrzał wtedy jaśniejącą twarz Matki Miłosierdzia i uczuł w swem oczyszczonem sercu nieopisaną radość i wesele, a zamiast bojaźni i lęku — odwagę, siłę i męstwo do walki ze złem.

*

4. Zuzanna Staruba z Moraw przybyła po raz pierwszy w 1725 roku do Częstochowy na odpust. Gdy się znalazła w kaplicy, zdumiała się niezmiernie, nie mogąc dojrzeć Obrazu podczas, gdy wszyscy inni, będący z nią, widzieli go doskonale. Strapiona tem bardzo i zasmucona, przez całą noc

oka zmrużyć nie mogła, rozmyślając nad przyczyną tej ślepoty. Wzrok miała doskonały, nigdy na oczy w swem życiu nie cierpiała. Więc coby to było? Gdy dłużej się zastanawiała, doszła do pewności, że nic innego tylko grzechy, które obarczały jej duszę, były powodem, iż Obrazu zobaczyć nie mogła. Przed świtem jeszcze zerwała się z łóżka i pobiegła na Jasną Górę, tam wyspowiadała się ze swych win i szczerym żalem i postanowieniem poprawy obmywszy duszę, stawiła się po raz drugi przed Obliczem Matki Najśw. i oto bez żadnych już przeszkód ujrzała Cudowny Wizerunek Maryi. A wtedy serce jej zalała ogromna radość i szczęście i rozpływała się we łzach serdecznych, dziękując Jasnogórskiej Panience za łaskę nawrócenia i oglądania Jej świętego Obrazu.

*

5. Zdarzyło się, że pewna niewiasta, będąc jeszcze młodą dziewczyną, popełniła dobrowolnie grzech ciężki, a potem, wstydem i bojaźnią zdjęta, taiła go na spowiedzi przez wiele lat. Wreszcie jednak dręczona wyrzutami sumienia, postanowiła ten grzech wyznać. W tym celu w roku 1755 poszła do Częstochowy i tam udała się do spowiedzi. Ale odwieczny wróg rodzaju ludzkiego, szatan, przejął ją takim wstydem i strachem, że znów tej winy nie wyznała. Gdy po rozgrzeszeniu chciała opuścić kościół, uczuła, jak jakaś siła zatrzymała ją w miejscu. Próżno się siliła, ani jednego kroku naprzód postąpić nie była w stanie. A wtedy

zrozumiała dobroć Boga, który za przyczyną Najśw. Panny Jasnogórskiej chce ją przemocą uleczyć ze śmiertelnej choroby duszy. Wraca więc do konfesjonału i z wielkim żalem i skruchą, serdecznemi się łzami zalewając, duszę swą z trądu grzechu śmiertelnego oczyszcza. A potem gorąco Matce Najśw. podziękowawszy za cudowną opiekę i wyrwanie ze szpon szatana, do domu pełna błogości i świętego wesela wróciła.

*

Podobnych faktów kroniki klasztorne notują 18.

ZAKOŃCZENIE.

Poznaliśmy łaski i cuda Boże, zdziałane za przyczyną Najśw. Panienki na Jasnej Górze. Poznaliśmy i podziwialiśmy hojną rękę Boga i moc wstawiennictwa Maryi.

A jednak przytoczone tu łaski i cuda — to tylko maleńka cząsteczka tego, co dla swych wiernych sług zdziałała Częstochowska Pani!...

Łaski i cuda te zarówno w kataklizmach dziejowych ujawniają opiekę Bożą nad całym narodem, jak i w najcięższych chwilach życia podnoszą na duchu poszczególne jednostki: doznają ich tak możni tego świata, jak i maluczcy; czuje ich moc dobroczynną zarówno starzec, stojący nad grobem, jak mąż dojrzały, młodzieniec i dziecię. Niema ani jednej niedoli ludzkiej, gdzieby oko Matki Bożej nie wejrzało, serce matczyne nie współczuło, a dobroczynna ręka nie pośpieszyła z pomocą.

Na rozkaz wszechwładnej Pani świata uciszają się rozszalałe żywioły, okrutna śmierć posłusznie oddaje swe ofiary, chore i bezwładne członki odzyskują siłę.

Przed mocą Królowej Niebios drżą potęgi piekieł i opuszczają na Jej rozkaz ciała i dusze tych, których Ona pod swoją wzięła opiekę.

Wreszcie Matka Boża ukazuje się nieraz widzialnie, by o Swej opiece zapewnić, cierpienie osłodzić, w wierze utwierdzić i pokój do zbolałych wlać serc.

Wszakże doskonale wiedząc, na czem prawdziwe szczęście polega, Marya udziela Swych ziemskich łask wtedy jedynie, gdy one do zbawienia wiecznego nie przeszkodą, ale pomocą być mają. Dlatego też, pełna miłości, niekiedy i surową być umie, jeśli w poczuciu matczynego swego obowiązku widzi, że inaczej krnąbrnego dziecka od smutnych następstw tu i po śmierci uratować nie zdoła.

Dziękujmy Bogu za taką Matkę, jak dziękowali przodkowie nasi; wierzmy w Jej potęgę i opiekę, jak oni wierzyli; módlmy się za Jej przyczyną, jak oni się modlili, a nasz wiek XX stanie się świadkiem jeszcze większych łask i cudów, aniżeli te, o których w tej książce jest mowa.

W duszy polskiej złożył Bóg niewyczerpane zasoby łask i darów swoich, a między innemi gorącą miłość do Swej Najświętszej Matki. Niech więc ta miłość serdeczna i potężna obejmuje coraz więcej dusz, rozpala coraz więcej serc i sprawi ten wielki cud — odrodzenie moralne narodu przez Maryę!

Biblioteka Śląska

TREŚĆ.

Str.

Przedmowa 5

Rozdział I. Nauka Kościoła katolickiego o cudach . 9

Rozdział II. Historja Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej 18

Rozdział III. Marja wskrzesza umarłych 38

1. Rok 1517 w Husiatynie, przywrócenie do życia 5-letniego Samuela Wadzica 38
2. Rok 1540 w Lublińcu, wskrzeszenie matki i 2 dzieci 39
3. Rok 1564 we wsi Zborów, wskrzeszenie 8-letniego Walentego Żeromskiego 43
4. Rok 1598 w Kazimierzu, wskrzeszenie 2-letniej Anny Klimczak 45
5. Rok 1628 na Białej Rusi, wskrzeszenie Szymona Wruszewskiego 46
6. Rok 1674 na Podolu, wskrzeszenie Stefana Złoczewskiego 48
7. Rok 1680 w Nowogródku, wskrzeszenie Mikołaja Grocholskiego 49
8. Rok 1680 w Nowogródku, wskrzeszenie Jana Kłokowskiego 50
9. Rok 1717 w Toperowie wskrzeszenie ks. Michała Pruszyńskiego 51
10. Rok 1747 ze Śląska, wskrzeszenie Józefy Karwat 53
11. Rok 1850 w Częstochowie, wskrzeszenie Walentego Smoczyńskiego 54

Rozdział IV. Marja ratuje od śmierci w kopalniach, na morzu i w rzekach 57
1. Rok 1609 w Olkuszu, wybawienie 5 zasypanych górników 57
2. Rok 1643 w Wieliczce, wybawienie Jana i Wawrzyńca Wieliczków 59
3. Rok 1748 w Łańcucie, wybawienie Anny Górniakównej 59
4. Rok 1537 na Bałtyku, wybawienie Stanisława Łaskiego 61
5. Rok 1589 na Bałtyku, wybawienie Sebastjana Anglika 63
6. Rok 1626 na morzu Śródziemnem, wybawienie Stefana Ossowskiego 64
7. Rok 1668 na Wiśle, wybawienie dzieci Jacka Dombskiego 65
8. Rok 1749 w Kleczewie, wybawienie małego Jaśka 67
9. Rok 1749 na Odrze, wybawienie pielgrzymki z Moraw 68
10. Rok 1855 w Medjolanie, wybawienie Bartłomieja Sanoka 69

Rozdział V. Wodzowie zawdzięczają Maryi zwycięstwo 71
1. Rok 1410 — król Władysław Jagiełło pod Grunwaldem 71
2. Rok 1521 — Przemysław Lanckoroński w bitwie z Prusakami 72
3. Rok 1537 — Prokop Sieniawski w bitwie z Turkami 73
4. Rok 1562 — Krzysztof Wolski pod Białym Kamieniem 74
5. Rok 1621 — Karol Chodkiewicz pod Chocimem 75
6. Rok 1627, 1633 i 1638 — Stanisław Koniecpolski z Turkami 77

7. Rok 1646 — Bartłomiej Mioduszewski z Turkami 77
8. Rok 1655 — O. Augustyn Kordecki ze Szwedami 78
9. Rok 1683 — Król Jan Sobieski pod Wiedniem 79
10. Rok 1916 — Hieronim Szulc z Ukraińcami . 82
11. Rok 1920 — „Cud nad Wisłą" 83

Rozdział VI. Marya uwalnia jeńców ze srogiej niewoli lub w cierpieniach pociesza 88

1. Rok 1540 — Wacław Chorzelski i Jan Wielecki z jasyru tatarskiego 88
2. Rok 1566 — Jan Litaar z niewoli Moskali . 89
3. Rok 1617 — Gabrjel Czarnecki z niewoli Tatarów 90
4. Rok 1623 — Marcin Żebrowski z niewoli Tatarów 91
5. Rok 1623 — Marcin Michałowski z niewoli Tatarów. 92
6. Rok 1623 — Krzysztof Cieszyński z niewoli Turków 93
7. Rok 1629 — Jadwiga Strzyżewska z niewoli Tatarów 94
8. Rok 1683 — Albert Jarzyna z niewoli Turków 95
9. Rok 1748 — Michał Święcicki z niewoli Niemców 96
10. Rok 1705 — Albert Pisarczyk z niewoli Turków 99
11. Rok 1830 i 1863 — naród polski — powstanie 100
12. Rok 1875 — Unici i Moskale 102

Rozdział VII. Marya przywraca: zwrok ślepym, słuch głuchym, mowę niemym, chromym i kalekom władzę w członkach 104

a) wzrok ślepym:

1. Rok 1392 malarzowi Jakóbowi Wężykowi . 104

2. Rok 1592 Jakóbowi Poznańskiemu z Grabowca 106
3. Rok 1595 Małgorzacie Pierzchale z Myślenic 107
4. Rok 1627 Reginie Stanisławiczowej ze Lwowa 108
5. Rok 1631 pewnej pannie ze Strykowa . . 109
6. Rok 1672 Filipowi Wałuckiemu z Rawy . . 110
7. Rok 1703 Wawrzyńcowi Przybełko z Bytomia 111
8. Rok 1724 synowi Ossolińskiego 112
9. Rok 1754 O. Bonawenturze Sikorskiemu z Pyzdr 113
10. Rok 1785 Maciejowi Stankiewiczowi z Przemyśla 114
11. Rok 1811 Elżbiecie Gasińskiej z Bystrej . 116
12. Rok 1921 Annie Korsak z Lublina . . . 117

b) słuch głuchym i mowę niemym:

1. Rok 1597 Marcinowi Obietyńskiemu z Kamieńca na Podolu 121
2. Rok 1636 Jadwidze Piechowskiej z Kazimierza 122
3. Rok 1752 Jadwidze Wolskiej z Łęczycy . . 123

c) przywraca chromym i kalekom władzę:

4. Rok 1614 — Rafałowi Żelazowskiemu z Kowna 126
5. Rok 1634 — Maciejowi Święcikowi z Kaliny 128
6. Rok 1641 — Andrzejowi Podlewskiemu z Krakowa 129
7. Rok 1747 — Magdalenie Zielentowej z Trzebnicy 131
8. Rok 1754 — Antoniemu Jaworskiemu ze Lwowa 132
9. Rok 1796 — Wawrzyńcowi Śliwińskiemu z Warszawy 133

Rozdział VIII. Marya uzdrawia kaleki, sparaliżowanych i furjatów 135

1. Rok 1617 Annę Kaliską z Krakowa . . . 135

2. Rok 1620 uzdrowienie z paraliżu ks. Jakóba Neapolitańczyka z Zbuczyna 136
3. Rok 1718 sparaliżowaną kobietę w Chojnach 137
4. Rok 1742 uzdrowienie z paraliżu Anny Wróblewskiej z Sandomierza 138
5. Rok 1743 Józefa Sokołowskiego z Trembowli 139
6. Rok 1796 Marjannę Choszczyńską z Wojsławic 141
7. Rok 1796 Szymona Lach ze wsi Bieńkówki 144
8. Rok 1802 Sebastjana Szczebużaka z Torzyc . 145
9. Rok 1867 hrabiego Łubieńskiego z pod Warszawy 147
10. Rok 1885 Marję Zgodę-Kościelak z Latyczowa 148
11. Rok 1926 Annę Wiśniewską z Gniezna . . 151
12. Rok 1929 Michała Bartosiaka z Gostynina . 153

Rozdział IX. Marya uwalnia swoje dzieci od złego ducha 159

1. 1560 r. pewnego rycerza 159
2. 1625 r. pannę Czarnkowską 160
3. 1632 r. Annę — 163
4. 1699 r. ks. Wojciecha Mrówczyńskiego . . 165
5. 1802 r. Marjannę Jasińską 166

Rozdział X. a) *Skazani na śmierć lub o zbrodnię ścigani zostają przez Maryę uwolnieni* . . . 169

b) *Marja otwiera oczy heretyków i niedowiarków i na Jasnej Górze jedna ich z Kościołem* . . . 169

a) 1. Rok 1432 pewien obywatel z Raciborza . . 169
2. Rok 1597 Lambert Urejder w Warszawie . 171
3. Rok 1609 Walenty Uszkowski z Dolska . . 172
4. Rok 1625 Anna z Tarczyna 173
5. Rok 1745 Kazimierz Kozłowski z Częstochowy 176

b) 1. Rok 1672 Marta ze Śląska 178
2. Rok 1672 Klater Urban — Turek 179
3. Rok 1703 Krystyn Helians 182
4. Rok 1902 pewien niedowiarek 185

Rozdział XI. Marya leczy ciężkie niemoce . . . 188

1. Rok 1402 uzdrowienie z trądu ks. Mikołaja Sochaczewskiego z Poznania 188
2. Rok 1626 uzdrowienie Kazimierza Szczawińskiego z Brześcia 191
3. Rok 1635 uzdrowienie z epilepsji Zuzanny Olejskiej z Wilna 193
4. Rok 1635 uzdrowienie z kamieni żółciowych króla Władysława IV. 194
5. Rok 1655 uzdrowienie z wrzodu w gardle Baltazara Zdrowskiego 195
6. Rok 1727 uzdrowienie z podagry ks. Jerzego Pakowskiego z Wilna 197
7. Rok 1743 uzdrowienie z ciężkich ran Marcjanny Michalskiej z Żytomierza 198
8. Rok 1751 uzdrowienie z gruźlicy Anny i Zofji Moszalskich 199
9. Rok 1755 uzdrowienie z epilepsji córki Stanisława Skibińskiego 201
10. Rok 1787 uzdrowienie z okropnej melancholji ks. Antoniego Kozickiego 202
11. Rok 1823 uzdrowienie z ciężkiej choroby Jadwigi Zamoyskiej 207
12. Rok 1855 uzdrowienie z ciężkiej choroby Konstancji Gruszeckiej z Bogorji 209
13. Rok 1884 uzdrowienie z ciężkiej choroby Heleny Ugniewskiej z Grzymkowic 211

Rozdział XII. Marya daje potomstwo niepłodnym i w boleściach przychodzi z pomocą 213

1. Rok 1510 — Zofji Korytkowej z Przemyśla 213
2. Rok 1610 — Agnieszce Maszenowiczowej ze Lwowa 214
3 Rok 1627 — Marjannie Tęgoborskiej z Ciechanowa 215

4. Rok 1643 — Annie Pieczarka z Chęcin . . 215
5. Rok 1717 — Helenie Celińskiej z Podlasia 216
6. Rok 1748 — Anieli Seferowiczowej z Halicza 217
7. Rok 1790 — Zofji Komorskiej z Piotrkowa 218
8. Rok 1850 — Zofji Holtzingerowej z Częstochowy 219

Rozdział XIII. Marya ciężko zranionym siły i zdrowie przywraca 221

1. 1590 roku — Adamowi Kryckiemu od rany postrzałowej 221
2. 1595 roku — służącej Sebestjana Poniatowskiego 223
3. 1623 roku — Marcinowi Lamowskiemu z Przemyśla 225
4. 1668 roku — Tomaszowi Rożdzielskiemu z Warty 226
5. 1748 roku — Franciszkowi Białkowskiemu z Pomorza 227
6. 1865 roku — Marjannie Staniszewskiej . . 229
7. 1867 roku — Dorocie Mystkowskiej z Kalisza 231

Rozdział XIV. Dusze w czyścu cierpiące Marya do nieba wprowadza 232

1. 1521 r. — Oswalda z miasta Prywidz, Slawonia 232
2. 1623 r. — Andrzeja Miaskowskiego z Poturzycy 235
3. 1670 r. — Marcina Stokowskiego w Sieradzkiem 237
4. 1744 r. — Józefa Nowaka z Młotek . . . 240
5. 1845 r. — Zuzanny Kaweckiej z Sieradza . 242

Rozdział XV. Marya broni swych czcicieli od zarazy i ognia 244

1. 1506 r. — Wojciecha z Wrocławią . . . 241

2. 1603 r. — Annę Mycielską z Tarnowskich Gór 245
3. 1620 r. — Samuela Kałuskiego z Liwu . . 247
4. 1743 r. — Stanisława Jaszowskiego, pułkown. 249
5. 1622, 1625, 1677, 1707 r. — Jasną Górę . . 250
6. 1598 r. — Krzysztofa Godziszewskiego . . 252
7. 1623 r. — Zofję Pokrzywińską w Prusach, Tukno 252
8. 1748 r. — ks. Józefa Abramowskiego z Kidowa 257
9. 1622, 1718, 1726, 1749 i 1900 r. — Jasną Górę 259

Rozdział XVI. Marya wspomaga tych, co ze czcią noszą Jej medalik lub walczą pod Jej sztandarem . 262

1. 1590 r. — Mikołaja Moczarskiego, pułkown. 262
2. 1672 r. — Adama Strzałkowskiego, wojskow. 263
3. 1677 r. — Andrzeja Jeżowskiego — pułkown. 264
4. 1704 r. — Franciszka Tworzewskiego . . 266
5. 1717 r. — Ignacego Zawiszę 267
6. 1743 r. — Marjannę Michalską z Sieradza . 268
7. 1753 r. — Tomasza Wolskiego 269
8. 1755 r. — niewiastę z Krakowa 270

Rozdział XVII. Woda ze źródła św. Barbary i olej z lamp Cudownej Kaplicy, używane z wiarą, przywracają zdrowie 272

1. 1430 r. — Powstanie źródła 272
2. 1620 r. — Helenie Zajączkiewiczównie z Częstochowy 274
3. 1627 r. — Witowi Kance ze Śląska . . . 275
4. 1744 r. — Księżnie Lubomirskiej 276
5. 1752 r. — Marji Langhammerównie z Olbendorfu 277
6. 1725 r. — Marjannie Gębickiej z Sandomierza 278
7. 1727 r. — Wacławowi Rakabickiemu z Krakowa 279
8. 1748 r. — Annie Kraszko z Łańcuta . . . 280
9. 1753 r. — Marjannie Blayczelskiej z Ropczyc 281

Rozdział XVIII. Marya ukazuje się widomie swym czcicielom i przynosi im zdrowie, wolność i pociechę 283

1. Rok 1552 — chorążemu Mikałajowi Boglewskiemu 283
2. Rok 1613 — księżniczce Annie Wiśniowieckiej 284
3. Rok 1617 — Feliksowi Skibie w niewoli . . 285
4. Rok 1627 — miastu Gliwice na Śląsku . . 288
5. Rok 1639 — Stanisławowi Ostrowskiemu . . 289
6. Rok 1641 — Dominikowi Konwerskiemu . . 291
7. Rok 1645 — Urszulce Zalewskiej 292
8. Rok 1675 — Annie Pormin z Niemiec . . 293
9. Rok 1715 — Michałowi Lagowskiemu . . . 296
10. Rok 1744 — Janowi Gaworkowskiemu . . 297

Rozdział XIX. Jak Bóg karze tych, co świątynię Jego Matki znieważają złem zachowaniem się i brzydkością sumienia 299

1. Rok 1524 — Krystynę z Łęczyckiego . . . 299
2. Rok 1663 — Helenę ze Śląska 302
3. Rok 1708 — pewnego oficera 303
4. Rok 1725 — Zuzannę Staruba z Moraw . . 304
5. Rok 1755 — pewną dziewczynę 305

Zakończenie 307

SPIS ILUSTRACYJ.

		Str.
1.	Postać O. Augustyna Kordeckiego, wzięta z pomnika	8
2.	Matka Boska Częstochowska	20
3.	Matka Boska wskrzesza umarłych	42
4.	Matka Boska ratuje tonących w morzu	60
5.	Matka Boska ratuje rozbitka na Morzu Bałtyckiem	98
6.	Cud wskrzeszenia trzech zabitych w Lublińcu . .	124
7.	Matka Boska wypędza złych duchów	162
8.	Matka Boska wraca życie powieszonemu w zabawie przez rówieśników chłopcu Walusiowi Żeromskiemu	204
9.	Matka Boska chroni od strasznej śmierci w ogniu Zofję Pokrzywińską	254
10.	Oblężenie Częstochowy w 1655 roku	286

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000426577
I 386746
Biblioteka Śląska